



**MARCIN ORLIK**

**KSIĘGA STUDENCKA**

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2016

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Natalia Szczepkowska, Robert Wieczorek

Redakcja techniczna: zespół RW2010

Copyright © Marcin Orlik 2016

Okładka Copyright © Maciej Kaźmierczak 2016

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2016

e-wydanie II

ISBN 978-83-7949-189-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: [marketing@rw2010.pl](mailto:marketing@rw2010.pl)

Zapraszamy do naszego serwisu: [www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)

## ORDNUNG MUSS SEIN

W życiu każdego studenta przychodzi czas sprzątanía. Spędza wtedy kilka godzin, zakopując się w notatkach, porządkując je i układając w odpowiedniej kolejności. Niektórzy szaleńcy sprzątają wówczas cały swój pokój, ba, czasem nawet całą stancję! Polon zdecydowanie do nich nie należał. Uwielbiał kreatywny nieład panujący u niego w mieszkaniu. Przypuszczał, że gdyby nagle ktoś posprzątał mu pokój, miałby problem z odnalezieniem w nim własnego tyłka.

Akurat siedział sobie przy biurku, gdy w jego kieszeni rozdzwonił się telefon. Wydobył aparat i spojrzał na wyświetlacz. Nie poznał numeru. Po chwili namysłu postanowił odebrać.

– Halo?

– No, siemasz, Polon, Radek z tej strony – odezwał się głos w słuchawce.

– Radek? – zapytał zdziwiony, nie mogąc sobie przypomnieć nikogo o takim imieniu.

– No, Radek z chemicznego, byłem u ciebie wczoraj na imprezie.

– Była u mnie wczoraj impreza? – zapytał zaskoczony. No tak, to wyjaśnia wózek sklepowy na korytarzu i wieżę z puszek po piwie na biurku.

– Przypomniałeś sobie? Fajno. Słuchaj, zostawiłem u ciebie moją pracę domową, bez niej nie dostanę zaliczenia, a zrobić nowej nie zdążę.

– Czego mam szukać? Co to w ogóle jest? – dociekał Polon, licząc na to, że w jego głowie dzięki temu pojawią się jakiegokolwiek szczegóły wczorajszej zabawy.

– Wiesz, to taka mała, żółta fiolka, położyłem ją na twoim biurku.

– Oj, będzie ciężko ją znaleźć, pamiętasz, jak to u mnie wygląda...

– Szczerze mówiąc, nie bardzo pamiętam – odpowiedział Radek niepewnym głosem. – Znaczą, mam jakiś tam ogólny zarys, ale nawet nie jestem w stanie

określić, gdzie mieszkasz.

– Poczekaj chwilę, oddzwonię do ciebie – rzucił Polon i rozłączył się.

Wszystko wskazywało na to, że nieubłagane zbliżał się czas porządków. Ta konkluzja natychmiast wywołała w nim stan depresyjno-lękowy. Z nosem zwieszonym na kwintę wyszedł z pokoju, otworzył szafę i wyjął studenckie akcesoria do sprzątan. Łopatą zrzucił wszystko, co znajdowało się na jego biurku, po czym dokładnie rozgrał, szukając fiołki. Jest! Przekłeta wiedźma chowała się za tomikiem wierszy. Podniósł ją z podłogi i złapał za telefon, po czym wybrał numer ostatniego połączenia.

– Radek?

– No Radek. Nie znalazłeś tej fiołki, co?

– No właśnie znalazłam. Wpadniesz? Mieszkam na Bystrej, powinieneś łatwo trafić, skoro już raz trafiłeś.

– W sumie, eh, nie wiem, jak ci to powiedzieć... Kurde, miałem tę fiołkę cały czas w kieszeni spodni, popieprzyło mi się coś...

– No wiesz? – oburzył się Polon. – To ja tutaj przy łopacie zapierdalałam, przerzucając notatki, grabię to cholerstwo i wszystko na nic? Nie ma tak! Stawiasz piwo za mój wysiłek!

Cisza z drugiej strony słuchawki zainspirowała go do rzutu odnalezioną fiołką za siebie, w bliżej nieokreślonej przestrzeni.

– No dobra – powiedział w końcu Radek. – Wpadnę z czymś dobrym po zajęciach, w końcu zawsze to jakaś okazja, nie?

– No ja myślę – burknął Polon i zakończył połączenie.

Odłożył komórkę na biurko i wziął się za przekładanie notatek z powrotem na ich miejsce. Zadowolony z uzyskanego efektu odwrócił się i zaczął szukać grabi. Po pięciu minutach bezowocnego przerzucania różnych elementów, w efekcie czego odkrył nawet kawałek wolnej podłogi, zajęcie mu się znudziło, więc wyszedł na korytarz i odstawił łopatę na miejsce. Co jak co, ale porządek musi być! Po chwili zadzwonił budzik – czas wychodzić z domu na zajęcia.

Wykłady spędzał zawsze tak samo – siedział i uważnie patrzył, kto robi notatki, następnie udawał, że sam notuje, w przerwach bezmyślnie gapił się w jeden punkt sali (najczęściej zegar), a potem wychodził i kserował niezbędne rzeczy. Powrót na stację, z perspektywą darmowego piwa z dowozem, cieszył go jak obiad, więc w szampańskim nastroju wkroczył do pokoju, rzucił torbę na podłogę i usiadł do laptopa w oczekiwaniu na Radka. Zaczął kopiować hasła z Wikipedii, tym samym odrabiając zadanie domowe, i akurat jak usuwał ostatni link, usłyszał dzwoniący domofon.

Otworzył drzwi na klatkę schodową; po chwili zjawił się zziębnięty Radek.

– O, widzę, że udało ci się trafić – powitał go radośnie Polon. – To co pijemy?

– Dziś spożywać będziemy tę oto nogę od krzesła – powiedział patetycznie Radek, podnosząc w górę butelkę z bursztynową zawartością.

– Nogę od krzesła? – nie zrozumiał Polon.

– Udało mi się wyprodukować enzym, który trawiąc drewno produkuje alkohol – puszył się Radek. – Powąchaj sobie.

– Uch, rzeczywiście sosną zajeżdża – stwierdził Polon. – Rany, no co tu dużo mówić, zapraszam do pokoju. – Wskazał gościowi kierunek i udał się do kuchni po odpowiednie naczynia.

– Ej, Polon... – odezwał się Radek po chwili.

– No?

– Na czym ty normalnie siedzisz w pokoju?

– Generalnie to na tyłku – odpowiedział Polon. – Weź sobie krzesło od biurka.

– Jakie krzesło od biurka?

– No normalnie, weź krzesło, odstaw... O, cholera – wyrwało mu się jak zobaczył swój pokój.

W ciągu kilku chwil jego nieobecności zniknęło nie tylko krzesło, ale także wszystko, co znajdowało się na podłodze. Wyglądało na to, że ktoś – Polona przeszedł dreszcz – posprzątał mu podłogę, a krzesło zabrał jako zapłatę.

– To ja może przyniosę coś do siedzenia z kuchni – powiedział Radek, chcąc przerwać impas.

Ominął wstrząśniętego lokatora mieszkania i udał się po niezbędne meble. Tymczasem Polon otrząsał się z szoku, jakim było dla niego zobaczenie podłogi po dwóch latach mieszkania na stacji. Już prawie przyszedł do siebie, gdy usłyszał zduszony krzyk i brzdęk tłuczonego szkła. Hałas pochodził z kuchni, więc udał się na szybki rekonesans. Okazało się, że Radek doznał jakiegoś ataku paniki, bo zbił okno i uciekając, zostawił wódkę na stole. Polon nie mógł uwierzyć, że jego gość nie zabrał ze sobą alkoholu. Gwałtowny podmuch powietrza wywołany ruchem za jego plecami i towarzyszące temu głośne chrupnięcie spowodowały, że natychmiast się odwrócił.

W ten sposób znalazł wszystkie rzeczy, które zniknęły wcześniej z jego pokoju. Na szczycie okazałej górkę notatek i odpadków różnej maści znajdowało się krzesło, a na krześle jedna pusta butelka po piwie. Nie wiedzieć czemu, Polon poczuł się trochę nieswojo.

– *Witaj, Polon* – usłyszał grobowy głos dochodzący gdzieś z tyłu jego głowy.

„Nigdy więcej nie zajaram”, obiecał sobie Polon po raz czterdziesty trzeci. „Nie, zaraz, chwila, ja nie jarałem od kilku miesięcy!”

– Czego chcesz? – postanowił rozpocząć rozmowę dyplomatycznie.

– *Jam jest Pan Bajzelhaus* – przedstawiła się góra odpadków. – *Były więzień piętnastego wymiaru cierpienia. Przybyłem z czeluści nieznanymi człowiekowi, by pożreć ciebie i twoją duszę!* – zagrzmiał i przygotował się do konsumpcji.

– O w mordę! – wyrwało się Polonowi. – Panie Bajzelhaus, to ja proponuję grę. – Umysł Polona wrzucił szósty bieg. – Jeśli pan wygra, to może mnie pan pożreć, nie będę uciekał jak mój kolega. Jeśli ja wygram, odejdzie pan i zostawi mnie w spokoju.

– *Brzmi uczciwie* – rzekł Pan Bajzelhaus. – *Zatem zagrajmy.*

– Zapraszam w takim razie na balkon – powiedział Polon.

– *Jakie są reguły gry?* – usłyszał pytanie.

– Pijemy ten oto sosnowy eliksir prawdy – zaimprovizował student.

– Kieliszek za kieliszkiem, aż któryś z nas padnie od nadmiaru prawdy w organizmie.

– *Zatem ustalone. Udajmy się na balkon.*

Polon puścił Pana Bajzelhausa przodem, po czym wyszedł za nim. Trzął się z ekscytacji. Bo oto stanął w szranki z zawodnikiem z innego wymiaru, a trzeba dodać, że jeszcze nikt go nigdy nie przepił. Ceremonialnie otworzył butelkę i rozlał pierwsze dwa kieliszki. Jego studencki zmysł wycenił zawartość alkoholu na 96,67 procent.

Po pięciu minutach przeszli na ty, a po piętnastu byli najlepszymi przyjaciółmi. Po godzinie Pan Bajzelhaus solennie przeproszał za chęć pożarcia Polona i zaklinał się na demony wszystkich kręgów, że nigdy go nie skrzywdzi. Zaraz po złożeniu swojej przysięgi upadł i zasnął kamiennym snem. Polon od razu skorzystał z okazji i rzucił w niego zapaloną zapalką. Pan Bajzelhaus, nasączony specyfikiem, nawet nie zauważył, kiedy spłonął. Polon zebrał resztki i wyniósł do śmieci. Kosz był pełen, więc spakował je w większy worek i zarzucił na ramię.

– Jestem świętym Mikołajem, ho, ho, ho! – zawył Polon i wyszedł z domu prosto w ramiona dwóch nakładających się na siebie policjantów.

– Oj, szepszepraszam, panie władziu, znaczy władzo... Ja tu tylko śmieci wynoszę.

Policjanci spojrzeli na niego i powiedzieli surowo:

– Proszę tutaj dmuchnąć. – Podali mu balonik. – Siedem i pół promila?  
– zdziwili się. – Panie, może panu karetkę wezwać?

– Nie tszeeba... ja tylko zwłoki Bajzelhausa wyniosę i spać idę.

– Zwłoki? Niech pan otworzy ten worek. – Policjanci stali się nieprzyjemni.

– Ach, więc to pan polał śmieci benzyną i podpalił na balkonie, wszyscy sąsiedzi się skarżyli.

– Ależ nie, przybył do mnie demon z innego wymiaru i chciał mnie pożreć, więc go upiłem i podpaliłem – wyjaśnił uprzejmie Polon.

Niestety nawet te szczere wyjaśnienia nie przekonały policjantów.

– Pan weźmie tę torebkę, na wszelki wypadek, jakby jakiś demon z pana chciał wyjść w samochodzie. Musimy pojechać na komendę, złożą pan wyjaśnienia w tej sprawie. *Ordnung muss sein!* – krzyknęli.

– No tak – powiedział Polon. – *Ordnung muss sein.*



## SPOSÓB NA SĄSIADKĘ

*Sąsiadki z dołu to typ występujący powszechnie pod studenckim mieszkaniem. Nawet jeśli mieszkasz na parterze, magicznie pojawiają się w piwnicy. Z reguły mają posturę stuletniego ogra i wiecznie narzekają na hałas rzekomo płynący z twojego przytulnego mieszkanka. Sąsiadki narzekają, że nie sprzątasz ze współlokatorami klatki schodowej, nawet jeśli sprzątałeś ją ledwie trzy miesiące temu. Jedynie mieszkanie w akademiku może uchronić cię przed klątwą sąsiadki z dołu – mieszkania są regularnie sprawdzane przez wyspecjalizowane firmy pod kątem załęgnięcia się sąsiadek (kosztuje to mnóstwo pieniędzy, dlatego czasem władzom akademika brakuje na szyby w oknach).*

*Naukowcy doszli do wniosku, że sąsiadki z dołu nie potrzebują snu. Wywnioskowali to, zastanawiając się nad motywami, jakimi kieruje się sąsiadka. Większość sąsiadek narzeka na hałas, przez który nie mogą spać, jednak zamiast wyspać się w dzień, poświęcają go na czekanie, aż student będzie przechodził klatką schodową.*

*Problem hałasu, który słyszały sąsiadki, też zaprzętał głowy niestrudzonych badaczy. Wyszuli oni teorię, że gdy spotyka się dwóch (lub więcej) studentów, ciemna materia w kosmosie zaczyna wibrować, tworząc złudzenia słuchowe, które są w stanie odbierać jedynie sąsiadki z dołu. Teoria została sprawdzona przez najwybitniejszych fizyków naszej planety i okazała się ostatecznym dowodem na istnienie ciemnej materii.*

*Vademecum Studenta, Rozdział 4, strona 34*

Radek obudził się z potwornym bólem głowy. Oblewanie wraz z Polonem przeprowadzki na nowe mieszkanie poszło aż za dobrze – w życiu nie poznał i nie zapomniał tylu nowych imion, co na wczorajszej imprezie. Zwlókł się z łóżka i potykając się o paczkę pieluch dla dorosłych, ruszył chwiejnym krokiem w stronę łazienki.

Pomijając kontury pewnych męskich części ciała namalowanych mydłem na lustrze przez rozchichotane studentki i jedną bliżej nieznaną dziewczynę śpiącą pod prysznicem, łazienka była w stanie idealnym. Oblał szybko twarz zimną wodą na rozbudzenie i wrócił do pokoju w celu założenia bardziej stosownych rzeczy (z jakiegoś powodu obudził się ubrany w połowę wojskowego munduru). Zanim jednak zdążył otworzyć drzwi, z pokoju obok dobiegło go wołanie połączone ze

stkiem przekleństw, których nie powstydziliby się zespół pijanych szewców pracujących nad wzbogaceniem języka pod dowództwem Witkacego.

– Radeek! Ty rozkierwoszczały grzybochłaście, chodź tutaj! – rozległo się ponownie rozpaczliwe wołanie Polona.

– Idę! – odkrzyknął.

„Uch, ta polonistyka rzeczywiście odbiła mu się na psychice” – pomyślał. Wyciągnął z szafy szuflę do śniegu i zaczął przebijać się w stronę pokoju Polona. Po piętnastu minutach ciężkiej pracy udało mu się dotrzeć do drzwi, ale nie chciały się ruszyć. Dopiero gdy z rozbiegu uderzył w nie ramieniem, wypadły z zawiasów i z hukiem runęły w głąb pokoju.

Radek zauważył przyczynę swoich kłopotów: jednak powinien był ciągnąć za klamkę. Nie zepsuło mu to humoru, wręcz przeciwnie – poczuł nagły przypływ natchnienia do stworzenia kolejnej epickiej pieśni na gitarze.

– *Jak się bawić, to się bawić, drzwi wypieprzyć, nowe wstawić* – zafalszował paskudnie, wchodząc do pokoju. – Polon! Gdzie ty, do ciężkiej cholery, jesteś?

– Tutaj! – rozbrzmiał zachrypnięty głos dochodzący z balkonu. – Ruszaj dupę szybciej, potrzebuję pomocy!

– O kurde, Polon, jak ty to zrobiłeś? – zapytał zaskoczony Radek, myśląc nad sposobem wyciągnięcia kumpla z opresji.

– Skąd niby mam wiedzieć, szybko bierz drabinę i mnie stąd wyciągnij!

– Cholera, wiem, że lubisz spać w hamaku, ale rozwieszanie sobie prześcieradła między balkonami na szóstym piętrze to już przesada! – wkurzył się Radek. – Skąd niby mam wziąć drabinę?

– W kuchni jest – powiedział Polon, szczękając zębami. – Przywieźliśmy wczoraj naszym wózkiem sklepowym z jakiegoś klubu. Stawiam klina za pomoc – zaoferował się. – Tylko proszę, pospiesz się, jest coś koło dziesięciu stopni...

– No ale będę potrzebował pomocy, żeby ją przenieść!

– A nikt nie został po imprezie?

– Jakaś dziewczyna śpi pod prysznicem, ale nie wiem, kiedy się obudzi.

– Polej ją zimną wodą i zagoń do roboty!

– Sam się zagoń! – odgryzł się Radek. – Co ja, kurde, chłopiec na posyłki jestem?

Spojrzał na minę Polona i złagodniał.

– No dobra, już idę... – powiedział i oddalił się w celu zorganizowania akcji ratunkowej.

Ta przebiegła pomyślnie i po półgodzinie Polon zawinięty w koc pił ciepłą herbatę w towarzystwie zaspanej koleżanki.

– Hej, jestem Polon, a to jest Radek, mieszkamy tutaj. Jak się nazywasz?

– Radek zadbał o poimprezowe *savoir-vivre* i usiadł naprzeciwko.

– Marta – powiedziała dziewczyna.

– Skąd się tutaj wzięłaś? – indagował Radek

– No weź – skarcił go Polon. – Jeszcze ją spłoszysz... – urwał, gdy spojrzała na niego wzrokiem zdolnym przebić się przez zbrojony beton i zabić każdą osobę na tyle głupią, by myśleć, że to wystarczająco dobre schronienie.

– Przyszłam was ostrzec – rozpoczęła Marta. – Mieszkałam tu kiedyś i uznałam, że musicie o czymś wiedzieć.

– Zatem oświeć nas, o pani – powiedział Polon i zarobił kolejne spojrzenie.

– W mieszkaniu pod wami mieszka najwredniejsza sąsiadka na świecie. To w zasadzie jedyny minus tego mieszkania, ale przyćmiewa wszystkie możliwe plusy.

– Nam powiedziano, że lokal pod nami jest pusty i nikt tam nie mieszka – zaprotestował Radek.

– To samo powiedziała mi właścicielka mieszkania, jak się tutaj

wprowadzałam. Jednak tak jakoś po miesiącu zaczęłam podejrzewać, że pod nami mieszka dzika lokatorka. Była straszna. – Martę przebiegł dreszcz. – Potrafiła dopaść na schodach i niemalże zamęczyć na śmierć swoją gadaniną.

– Może już się wyprowadziła – wyraził przypuszczenie Polon. – Inaczej na pewno miałyby do nas pretensje, że byliśmy wczoraj głośno. W każdym razie dzięki za ostrzeżenie.

– Wy nie traktujecie mnie poważnie! – oburzyła się Marta. – Na waszym miejscu uciekałabym natychmiast, podarła umowę i ulotniła się po angielsku. Ja wytrzymałam tu miesiąc.

– W porządku, rozejrzemy się piętro niżej i zobaczymy, co to za potwora – zapewnił Radek. – Pomogłabyś nam ze sprzątaniem trochę?

– Jasne – odparła Marta.

Z generalnym ogarnięciem nie było większego kłopotu – butelki przestawiono pod ścianę, śmieci podrzucono sąsiadom na wycieraczkę, wózek sklepowy i drabinę odstawiono do szafy, a pieluchy dla dorosłych, po krótkiej sprzeczce, znalazły swoje miejsce na balkonie.

– No dobra – powiedziała Marta. – To chyba na tyle. Wpadnijcie kiedyś do mnie, jak będziecie mieli czas – dodała z uśmiechem.

– Z chęcią. – Radek odprowadził ją do drzwi. – Tylko nie zgub mi się tam po drodze! – zawołał za nią.

– Będę uważać! – odkrzyknęła.

– Uuu, stary, hormony buzują – skomentował Polon, kiedy Radek zamknął drzwi. – Żeby ci się tylko uszami nie wylały.

– Wal się, następnym razem zostaniesz na balkonie – burknął na odczepnego Radek. – Nie powinieneś przypadkiem być na zajęciach?

– Jest piętnasta, już po zajęciach – odpowiedział Polon. – Ech, znowu zwolnienie trzeba drukować...

– Chwila, jak to już po zajęciach? To ty w czwartki teraz wcześniej

kończysz?

– Czwartek dzisiaj? No nie, znowu pomyliłem dni, myślałem że dzisiaj wtorek mamy... – Polon się zafrasował. – Znaczy trzeba się spakować i ruszyć cztery litery na uniwersytet.

Radek zaśmiał się w duchu. Nie miał takiej frajdy od czasu, gdy wmówił Polonowi podczas imprezy, że nie może otworzyć lewego oka, bo przestało mu działać. Polon spędził wtedy kilka godzin z zamkniętym okiem, przeświadczony, że otworzenie go skończy się tragicznie, ale w końcu Radek poczuł wyrzuty sumienia i przejechał mu ręką przed twarzą, oznajmiając, że właśnie dokonał regeneracji telepatycznej.

Kiedy indziej Polon przykleił mu kaptur do podłogi, ale to już zupełnie inna historia.

Obaj studenci dokonali szybkiego przeglądu zeszytów, spakowali długopisy, ubrali się odpowiednio i ruszyli zdobywać wiedzę. Schodząc po schodach na piętro poniżej, usłyszeli nieprzyjemny skrzek, zupełnie jakby papudze wrywano pióro. Przyspieszyli i zdążyli zobaczyć, jak drzwi rzekomo niezamieszkanego lokalu zamykają się z trzaskiem.

– Oj, chyba jednak się nam poszczęściło z sąsiadką. – Radek westchnął.

– Nie czepia się, to nie mamy co narzekać – powiedział Polon, wzruszając ramionami.

– Sądysz, że jest zła za wczoraj?

– Sądzę, że zaczniemy przyklejać do drzwi zatyczki do uszu przed każdą imprezą.

– Myślę, że to dobry plan.

– Myślisz?

– Zdarza mi się.

– To dobrze.

Zajęcia mijaly Radkowi szybko, wykłady jeszcze szybciej, głównie dlatego, że na większości zmęczenie brało górę i zasypiał snem sprawiedliwego. Polon z kolei stał przed salą i klął w sobie tylko znanym języku. Z pasją kopnął walającą się na korytarzu puszkę – o dziwo, nie była to puszka po piwie. Nie mając nic specjalnego do roboty na uniwersytecie, postanowił wrócić do domu i zbadać mieszkanie pod nimi.

Gdy wchodził po schodach, usłyszał skrzypienie powoli otwierających się drzwi. Jednak kiedy wszedł na półpiętro, te zamknęły się z trzaskiem. Poprawił torbę na ramieniu i cichutko, na palcach zbliżył się do drzwi. Ponieważ nie chciał wpaść na sąsiadkę, postanowił zajrzeć przez wizjer. Niczego nie udało mu się wypatrzeć, nawet nie zobaczył wnętrza lokalu – całe pole widzenia wypełniła krwista czerwień. „Pewnie zakrywa wizjer czerwoną kartką” – pomyślał i ruszył do domu. Jednak cały czas czuł się nieswojo, jakby ktoś obserwował jego plecy. Zrzucił to jednak na karb zmęczenia i ogólnego nieogarnięcia. Aby szybko sobie z tym poradzić, natychmiast po wejściu do mieszkania rzucił się na łóżko i zasnął. Obudził go wchodzący na korytarz Radek.

– O, stary, ale historia! – krzyknął współlokator zaraz po przekroczeniu progu. – Popytałem tu i ówdzie, i dowiedziałem się kilku ciekawych rzeczy na temat naszej sąsiadki.

– Na przykład? – zapytał Polon, wychodząc z pokoju i przecierając oczy.

– Wyobraź sobie, że kilka osób ode mnie z roku mieszkało tutaj, ale nikt długo nie wytrzymał, nikt też nie wie, jak ona się nazywa. W zasadzie nigdy nie opuszcza swojego mieszkania, a jeśli już to robi, to tylko po to, by opieprzyć Bogu ducha winnych studentów.

– Też mi coś – sarknął Polon. – Przypomina mi to każdą sąsiadkę z dołu, z którą dotąd miałem do czynienia.

– Jest coś jeszcze – kontynuował niezrażony Radek. – Spotkałem Martę i mówiła mi, że nasza droga sąsiadka jest albinoską. Czaisz? Biała jak wampir, a oczy ma w kolorze taniego wina truskawkowego. Co z tobą?

– Nic takiego – mruknął Polon, który przed chwilą poczuł, jakby do żołądka wpadła mu kula lodu. – Nie wyspałem się przez ciebie! – rzucił obrażonym tonem. – A za ten numer ze zmianą wtorku na czwartek zapłacisz mi krwią!

– Znaczy mam odpalać komputer i gramy?

– Turniej ma być! Zamierzam ośmieszyć cię przed całym Internetem!  
– pieklił się Polon.

– No, no, już, spokojnie, spokojnie – mruzczał pojednawczym tonem Radek.  
– Wtorek czy czwartek, w sumie, co to dla ciebie za różnica?

– Zaraz zobaczysz, co to za różnica – warknął Polon, włączając komputer.

I ruszyli do walki.

Poza ledwo uchwytną aurą niepokoju, która zapanowała w mieszkaniu, następne dni nie przyniosły niczego nowego. Drzwi piętro niżej ciągle zamykały się z trzaskiem, jak tylko zaczęli schodzić po schodach, zatyczki do uszu znikwały. Polon, mając dość tej nieznośnej atmosfery, postanowił zaopatrzyć się w egzemplarz *Vademecum Studenta*.

– Patrz, tutaj piszą, że sąsiadki można usuwać, jak się zalęgą pod twoim mieszkaniem.

– Podają jakieś sposoby? – zapytał Radek.

– Niestety nie, ale podają numer do wyspecjalizowanej firmy i konsultanta do spraw sąsiadek.

– No weź, co ci w sumie ta sąsiadka szkodzi? Nie narzeka, nie każe klatki schodowej sprzątać, nie opowiada o swojej rodzinie, jak cię dorwie – wyliczył.  
– Coś ty się tak uparł?

– Prowadzi z nami wojnę psychologiczną – wyjaśnił Polon. – Za chwilę przestanie jej to wystarczać i znajdziemy się na celowniku. Lepiej działać, póki jeszcze czas, potem może być za późno.

– Fatalista – skomentował Radek. – Ale niech ci będzie, zadzwonić nie zaszkodzi. To jak?

– Dzwonię.

Polon wyciągnął komórkę i wprowadził numer z książki do pamięci telefonu,

po czym przycisnął zielony guzik. Po kilku sygnałach w słuchawce odezwał się konsultant.

– Desąsiadkozacja, słucham.

– Witam – rozpoczął Polon. – Mam problem z sąsiadką z dołu.

– Rozumiem, jak mogę panu pomóc?

– Czy może pan podpowiedzieć, jak pozbyć się kłopotu?

– To zależy od stadium rozwoju sąsiadki. Świeżo po wylęgnięciu, stadium larwalne czy pełna postać?

– Nie rozumiem, o czym pan mówi... – bąknął zbaraniały Polon.

– To może niech pan po prostu opisz sąsiadkę i powie wszystko, co pan wie na jej temat.

– Hmm, z całą pewnością ma czerwone oczy, ponoć jest albinoską, nie wychodzi poza swoje mieszkanie, nikt nie zna jej nazwiska, trzaska drzwiami, jak schodzimy schodami... W zasadzie właścicielka mieszkania powiedziała nam, że mieszkanie pod nami stoi puste. Niby sąsiadka zbytnio nam nie przeszkadza, ale mam wrażenie, że właśnie rozpoczęła wojnę psychologiczną.

– Pan mieszka na ulicy Rolnej?

– Tak, a skąd pan wie? – zdziwił się Polon.

– Cóż, jakby to ująć... Otóż, niestety, nieszczęśliwie pan trafił. Nie wszystkie sąsiadki to ludzie. Zgodnie z prawem natury w mieszkaniu pod stacją studencką musi być przynajmniej jedna wredna sąsiadka. Czasami jednak natura nie może wypełnić pustki pod mieszkaniem studenckim i wtedy, żeby miał kto narzekać, inne sąsiadki wskazują w istnienie. Są one o wiele bardziej niebezpieczne od takich normalnych sąsiadek, potrafią dosłownie zamęczyć i zanudzić człowieka na śmierć. Co więcej, pod pańskim mieszkaniem ponad dwadzieścia lat temu zalęgła się sąsiadka albinos, podałbym nazwę łacińską, ale zapomniałem. Dość, że jest to jedyny okaz w kraju, a uchodzi on za najniebezpieczniejszy na świecie – tłumaczył konsultant. – Jedyna rada, jaka mi przychodzi do głowy, to uciekać stamtąd czym prędzej. Zanim się zorientowaliśmy, jaki to gatunek, straciliśmy dwie ekipy



desąsiadkujące.

– Jak to: straciliście? – Polon nie zrozumiał.

– Przykro mi o tym mówić, ale ta sąsiadka może przejść w dowolne stadium rozwoju w każdej chwili. Nasze ekipy są wyspecjalizowane pod kątem konkretnego stadium i najnormalniej w świecie nie dały rady jej sile nudząco-pretensyjnej. Żaden członek tych ekip nie był już w stanie pojawić się w biurze – powiedział z żalem konsultant.

– Znaczy co, mamy po prostu się poddać?

– O, mieszka pan ze współlokatorem? To o wiele lepiej, wtedy sąsiadce trudniej jest rozpocząć wojnę psychologiczną. Ale wracając do pańskiego pytania, tak, poddać się i uciekać, uważam, że nawet studenci zaprawieni w sąsiadkowych bojach poddaliby się w tym przypadku. Radzę zniknąć po angielsku, jeśli będziecie mieli z tym problem, przysłemy wam jakąś pomoc.

– Cóż, hmm, w takim układzie chyba nic innego nam nie pozostaje. Dziękuję za radę – podziękował Polon.

– Proszę bardzo – powiedział konsultant i się rozłączył.

– I co, i co? – dopytywał się Radek, widząc, że Polon odkłada telefon. – Coś chyba rozmowa nie poszła...

– Ano nie poszła. Według nich mamy uciekać stąd czym prędzej.

– Poddamy się ot tak, bez walki?

– Oczywiście, że nie – zaperzył się Polon. – Będziemy walczyć do ostatniej kropli wódki!

– Myślisz, że da się z nią powalczyć przez Internet?

Polon obrzucił Radka spojrzeniem, którego nauczył się kilka dni temu od Marty.

– Nie masz lepszych pomysłów?

- Może zajrzemy do książki?
- Czemu nie, może przyjdzie nam coś do głowy.

*(...) Jak wiadomo, sąsiadki przyprawiają każdego studenta o nielichy ból głowy, porównywalny jedynie z bólem szczęki po próbie odgryzienia kapsla od butelki piwa. Brać studencka od lat pracuje nad problemem sąsiadek i dopiero niedawne przełomowe badania studentów Wyższej Szkoły Otwierania Piwa dokonały kroku milowego w sztuce radzenia sobie z nimi. Publikujemy wyniki tych badań, aby żyło się lepiej i dostatniej. (...)*

*Przede wszystkim trzeba zrozumieć strategię sąsiadki. Większość sąsiadek łapie swoje ofiary na klatce schodowej i zamęcza je potokiem słów (gdy biedny student cierpi na delikatny ból głowy po wcześniejszym kulturalnym spotkaniu z kieliszkiem wina, to potok słów przebijający się przez czaszkę niemalże zabija). Jakim cudem sąsiadce udaje się prawie za każdym razem złapać studenta? Nad tym pytaniem zastanawiali się studenci WSOP. Po kilkuset przechadzkach korytarzem doszli do wniosku, że sąsiadki muszą cały czas siedzieć przy wizjerze i kontrolować klatkę schodową – gdy tylko zobaczą, że ofiara nadchodzi, błyskawicznie wyślizgują się z domu.*

*Wielu może zapytać: skąd wiedzą, że to akurat student? Rozpoznają go po podkrążonych oczach, chodzie zombie i tym, że cały czas trzyma się za głowę. Dlatego należy ograniczyć wychodzenie z domu dzień po kulturalnym spotkaniu; najlepiej zaprosz znajomego do domu, wystawiając go sąsiadce. To dość wredne zagranie, ale możesz się przecież z nim umówić, że za każdy zebrany ochrzan dostanie piwo. Koniecznie zaprosz kogoś niepijącego, nie będzie tak cierpiał, jak ktoś po imprezie, no i piwo będzie dla ciebie.*

*Zwalczajcie problem u podstaw – zamiast bawić się w skradankę na klatce schodowej. Zrozumcie dyskomfort, jaki odczuwają sąsiadki – i przywieście im na drzwiach, mocując taśmą klejącą, jednorazowe zatyczki do uszu (koszt to około dwóch złotych w pobliskiej aptece). To pomoże uniknąć problemów i cierpień obu stron konfliktu. Możecie też spróbować zaprosić sąsiadkę na spotkanie, ale ostrożnie; okazuje się, że mają naprawdę mocną głowę (autor nie omieszkał sprawdzić i potwierdza). Pozdrawiamy niestrudzonych badaczy z WSOP, którzy poświęcili rok na swoje badania.*

– Za dużo tutaj nie ma. Ani nie wiemy, czym się sąsiadki żywią, ani jak można je zwalczyć. Poza tym numer z zatyczkami już wypróbowaliśmy i nic to nie

dało. – Radek się zasepił. – Może naprawdę powinniśmy się poddać?

– Naprawdę to powinienes zamknąć ryj – warknął Polon. – To nasze cholerne mieszkanie i żadne sąsiadki albinoski nie dadzą nam rady!

– Więc co proponujesz? Nie chcę siać defetyzmu, ale jak mamy z nią walczyć, skoro nic o niej nie wiemy?

– Zatem musimy ją poznać – zarządził Polon. – Zakładaj buty, wpadniemy do niej z wizytą.

Po chwili, trzęsąc się z ekscytacji, stali pod odrapanymi drzwiami do mieszkania sąsiadki. Radek zajrzał przez wizjer – oczywiście nie zobaczył niczego poza głęboką czerwienią. Postanowił zapukać, jednak nim jego ręka dotknęła drzwi, te otworzyły się gwałtownie.

– Dzień dobry – powiedzieli studenci.

– Nie wiem, czy taki dobry – zaskrzeczała staruszka o czerwonych oczach.  
– Wszystko mnie dzisiaj boli, szczególnie krzyż, czuję takie pulsowanie...

Studenci natychmiast poczuli, jak staruszka wysysa ich siły życiowe. Jednak zaprawieni w bojach imprezowych byli w stanie wytrzymać duże ubytki energii.

– Wejdźcie do środka – zaprosiła ich sąsiadka, zaskoczona faktem, że w ogóle trzymają się jeszcze na nogach. – Przygotuję wam herbatki.

Studenci weszli i na wyraźną prośbę sąsiadki usiedli na kanapie. W środku pachniało świeżo wypraną odzieżą, a na suszarce wisiała bielizna wielkości średniego spadochronu.

– Nie patrz na to – syknął Polon do Radka. – To na pewno jakaś śmiercionośna broń. Na wszelki wypadek nie dotykaj niczego, dobra?

Radek tylko pokiwał głową. Czując ciągły ubytek sił, wyciągnęli przygotowany wcześniej na taką okazję napój energetyczny wymieszany z wódką w proporcjach jeden do jednego. Wychylili pierwszą butelkę jednym haustem, czując, jak ożywcze ciepło rozchodzi się po organizmie, a procenty dodają im śmiałości.

– Mam was, wy hałaśliwe hultaje! – rzuciła sąsiadka, wchodząc do pokoju. Oczy błyszczały jej krwistą czerwienią, a na bladej twarzy malował się uśmiech drapieży. – Ojej... znaczy, zaraz przyniosę herbatkę – powiedziała wyraźnie zdezorientowana. – Słodzicie? – Uśmiechnęła się sympatycznie.

– Nie, dziękujemy, damy radę bez cukru. Usiądzie pani z nami?

– No usiądę, usiądę, co zrobić, zmęczona, stara kobieta jestem...

– Ma pani bardzo ładne zdjęcia na ścianie – rozpoczął rozmowę Polon.  
– Musi mieć pani bardzo liczną rodzinę.

– Och nie, to moje trofea.

– Słucham?

– Och, kiedyś przyszło tu kilku takich i chcieli, żebym sobie poszła, ale po pięciu minutach się stąd wyczołgali. Nosili te zdjęcia w portfelach, teraz to moje trofea. Nie mieli siły ze mną rozmawiać, wyobrażacie sobie? – Uśmiechnęła się paskudnie.

– Absolutnie sobie tego nie wyobrażamy – powiedział Polon, nonszalancko popijając herbatę.

Radek, który ledwo trzymał się rzeczywistości, spojrzał na Polona z podziwem. Niby wiedział, że Polon odpada jako ostatni na imprezach, ale nie spodziewał się w nim aż takich pokładów energii. Szybko dolał sobie napoju energetycznego do herbaty i wypił jednym haustem. Szturchnął współlokatora w umówiony sposób, dając tym samym sygnał, że ma już dość. Polon natychmiast dopił swoją herbatę.

– Cóż, było nam bardzo miło i z chęcią odwiedzimy panią jeszcze raz – powiedział. – Czy możemy przyjść pojutrze?

– Ależ oczywiście, zapraszam – odparła sąsiadka i uśmiechnęła się złowrogo. – Odprowadzę was do drzwi.

Dopiero kiedy opuścili mieszkanie, Radek poczuł się lepiej. „Od teraz żadna pełna zakuwania noc przed egzaminem mnie nie przerazi” – pomyślał. Spojrzał na Polona, nadal tryskającego energią.

– Jak ty to robisz? – zapytał współlokatora.

– Jak robię co? – nie zrozumiał Polon

– Jak udało ci się nie zemdleć, gdy mówiła o bolących stawach? Ja mam wrażenie, że wtedy mi się film urwał...

– No wtedy było kiepsko. Ale przynajmniej poznaliśmy wroga i możemy rozpocząć działania wojenne.

– Przyszedł ci do głowy jakiś pomysł? – zapytał Radek, zataczając się ze zmęczenia. Białe myszki prowadziły go po schodach, a przygrywające im na akordeonach miniaturowe słonie skakały wesoło na pobliskim parapecie. „Cholera, mamy halucynogenną sąsiadkę” – przebiegło mu przez myśl.

– Przyszedł. Ale prześpij się najpierw, bo wyglądasz, jakbyś miał zaraz paść na nos.

\*\*\*

Radek obudził się kompletnie zdezorientowany.

– Spałeś dwadzieścia godzin – poinformował go Polon.

– Co?

– Dwadzieścia godzin – powtórzył Polon i wstał z krzesła. – Ostro cię wymęczyła ta sąsiadka.

– Uch... Ciężko było, to fakt. Jakim cudem udało ci się tak długo utrzymać na nogach? Ja myślałem, że zaraz tam padnę.

– Przełączyłem się w tryb sesji.

– Kurde, przecież też mogłem tak zrobić... Ale mniejsza z tym. Jaki masz plan?

– Potrzebujemy dużo energii, więc musimy się najeść, wypić po kilka kaw i pójść do niej przełączeni w tryb sesji egzaminacyjnej.

– Jak długo możesz się uczyć w takim trybie?

– Ze cztery dni non stop, a ty?

– Też mniej więcej tyle. I to jest twój genialny plan?

– Wiesz, czym się żywi ta sąsiadka? – zapytał Polon tajemniczo. – Bo myślę, że udało mi się to odkryć.

Radek pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia – odparł.

– Wygląda na to, że sąsiadki żywią się energią – stwierdził Polon. – Więc niech się zapcha, zobaczymy, co się stanie.

– Cóż – mruknął Radek. – Lepszy taki plan niż żaden.

Przespali się kilka godzin, wypili kawy, usiedli naprzeciwko siebie i zaczęli powtarzać:

– Pojutrze egzamin... pojutrze egzamin...

– Radek, do cholery, z życiem! Musisz w to uwierzyć!

– Pojutrze egzamin... pojutrze egzamin... O cholera, pojutrze egzamin!  
– zawył Radek i złapał za najbliższą książkę. Polon natychmiast wyrwał mu ją z rąk i mocno przywalił kumpłowi w głowę.

– Nie możemy się uczyć, póki nie pójdziemy na herbatkę! – huknął.

– Racja... – wymamrotał Radek. – Herbatka...

Polon spojrział na niego z niesmakiem. „On się chyba regularnie uczy” – pomyślał. „Jego tryb sesji jest kompletnie niestabilny”. Przymknął na chwilę oczy, a gdy je otworzył, był gotów. Wyszli na korytarz i zamknęli za sobą drzwi. „Cóż, naszym atutem jest fakt, że Radek wygląda na łatwy cel” – przemknęło Polonowi przez głowę.

Stanęli przed mieszkaniem sąsiadki. Zanim zdążyli zapukać, kobieta pociągnęła za klamkę. Tym razem wejście do środka nie zrobiło na nich żadnego wrażenia, gadka o stawach wydawała się interesująca, a sąsiadka z każdą chwilą wyglądała na bardziej zdesperowaną.

– Widzę, że teraz przysłali profesjonalistów – powiedziała w końcu, mierząc ich złowrogim spojrzeniem. – Ale to i tak wam nie pomoże!

Jej twarz stężała, oczy zabłysły karminem i zaczęła Pobór.

– Ta herbatka jest doprawdy doskonała, czy mogę prosić o jeszcze jedną?  
– zapytał uprzejmie Polon, zupełnie nie zwracając uwagi na gwałtownie uchodzącą z niego energię.

– A, tak. Herbatka. Już przynoszę – powiedziała zdumiona sąsiadka.

Jej oczy jarzyły się niczym węgle. Przynosząc dolewkę, zwiększyła Pobór do granic swoich możliwości.

Okna otworzyły się gwałtownie, żarówki przygasły, herbatka wystygła (fakt ten studenci przyjęli z żalem), a mieszkanie ogarnął mrok. Widać było tylko żarzące się ślepie sąsiadki rosnące z każdą sekundą. Wokół bloku zaczęły spadać z nieba kompletnie wyczerpane ptaki, a ludzie w mieszkaniach padali na podłogę bez zmysłów.

Radek dłubał w nosie. Gorejące ślepie spojrzały na niego, a on uśmiechnął się przepaszająco i wytarł rękę w kanapę. Tego było za wiele. Sąsiadka zawyła potępieńczo i zapadła się w sobie. Po chwili wyskoczyła z istnienia z cichym pyknięciem. Mieszkanie zaczęło się zmieniać. Wszystko stawało się przezroczyste; meble, jeden po drugim, zaczęły się dematerializować.

Studenci ruszyli biegiem do coraz mniej wyraźnego wyjścia i w ostatniej chwili wypadli na klatkę schodową. Po chwili znane im, odrapane drzwi zniknęły i zostały zastąpione przez solidny kawałek muru.

– No, Radek, udało się! – Polon zaśmiał się, klepiąc Radka po plecach.  
– Świetny miałeś sposób na tę sąsiadkę!

– Sposób? O co ci chodzi? – nie zrozumiał Radek.

Polon tylko machnął ręką.



## WYKŁAD

*Wykładowca to jedna z niewielu osób znajdujących się na uniwersytecie, która jest mocno osadzona w rzeczywistości. Kompletnie przeciwieństwo studenta – wiecznie trzeźwy, nienagannie ubrany, stanowi niemalże obcy element w środowisku akademickim. Rozróżniamy kilka rodzajów wykładowców: wykładowca właściwy, ćwiczeniowiec i wykładowca lektoratu. O ile wykładowca właściwy wnosi ze sobą element obcej rzeczywistości na salę wykładową i pozostaje w niej bezpieczny aż do zakończenia wykładu, o tyle przypadki ćwiczeniowca i wykładowcy lektoratu możemy podać jako interesujący przykład efektu dyfuzji rzeczywistości studencko-profesorskiej. Innymi słowy, trudniej u nich zdobyć zaliczenie, ponieważ zdarza im się czasami – o zgrozo – słuchać, co mówi student na zajęciach.*

*Oczywiście, od tych reguł bywają wyjątki.*

Vademecum Studenta, rozdział 4, strona 38

– No weź mi powiedz, po cholere przyszedliśmy dzisiaj na ten dodatkowy wykład – powiedział po raz kolejny Radek, rozglądając się po sali.

– Ciii – szepnął Polon. – Zaraz po nim mam odebrać notatki na jutrzejsze kolokwium.

– To po co mnie tu w ogóle wyciągnąłeś?

– Bo mam też do odebrania księżycówkę – przyznał się Polon.

– Księżycówkę? Wódkę z kamieni księżycowych? – zdziwił się Radek.

– Bimber, jełopie.

– Z akademika?

– Nie, coś ty. Oni tam pędzą bimber ze starych skarpet. – Polon się wzdrygnął. – Lepiej tego nie pić, działa jak halucynogeny. Spróbowałem raz i nigdy więcej.

Do wykładowcy najwyraźniej dotarł szmer płynący z sali i obrócił się,

szukając jego źródła. Widać bąbel szarej rzeczywistości, unoszący się wokół niego niczym tarcza, był wyposażony w dodatkowe detektory nieuwagi. Studenci natychmiast zajęli się udawaniem, że robią coś konstruktywnego. Wykładowca przeszukiwał wzrokiem salę, przez chwilę zatrzymując spojrzenie na drzwiach wejściowych. Potem wrócił do rysowania skomplikowanego wykresu, którego nikt oprócz niego nie rozumiał. I nic dziwnego – nie pochodził z tej rzeczywistości.

– Założę się, że on też marzy tylko o tym, żeby już stąd wyjść – odezwał się Polon. – Ciekawy jestem, jak on sam wytrzymuje na swoich wykładach.

– Nie wiem, jak on wytrzymuje, ale mnie idzie wyjątkowo kiepsko. Po cholery namawiałeś mnie, żebym tutaj przyszedł? – zapytał z wyrzutem Radek.

– A co miałem zrobić? Oprócz ciebie nikt nie chce ze mną grać w statki na wykładach.

– Może dlatego, że ludzie chcą mieć jakieś notatki?

– A nie mogą sobie skserować od kogoś?

– Polon, do cholery, przecież ktoś musi notować na wykładzie, żeby było od kogo kserować!

– Chwila, zaraz... Masz rację. – Polon doznał oświecenia. – Widzisz? Kolejny argument za tym, żebyś chodził ze mną na wykłady: zyskam lepsze notatki, bo nie będę przeszkadzał non stop osobie siedzącej koło mnie prośbami o grę w statki.

– Zapomnij, mam swoje wykłady. Zacznę chodzić na twoje, jak zaczniesz chodzić na moje – zaproponował Radek.

– Ale ja nic z tego nie rozumiem!

– O, przepraszam, a na swoich coś rozumiesz?

Polon zastanowił się chwilę. Gadanie wykładowców zawsze traktował jak uporczywy dodatek i swoiste utrudnienie podczas gry w statki. W zasadzie nawet lubił chodzić na wykłady; potok niezrozumiałych słów, wlatujących jednym uchem i wylatujących drugim, był dla niego jak uspokajający szum morza o poranku, choć czasem, gdy nie mógł trafić w statek przeciwnika, traktował gadaninę jak

upierdliwą muchę, notorycznie i z czystej złośliwości siadającą mu na głowie. Nieraz zdarzało mu się odruchowo opędząć od niej ręką.

– Halo, Polon, tu sala wykładowa Ce trzy, odbiór! – powiedział mu wprost do ucha Radek.

– Nie rycz mi do ucha, słyszę dobrze. – Polon odchrząknął. – Wiesz, teraz, jak już o tym wspomniałeś, to pomyślałem sobie, że masz rację: swoich wykładowców nie słucham, twoich nie rozumiem, w efekcie wychodzi na jedno. Niech tam, przejdę się na jakiś wykład tam u ciebie.

– Możesz powtórzyć? – zapytał Radek, nie wierząc własnym uszom.

– Prosiłbym, żeby panowie rozmawiali trochę ciszej, a najlepiej w ogóle. Da się zrobić? – zapytał człowiek spod tablicy. Otulająca go szara osnowa rzeczywistości zafalowała jak woda, do której ktoś wrzucił dziennik praktyk.

– Oczywiście, przepraszamy – powiedział głośno Radek, uśmiechając się głupkowato, a wykładowca wrócił do swojego poprzedniego zdania.

– Więc, jak już zauważyliśmy, fenomenologia świadomości aksjologicznej w kontekście meandrów podmiotowości i światłocieni świadomości zgodnie z trzecim imperatywem wymienionym w gąszczu znaków jest industrializacyjna...

Cała sala jak jeden mąż westchnęła ciężko i zabrała się za notowanie. Tymczasem wykładowcy, kończącemu już rysowanie wykresu, wyczerpała się kreda.

– Ty, zobacz, co on wyprawia – szepnął Radek, patrząc jak wykładowca, zupełnie niezrażony brakiem kredy, wodzi czubkami palców po tablicy. – Myślisz, że to normalne?

– Jak na wykładowcę całkiem normalne. Widziałem gorsze rzeczy – odszepnął Polon, przypominając sobie, jak kiedyś jeden z profesorów zaangażowanych w walkę o równouprawnienie kobiet przybył na wykład w sukni. – To nic takiego.

– Jesteś pewien? – zapytał Radek, spoglądając w stronę skonfundowanego nauczyciela, wokół którego zaczęły dziać się dziwne rzeczy.

Otoczająca go osnowa zafalowała, jakby pod wpływem potężnego wichru, i pociemniała mocno. Po chwili zaczęła blednąć i znikać. Na sali wybuchło pandemonium.

– O cholera! – zawył Polon. – Ten facet jest kompletnie oderwany od rzeczywistości!

Spanikowani studenci z krzykiem wybiegali z sali. Tymczasem osnowa oderwała się od wykładowcy z trzaskiem, przypominającym dźwięk towarzyszący głębokiemu ukłonowi w wykonaniu eleganta odzianego w mocno za ciasne spodnie, i kołysząc się niezdarnie, niczym liść na wietrze, wyfrunęła za drzwi.

– No to teraz się zacznij. Kryj się pod ławkę! – rzucił Polon.

– Ale co się dzieje?

– Ten wykładowca właśnie zaczął Uczyć – wyjaśnił grobowym głosem Polon.

I miał rację. Z głowy wykładowcy wypływały czarne macki wiedzy, z zawrotną prędkością pędząc ku studentom w panice uciekającym z pomieszczenia. Kilka osób nie zdążyło i czarne pasma ni to dymu, ni to cienia wpłynęły im do uszu. Na twarzach nieszczęśników pojawiła się mina błogiego oświecenia, która wygrałaby w każdym konkursie min, nawet przeciwpiechotnych. Wykładowca zaczął już drzeć drugą rzeczywistość – bez bezpiecznej osłony swojej osnowy tkwił niczym cierń w środowisku studenckim, a każde jego poruszenie wydawało dźwięk podobny do tego, jaki wydaje nowiutki tapczan, na którym kot testuje swoje pazury. Czarne smugi krążyły po sali, szukając kolejnych ofiar, a gdy wykładowca skinął ręką, zarażeni studenci niczym bezwolne marionetki podeszli do niego, szorując stopami po podłodze.

Tylko Radek i Polon, nietknięci przez Wiedzę, obserwowali ten straszliwy spektakl przez dziurę po sęku w ławce, trzęsąc się ze strachu.

– Co teraz? – zapytał Radek.

– Przede wszystkim musimy się stąd wydostać, zanim on nas czegoś nauczy – zarządził Polon. – Potem musimy odnaleźć jego rzeczywistość i zmusić ją do współpracy. Inaczej ludzie w tym budynku zaczną się uczyć – powiedział i zamarł, przejęty powagą sytuacji, w jakiej się znaleźli.

– Świetnie, ale jak wydostaniemy się z tego pomieszczenia niezauważeni?

– Musimy wykorzystać nasze najmocniejsze atuty.

– Czyli co?

– Czyli siłę naszej ignorancji. Szybko, narysuj tutaj planszę do gry w statki.

– Podał Radkowi kartkę.

– A ty?

– Ja już narysowałem. No, pośpiesz się, im dłużej to trwa, tym dalej może odlecieć jego rzeczywistość.

Radek rzucił się do rysowania. Po chwili koślawa plansza była gotowa.

– Świetnie, a teraz nanieś na nią swoje statki – zaordynował Polon.

– Co?

– Bez dyskusji!

– Zrobione – zameldował po chwili Radek.

– Dobra, teraz słuchaj, plan jest taki: unosimy kartki nad głowę i staramy się grać, wychodząc z wykładu. Za każdym razem, gdy zobaczysz, że szarżuje na ciebie to czarne gówno, strzelaj!

– Myślisz, że to zadziała?

– Nie ma takiej Wiedzy, której nie da się rozbić o bezpieczną opokę studenckiej ignorancji – stwierdził filozoficznie Polon. – To na trzy. Raz... Dwa... Trzy!

Studenci wyturlali się spod ławki i zaczęli biec w stronę wyjścia. Czarne cienie Wiedzy natychmiast zwróciły na nich uwagę.

– Ce siedem! – krzyknął Radek, widząc, jak szarżuje na niego półprzezroczysta macka. Poczul uderzenie w kartkę trzymaną nad głową

i zobaczył, jak cień szarzeje i rozwiewa się w powietrzu.

– Pudło! – odpowiedział Polon, tym samym niszcząc kolejną z macek. – De sześć!

– Trafiony!

– Ce cztery!

– Trafiony! – krzyknął Polon, dopadając do drzwi i otwierając je na oścież.  
– Szybko, zanim wylecą za nami!

Radek zniszczył jeszcze jedną mackę i wyskoczył za próg. Zatrzasnął drzwi i odwrócił się w stronę Polona, któremu cień właśnie wpełzał do ucha. Ruszał się coraz wolniej i wolniej, aż w końcu zamarł kompletnie. Oprzytomniały nagle Polon wyciągnął poszarzały pasek z ucha i zdumiony patrzył, jak ten zmienia się w proch.

– Jak rany, co się stało? Myślałem że już mnie ma – powiedział zduszonym głosem.

– Myślę, że zabiła go twoja naturalna ignorancja – wysunął hipotezę Radek.  
– Czyli jesteś w pełni chroniony przed Wiedzą, masz odporność od urodzenia – powiedział z zazdrością.

– A, kit z tym. Musimy znaleźć tę rzeczywistość, zanim ją sobie ktoś przywłaszczy. I zanim ci nieszczęśnicy za dużo się nauczą.

– Gdzie ją mogło wywiać?

– Proponuję najpierw poszukać w bibliotece – zasugerował Polon. – Istnieje spora szansa, że tam będzie się czuła jak u siebie.

– No dobra – zgodził się Radek.

Szybkim krokiem udali się do uniwersyteckiej składnicy książek. Rzeczywistość zauważyli natychmiast po przekroczeniu progu biblioteki – doczepiła się do sekcji słowników.

– Oj, będzie z nią ciężko – stwierdził Polon.

– Dlaczego?

– Zobacz, przyczepiła się do jedynych książek, których nikt nigdy nie przeczytał w całości. To jakaś nietypowa rzeczywistość, przecież słowników nikt nie lubi.

– Chcesz ją odciąć od książek i zanieść z powrotem do sali? – zapytał Radek.

– Nigdy w życiu! Musimy ją przekonać do współpracy, wykładowca z okaleczoną rzeczywistością jest jeszcze gorszy od takiego kompletnie od niej oderwanego – wytłumaczył szybko.

– Znaczy, chcesz z nią porozmawiać?

– Zgadza się.

Studenci nieśmiało podeszli do sekcji najnudniejszych książek świata.

– Uhm, halo? – zagadnął grzecznie Radek.

– Tak? – odezwał się jeden ze słowników.

– Słuchaj, potrzebujemy cię. Tam z wykładowcy wylewa się Wiedza, a ty zaszyłaś się w dziale ze słownikami – skarcił rzeczywistość Polon.

– Nie chcę tam wracać – powiedziała dobitnie rzeczywistość. – Każdy ma swoją godność. Ja też, wyobraźcie sobie. Wolę już być rzeczywistością biblioteczną, to niemal dyskoteka w porównaniu z tymi wykładami.

– A jeśli nauczymy cię trochę ignorancji? – spróbował Radek.

– Interesujące – zamruczała rzeczywistość. – Mogłabym wtedy przetrwać cały wykład, myśląc o czymś zupełnie innym, prawda?

– Zgadza się – powiedział przymilnie Polon. – To jak, umowa stoi?

– A co mi tam. Stoi. O ile to zadziała.

Pół litra później rzeczywistość zaczęła łapać, o co chodzi, i zgodziła się na powrót do starej funkcji. Studentom został jeszcze jeden problem do rozwiązania.

– Słuchaj, a w jaki sposób przyczepimy ją z powrotem i naprawimy te paskudne rozdarcia? – zapytał Polon.

– Uch, nie mam pojęcia. Co masz w kieszeni?

– Długopis, jakąś starą kartkówkę, taśmę klejącą i gumę do żucia – zaraportował.

– Czekaj chwilę. – Radek zaczął sprawdzać swoje kieszenie. – Mam mniej więcej taki sam zestaw. Spróbujemy na gumę do żucia czy na taśmę klejącą?

– E, wyjdzie w praniu. Proponuję pełen spontan.

– Chcesz kompletnie zignorować ryzyko?

– Tak, bo ignorując ryzyko nauczania się czegokolwiek, ignoruję koncept uczenia się jako taki – stwierdził Polon. – Ignorancja w ignorancji to tarcza nie do przebicia. – Uśmiechnął się szeroko.

Studenci wpadli do sali wykładowej, rękami odtrącając atakujące ich smugi Wiedzy. Te, widząc, co się szykuje, postanowiły zewrzeć szyki i zebrać się przy wykładowcy. Dzielni młodzieńcy tylko na to czekali – rozciągnęli rzeczywistość i uwięzili złowrogie cienie razem z wykładowcą. Taśmą klejącą szybko skleili wyrwy w rzeczywistości studenckiej, a rzeczywistość eksbiblioteczną załatali gumą do żucia. Po chwili obserwowali, jak czarne macki wciskają się z powrotem do głowy wykładowcy, który obudził się z transu. Podobnie jak uwięzieni wcześniej studenci.

– Polon, ty idioto! – wydarł się wściekle jeden ze świeżo ockniętych. – Właśnie miałem zrozumieć imperatyw kategoryczny, a ty znowu musiałeś coś spieprzyć!

– Kiedyś mi za to podziękujesz! – odkrzyknął Polon i po chwili dodał obrażonym tonem: – Świat nie rozumie geniuszy.

Radek pokiwał w zadumie głową.



## TRZECIE PRAWO STUDENTA

*Podpijacz (biberetus vulgaris) – w mitologii studenckiej istota nierozzerwalnie związana z każdym spotkaniem studentów, na którym pojawia się alkohol. To płochliwe stworzenie widywane jest tak rzadko, że żadna redakcja na świecie nie dysponuje zdjęciem rzeczonyj istoty. Jednak dzięki relacjom naocznych świadków zostających sam na sam ze znikającym alkoholem można się pokusić o podanie rysopisu.*

*Podpijacz jest stworzeniem niewielkim; osobniki dorosłe osiągają maksymalnie czterdzieści pięć centymetrów wysokości. Porusza się na czterech nogach i posiada długie łapki – wystarczająco długie, by zdjąć szklankę ze stołu i błyskawicznie ją wychylić. Niektóre źródła podają, że owa istota posiada skrzydła. Jednak najdziwniejszą częścią ciała podpijacza jest wór alkoholowy – płyn ląduje właśnie tam.*

*W zależności od możliwości imprezowych studentów, ilości alkoholu na stole oraz częstotliwości zostawiania go z jedną osobą (naukowcy nie zauważyli fenomenu samoistnego znikania alkoholu bez obecności człowieka w jego pobliżu), podpijacz może zwiększyć swoją objętość nawet trzykrotnie. Niestety ze względu na fakt płochliwości tych zwierząt nigdy nie udało się ustalić, po co im ten alkohol. Szeroko znany fakt, że podpijacz nie spożywa kradzionego trunku, powoduje bezsenność u co bardziej wnikliwych badaczy, którzy wyznaczyli nagrodę za dostarczenie podpijacza w wysokości pięciu skrzynek najlepszej wódki, do odbioru w sklepie na rogu.*

*Nagroda wciąż czeka.*

Vademecum Studenta, Rozdział 3, strona 26

– Polon, weź ruszaj się szybciej! Zaraz zajmą nam najlepsze miejsca!  
– Radek popędził kolegę.

– No już, już, skąd niby miałem wiedzieć, że ta butelka wódki już się nie zmieści? – zawołał w odpowiedzi Polon, próbując znaleźć trochę miejsca w wypakowanej torbie.

– Świetnie. Spójrz teraz na to. – Radek wskazał na pociąg, do którego właśnie wsiadała zgraja pijanych pierwszorzoczników. – Najlepsze miejsca już

stracone – powiedział ze smutkiem.

– Oj, nie jęcz, nie będzie tak źle – odparł Polon, wspinając się po schodkach do wagonu. – Pomóż mi z tą torbą, sam nie dam rady.

– O cholera – sapał Radek. – Co ty tam masz? Zabierasz cegły na budowę drugiego Wielkiego Muru Chińskiego?

– A po cholere mi taki mur? Namiot wystarczy. W torbie jest półtoratygodniowy zapas win, wódek, nalewek i czego tylko dusza zapagnie.

– Zamierzasz dostarczać alkohol wszystkim mieszkańcom kampusu?

– Nie, no coś ty. Ale trzeba brać pod uwagę sępy, które będą się dosiadać „na łyczka”.

– Masz rację – zgodził się Radek, ciągnąc torbę po podłodze. – No po prostu świetnie – mruknął, gdy zobaczył, gdzie zostały ostatnie wolne miejsca.

– Co jest?

– Przez twoją pieprzoną opieszałość jedyne miejsca, które możemy zająć, znajdują się koło opiekuna kampusu! – szepnął oskarżycielskim tonem Radek.

– To co, nici z picia?

– Mam nadzieję, że na taki wypadek zabrałeś jakiś karton mleka.

– Owszem, mam, taki z nakrętką. A ty co, już na kacu jesteś? – zdziwił się Polon.

– Coś ty, od miesiąca nie piłem, żeby móc się nawalić jak najmniejszą ilością – odpowiedział Radek. – Otwórz ten kartonik, wylej mleko i nalej w niego jakieś alko.

– Aaa – wyraził zrozumienie Polon. – No dobra, daj mi chwilkę.

Po krótkiej szarpaninie z zamkiem torby kartonik został odnaleziony, opróżniony i napełniony na nowo bardziej odpowiednim trunkiem.

– Dobra, idziemy do tego gościa, mam nadzieję, że nie będzie kłopotów.

Studenci usiedli naprzeciwko opiekuna. Pociąg ruszył powoli. Zapadła niezręczna cisza.

– Więc, hm, czym pan się zajmuje? – zapytał kurtuazyjnie Polon, chcąc przełamać pierwsze lody.

– Piszę fantastykę – odparł tamten.

– O, jest pan pisarzem? – zainteresował się Radek.

– Nie, lekarzem studenckim.

– Usprawiedliwienia pan wypisuje... – zrozumiał Polon.

Pierwsze lody zostały przełamane. Pozostało tylko zrobić drugi krok.

– Hmm, napiłby się pan czegoś z nami?

– A co macie dobrego? – zainteresował się lekarz.

– Mamy ziemniaczaną wódkę o smaku bekonu, piwo czekoladowe, zwykłą wódkę, wino bananowe, truskawkowe, zwykłe, zwykłą wódkę, a na kaca wódkę jogurtową – wyliczył.

Po dwóch godzinach byli już przyjaciółmi na zawsze.

Pociąg wtoczył się leniwie na stację, studenci zaczęli wysypywać się z wagonów. Żeby przyspieszyć żmudny proces wysiadania, otwierali okna i wyskakiwali na chodnik przy peronie niczym banda marcujących zajęcy na amfetaminie. Większość z nich tak uradowało świeże, wiejskie powietrze, że od razu zapalili papierosa. Tymczasem pociąg zatrzymał się ostatecznie.

– O cholera, już dojechaliśmy? – zapytał nagle obudzony Polon.

– Na to wygląda – odparł ziewający Radek.

– Ej... co robimy z tym naszym opiekunem?

– Nie wiem. Myślisz, że warto go w ogóle brać? W życiu nie widziałem kogoś o tak beznadziejnie słabej głowie, żeby po dwóch litrach na trzech już leżeć... – Radek się skrzywił.

– Daj mu szansę, jeszcze się wyrobi, zobaczysz – wstawił się za lekarzem Polon.

– No dobra – zgodził się Radek. – To łap go za ręce, ja łapię za nogi, i wynosimy.

– A torby?

– Podpisałem je, ktoś nam weźmie. Takiej ilości wódki nikt przecież nie zostawi.

– Ano nie – zgodził się Polon. – Cholera, ciężki jest.

– Może by go tak przez okno reszcie podać?

– Dobry pomysł – stwierdził Polon, puszczając swoją część opiekuna. Wychylił się z wagonu i krzyknął za oddalającą się wężykiem grupą studentów:

– Ej, jeszcze my! I opiekuna przydałoby się odebrać z okna.

– Wal się, nie będziemy nikogo z okna odbierać! – odkrzyknął któryś z nich.

– Nie to nie, to my z trzydziestoma litrami jedziemy dalej! – zripostował Polon.

Reakcja była natychmiastowa. Błyskawicznie sformowano brygadę odbierającą, która profesjonalnie przechwyciła półprzytomnego opiekuna.

– O cholera... zupełnie jak na Jarocinie w osiemdziesiątym szóstym – zabełkotał wzruszony lekarz, gdy studenci unieśli go na rękach, a po chwili położyli na chodniku.

– Halo – zwrócił się do niego Radek – przyjedzie po nas jakiś autobus?

Lekarz zachrapał w odpowiedzi.

– Eee, sami sobie obóz zorganizujemy – zaproponował ktoś.

– Dobra myśl – zgodziła się reszta, a Radek i Polon pokiwali energicznie głowami. – Ten pomysł należy opić!

Studentom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Tej nocy smutny, zapomniany peron gdzieś na krańcu świata stał się tymczasowym ogniskiem domowym rzeszy żaków. Szare, popękane mury razem ze studentami nabierały rumieńców, głównie za sprawą nowoczesnych przekleństw Polona; zostały też gruntownie odmalowane po tym, jak ktoś rzucił hasło „robimy remont”. W końcu jednak ogniska wygasły – drewno z pobliskiego składziku się skończyło – a wraz z zapadnięciem ciemności, i zgodnie z Pierwszym Prawem Studenta, pijana zgraja poczuła, jak rośnie siła grawitacji. Trzeba im to oddać – walczyli dzielnie, jednak grawitacja okazała się silniejsza. Studenci, jeden po drugim, padali na ziemię.

\*\*\*

Doktor Trunkenbold nie zaliczyłby tego poranka do najprzyjemniejszych. Z nieznanym sobie przyczyn leżał na dworcu, a każdemu, nawet najdrobniejszemu poruszeniu towarzyszył brzęk. Otworzył oczy. Zauważył, że studenci z braku kredy postanowili zrobić obrys jego „zwłok” przy pomocy butelek po piwie. Obolały lekarz powoli podniósł się z ziemi, otrzepał płaszcz i poszedł budzić dowcipnisiów.

– Dobra – zarządził słabym głosem. – Przegapiliśmy z piętnaście autobusów, ale to nic. Złapiemy następny i jedziemy do destylacji... destynacji... no, do celu po prostu. Spakujcie rzeczy, zbiórka za pięć minut. Żadnego klina, póki nie dojedziemy na miejsce!

Studenci rozeszli się w poszukiwaniu swoich rzeczy, mamrocząc pod nosem.

– O kurde – powiedział zaskoczony Polon. – Zobacz no, ile alkoholu nam ubyło.

– Proszę cię! – jęknął Radek. – Wczoraj wypiliśmy dwa wina na głowę, poprawiając piwem i wódką, a ty się dziwisz, że nam tyle zapasów ubyło?

– Tak, ale wypiliśmy tylko pół tej wódki – odparł Polon. – A zgodnie z moim wyczuciem wagi alkoholu z jednej drugiej pojemności butelki zostało czterdzieści siedem setnych. – Obrócił butelkę kilka razy w dłoniach, żeby się upewnić. – Znaczą alko gdzieś wyszło.

– Może wyparowało?

– Mózg ci chyba wyparował, jełopie. Nie pamiętasz, że temperatura wrzenia czystego alkoholu etylowego wynosi siedemdziesiąt osiem koma trzydzieści dwa stopnia Celsjusza? Nawet gdyby parował w temperaturze pokojowej, to nie powinno go tyle ubyć. Poza tym butelka była zamknięta!

– Przepraszam. – Radek się stropił. – Położyłeś się ostatni, może wzięłeś łyka na dobry sen?

– Wykluczone – zaprotestował Polon. – Może ktoś w nocy wstał i nas opił – zastanawiał się. – Tak czy inaczej, musimy zastawić pułapkę.

– Dobra – zgodził się Radek. – Słuchaj, weź no ten karton od mleka, jeszcze raz go napełnij, że niby kaca leczymy, a klina wbijemy... – zaproponował.

– Już wlewam, dobrze, że mi przypomniałeś. Przez tego alkoholowego skrytopijcę kompletnie mi z głowy wyleciało. – Polon wyprostował się dumnie i krzyknął: – Alkoholowym skrytopijcom mówimy nie!

Reszta uczestników obozu spojrzała na niego dziwnie, ale nikt się nie odważył skomentować. Temat wydawał się zbyt poważny, by dyskutować o nim z Polonem, nie znajdując się w budynku chronionym przez kompanię wojska. Studenci pozbierali swoje rzeczy i chodem skacowanego zombie udali się na przystanek autobusowy.

– Cholera, ale mnie suszy – powiedział opiekun, podchodząc do Polona. – Chłopaki, poczęstujcie mlekiem, odwdzięczę się jakoś.

Pociągnął solidny łyk.

– Cholera, po takim picu nawet mleko smakuje jak alkohol. – Westchnął, oddając studentom karton. – Patrzcie, czy autobus nie jedzie.

– Autobus! – krzyknął ktoś po dłuższej chwili.

Zdezelowany pojazd zatrzymał się z piskiem opon na przystanku, a zacy zaczęli pchać się do wejścia i zajmować miejsca w środku. Doktor Trunkenbold kupił bilety i pojazd, kołyszając się, ruszył w dalszą trasę.

Marta zaczynała się już niepokoić. Wiedziała, że autobus, który wiezie Polona, zawsze dociera ostatni, ale dzień opóźnienia to już gruba przesada. Specjalnie przyjechała wcześniej, żeby zająć jak najlepsze miejsca, czyli jak najbliżej baru, więc ludzie pytający bez przerwy, czy mogą się tu rozbić, zdążyli już zagrać niejedną symfonię na jej zszarganych nerwach. Wreszcie zobaczyła nadjeżdżający pojazd, który z całą pewnością wiozł Polona. Nie mogło być mowy o pomyłce; autobus wykreślał perfekcyjną sinusoidę wzdłuż środkowego pasa drogi. W końcu przyhamował i z solidnym łupnięciem, które od kiedy Polon zaczął studia, było oficjalnym wyznacznikiem rozpoczęcia obozu, przywalił w drzewo. „Zawsze to samo” – pomyślała Marta. „Przez te opary kierowca nigdy nie jest w stanie utrzymać stanu trzeźwości dłużej niż piętnaście minut”.

Silnik zaburczał po raz ostatni i studenci rozpoczęli proces wytaczania się z uszkodzonego pojazdu.

– Wygrałem zakład – usłyszała Marta nad uchem.

– Ano tak – powiedziała, odwracając się. – Weź sobie te piwa z lodówki, Newton.

– Dzięki – ucieszył się. – Po jednym dla mnie i dla Anglika, nie? Trzymasz je w turystycznej?

– Nie, zwykłą lodówkę ze sobą wzięłam – rzuciła sarkastycznie. – Chłopie, pomyśl trochę.

– Oj tam. A tak z ciekawości, czemu obstawiałaś, że w tym roku się nie rozbiją?

– Dostali możliwie najostrzejszego opiekuna, więc sądziłam, że ich trochę ogarnie.

– No wiesz? Bez tego łupnięcia nie moglibyśmy w ogóle zacząć zabawy. Dobrze, że wszystko jest po staremu – powiedział radośnie Newton i dobrał się do zawartości lodówki.

Marta tymczasem podeszła do wraku autobusu. Na szczęście kierowca w tym roku nie ucierpiał. To, co początkowo wzięła za warkot silnika, okazało się donośnym chrapaniem płynącym z fotela kierowcy.

Uspokojona, zaczęła wzrokiem szukać Radka i Polona. Z tłumu ludzi idących w stronę pola namiotowego wyłowiła dwie sylwetki ciągnące za sobą torbę rozmiarów małego słonia.

– Hej tam, Radek! Polon! – krzyknęła, biegnąc w ich stronę.

Dwie osoby drepczące w stronę pola zatrzymały się. Ku zdumieniu Marty nie były to osoby w pocie czoła ciągnące torbę.

– A wy co, swojej alkotorby nie zabraliście?

– Też wymyśliła. Jak to: bez alkotorby jechać? Co byśmy tutaj robili, zwiedzali okolicę? – zdziwił się Radek.

– Zostawiliście ją w autobusie?

– Nie, pierwszaczki nam niosą. – Polon wskazał na dwóch spoconych, czerwonych na twarzy studentów pierwszego roku. – Nie wzięli swojego alkoholu, wyobrażasz sobie? A ponieważ my mamy tego trochę, to powiedzieliśmy, że się podzielimy, jak będą tę torbę nosić.

– Wy to macie szczęście, że wam się w autobusie ktoś nieprzygotowany do obozowania trafił – powiedziała z zazdrością Marta. – Ja musiałam sama wszystko nosić, moi byli w miarę zorganizowani. A, właśnie, zajęłam wam miejsca przy barze, możecie się rozbić, żadnych pierwszorocznych.

– Super! – ucieszył się Radek. – A towarzystwo dopisuje?

– Pewnie! Wczoraj nie imprezowaliśmy, więc wszystkich zdążyłam już poznać. Tuż koło nas są dwa namioty, studenci fizyki i anglistyki.

– Pewnie Newton i Anglik – domyślił się Polon.

– Skąd wiesz?

– Nie przepuścili dotąd żadnego obozu, a ze trzy lata temu razem tachaliśmy torbę jakichś studentów.

– Polon, ty byłeś kiedyś nieprzygotowany? – zdziwił się Radek.



– Nie, no coś ty, ja im tylko pomagałem – skłamał Polon. – Chłopaki swoją zostawili w pociągu, wtedy to jeszcze nad morzem obozy były – rozmarzył się.

W końcu grupka dotarła do celu. Doktor Trunkenbold dołączył do innych opiekunów, którzy czekali na niego z maślanką i słowami pocieszenia.

– No, chłopaki, dzięki za pomoc – powiedział Polon do pierwszaków.  
– Wpadnijcie wieczorem na małe co nieco! – krzyknął w stronę oddalających się studentów.

– Co ty tak komenderujesz, Polon? Zabieraj się za rozkładanie namiotu!  
– popędziła go Marta. – Bo znowu będzie jak ostatnim razem, kiedy cały wyjazd spędziłeś pod chmurką.

– A po cholere rozbić namiot, skoro i tak obudzę się zupełnie gdzie indziej  
– zamarudził Polon.

– Polon, do roboty! Raz, raz, raz! – zawołała Marta.

– Dobrze, mamusiu – odparł i zabrał się do roboty.

Wkrótce namiot został ustawiony i razem z Radkiem mogli się zabrać za planowanie pułapki.

– Polon, nie możesz nikogo zabić za podpijanie!

– Nikt mi nie będzie alkoholu kradł!

– Może lepiej wystawić przynętę i złapać kogoś na gorącym uczynku?  
– zasugerował ostrożnie Radek. – Poza tym jak ty zamierzasz kogoś zabić? Upić się i chuchnąć?

– Nie możemy tej wódki chociaż zatruć?

– Nie, bo jak złapiemy złodzieja, to wypijemy tę wódkę – tłumaczył cierpliwie Radek.

– Niech będzie – zgodził się łaskawie Polon. – Bylebyśmy złapali złodzieja!

– No to zrobmy tak: rozkręćmy dzisiaj dziką imprezę i zostawmy jedną butelkę wódki na przynętę – zaproponował Radek. – Niech tam, poświęć się nawet i nie będę pić, coby trzeźwym być do łapania.

– Mnie to pasuje – ucieszył się Polon. – To ja będę pił za nas dwóch, żebyś się nie czuł samotny.

Kiedy pierwszorocznicy przyszli w celu dołączenia do popijawy, ta już trwała w najlepsze. Anglik opowiadał rozweselonemu towarzystwu swoją przygodę ze zdechłym psem, a towarzystwo rechotało jak żaby w stawie.

Wesoła rozmowa została przerwana przez głośny świst. Z nieba pikowało spore stworzenie – prosto na butelkę wódki wystawionej na wabia. Radek biegiem rzucił się w stronę pułapki. Stworzenie zatrzymało się nad butelką, błyskawicznie ją odkręciło i trzepocząc skrzydłami wzbiło się w powietrze. Radek podskoczył najwyżej jak umiał, ale niestety nie udało mu się złodziejaska złapać. Po chwili opróżniona butelka spadła z nieba i uderzyła w ziemię tuż koło niego.

– Kurde, widzieliście to? – zapytał zdumiony Polon.

– Że Radek omal nie został zabity przez butelkę wódki? – zapytała Marta.

– Oj, to się zdarza co imprezę. Sam się czasami dziwię, jakim cudem on jeszcze żyje. Mówię o tym czymś, co nam wódkę porwało.

– Widziałeś, jakie miało długie ręce? – zapytał Newton.

– A jakie skrzydła!

– A jak szybko wódkę wypilo! Bez popity do tego...

Studenci kiwali z podziwem głowami.

– Zaraz, chwila, to był mój alkohol – przypomniał sobie Polon. – O ty gnoju, jutro cię dorwę! – wykrzyczał w niebo, wygrażając pięścią niewidocznemu stworzeniu. – Musimy wymyślić lepszą pułapkę – zarządził. – Newton, Anglik, Marta, pomożecie?

– Pomożemy! – obiecała trójka żaków.

– No to słuchajcie, jutro zaczaimy się na paskuda z workiem i go dorwiemy.

– Tak jest! – krzyknęli wszyscy ochoczo i udali się w stronę dogasającego ogniska celem opicia genialnego planu.

Następny dzień nie przyniósł większych niespodzianek. Studenci leczyli kaca (który, jak wszystkim dobrze wiadomo, dobrze leczony może trwać nawet trzy tygodnie) i przygotowywali pułapkę numer dwa.

– Ej, Newton, słyszałeś o dwóch Prawach Studenta? – zapytał Anglik znad zmaltretowanego egzemplarza *Vademecum Studenta*.

– No jasne, przecież sam je sformułowałem – napuszył się Newton i zacytował:

*Pierwsze Prawo Studenta: Siła grawitacji działająca na studenta jest wprost proporcjonalna do ilości spożytego alkoholu i odwrotnie proporcjonalna do ilości światła docierającego do studenta.*

*Drugie Prawo Studenta: Uwaga studenta jest odwrotnie proporcjonalna do czasu, który student poświęcił na sen, i wprost proporcjonalna do motywacji studenta do nauki.*

– Piękne – stwierdził Radek, ocierając łzy. – Sam bym tego lepiej nie ujął.

– No, to ci się udało – potwierdził Polon. – Musiałeś pewnie kupę czasu na badania poświęcić, co?

– Owszem, trochę – wyznał skromnie Newton. – Jednak brakuje mi czegoś w tej teorii, czuję, że mógłbym sformułować Trzecie Prawo Studenta, ale ciągle mam za mało danych – zasmucił się.

– No to zbieraj, zbieraj, jestem ciekawa wyników twojej pracy – powiedziała Marta. – Chodźmy do lasu po jakiś chrust, inaczej znowu nam ognisko szybko zgaśnie.

\*\*\*

Ognisko trzaskało wesoło, a w niebo wzbijały się chmury iskier. Nastrój tym razem nie dopisywał – Polon, przybity stratami z dnia poprzedniego, pił piwo

za piwem. Gdy zaczął popijać wódkę winem, studenckie towarzystwo postanowiło się odsunąć na bezpieczną odległość – Polona nie należało drażnić, jeśli wypijał takie ilości w tak krótkim czasie.

– O cholera – wyrwało się nagle Radkowi. – Spójrzcie na niego.

Studenci odwrócili się w stronę Polona, który nic sobie nie robiąc z siły grawitacji, unosił się leciutko nad ziemią.

– Khem – zakaszłał Radek. – Polon, wszystko w porządku?

– Co? – zapytał Polon. – A tak, wszystko w porządku. A czemu pytasz?

Newtonowi opadła szczeka. Otworzył usta tak szeroko, że Radek byłby gotów przysiąc, że za chwilę wyskoczy mu z zawiasów i zawisnie przy kostkach.

– A, w sumie nic takiego, nie przejmuj się, pij dalej... – powiedział uspokajającym tonem Anglik.

Chwilę później rozległ się znajomy świst. Stworzenie pikowało na kolejną butelkę-przynętę. Radek natychmiast pobiegł w stronę pułapki. Kątem oka zdążył zobaczyć, jak Polon podskakuje i unosi się coraz wyżej. Zanim zdążył dobiec do pułapki, Polon przeleciał tuż koło niego i zaczął się w koronie najbliższego drzewa. Radek dobiegł do przynęty w tym samym momencie, w którym stwor otworzył butelkę. Wtedy Polon błyskawicznie podleciał w stronę skrzydlatej istoty i chwycił ją za przednią parę nóg. Stworzenie spanikowało i zaczęło się wzbijać w powietrze. Radek w ostatniej chwili uczeplił się kostek Polona i po chwili cała trójka szybowała wysoko nad ziemią.

– Polon?

– No?

– Gdzie my lecimy?

– A cholera wie. Najważniejsze że złapaliśmy tego drania – cieszył się Polon.

– Mam małe wątpliwości co do tego, kto tu kogo złapał – mruknął Radek pod nosem, patrząc na korony drzew przesuwane się w zawrotnym tempie

dwadzieścia metrów pod jego stopami. Wtedy przypomniał sobie coś bardzo ważnego.

– Polon, cholera! – zawył.

– Co?

– Ja mam lęk wysokości!

– To się napij! – odkrzyknął Polon.

– Niby czego?

– W bucie mam trochę spirytusu, częstuj się!

Radek postanowił zastosować się do tej światłej rady. Jedną ręką wyciągnął buteleczkę i odkorkował ją zębami. Pijąc, czuł rozchodzące się po całym ciele ożywcze ciepło. W jednej chwili świat stał się o wiele piękniejszy. Patrzył, jak zbliżają się do stromego stoku pobliskiego wzgórza. Wylądowali. Jedynym mankamentem tej sytuacji był fakt, że nic nie widział.

– Ej, Polon... – wyszeptał.

– Co znowu?

– Gdzie my jesteśmy?

– Chyba wlecieliśmy z nim do jakiejś jaskini – wydedukował Polon.

– Nic nie widzę!

– Czekaj, znajdzie się na to rada. – Polon zapalił zapalniczkę.

– Taka zapalniczka raczej nic nam nie da, nadal nic nie widzę – zamruczał Radek.

– Racja – zgodził się Polon i chuchnął na płonący patyczek, który rozjarzył się dużym, niebieskim płomieniem. Po chwili zgasł i studentów znów ogarnęła ciemność.

– Zobaczyłeś coś ciekawego? – zapytał Radka.

– No, tu są jakieś duże drzwi, a poza tym jedną ręką ciągle trzymasz naszego złodziejaszka.

– To jak odpaliłem tę zapałkę?

– Chyba pottrzymał ci pudełko. Puść go, może się czegoś dowiemy  
– zaproponował Radek.

Rozległ się dźwięk przypominający zrzucenie worka ziemniaków na podłogę. Po chwili rozległ się łopot skrzydeł i cała jaskinia rozjaśniła się czerwonym światłem.

Istnieje wiele rodzajów drzwi. Drzwi wejściowe, kuchenne, pancerne, drewniane, żeliwne... Żadne jednak nie przypominały drzwi, które ujrzeli przed sobą studenci. To były potężne, okute metalem wrota, na widok których Bramy Piekieł podkułyby ogon i skomląc, uciekły gdzie pieprz rośnie. Tuż nad nimi znajdował się wykuty w kamieniu, zatarty już trochę napis.

– *Dulce et decorum est pro patria bibere...* – przeczytał Polon i zadumał się.

– To nasze motto – odezwał się skrzekliwym głosem złodziej wódki.

– Kradniecie, żeby się upić cudzą wódką? – zapytał złowrogim głosem Radek.

– Nie, my nigdy nie kradniemy. Zabieramy tylko małą część, tak żeby nikt nie zauważył, że czegokolwiek brakuje – wyjaśnił stwór. – Dlatego nazywają nas podpijaczami.

– Tacy z was podpijaczce jak z kota instrument muzyczny. Dwie półlitrowe wódki mi, paskudzie, podpieprzyłeś! – wkurzył się Polon.

– Mamy takie prawo, że nie wolno nam zabrać więcej niż jedną dziesiątą całego alkoholu posiadanego przez podpijanego – wyjaśnił cichutko podpijacz.  
– Biorąc pod uwagę ilość, jaką w tej chwili dysponujesz, nie zabrałem nawet tyle.

– Ale tu chodzi o zasady! – wściekał się dalej Polon. – W dodatku zabrałeś nas cholera wie dokąd, cholera wie po co!

– W zasadzie to potrzebujemy waszej pomocy – wyznał nieśmiało podpijacz.

– I jeszcze czego! Zabieracie naszą wódkę, a teraz jeszcze chcecie naszej pomocy? – pinił się Polon. – Może jeszcze mam ci dupę podetrzeć?

– Nie, dziękuję – odparło stworzenie i podeszło do drzwi.

Podpijacz ustawił się tyłem do wrót i dotknął ich skrzydłami, rękami i tylną parą nóg. Drzwi zajaśniały, szcęknął zamek i studentów zalało ostre, białe światło.

– Witajcie w Mieście – powiedział stwór. – Przy okazji nazywam się Wilfar. Idziecie ze mną? Obiecuję, że jeśli zechcecie nam pomóc, wyjawimy wam sekret produkcji nadprocentów.

Polon od razu przeszedł przez próg. Takie okazje trafiają się przecież tylko raz w życiu.

– No dobra, to czego wam potrzeba? – zapytał ochoczo.

– Najpierw musimy pójść do naszego przywódcy – wyjaśnił Wilfar. – Hej, ty tam, zamierzasz tak stać jak słup soli? – zwrócił się do Radka.

– Nie, jestem gotów do drogi! – Radek wszedł do Miasta, rozglądając się ciekawie.

A było co podziwiać. Źródłem oślepiająco białego światła okazały się podwieszane pod sufitem cichutko buczące kinkiety. Za wrotami rozpościerała się wielka jaskinia, z piętrowymi domkami wykutymi w skale. W samym środku znajdował się duży budynek, do którego poprowadził ich Wilfar.

– Jesteśmy najstarszym ośrodkiem podpijaczy w tym kraju – rozpoczął dumnie stwór. – Nasza pierwsza oficjalna siedziba znajduje się w Walii, Preseli Hills, obecnie opuszczona. Zajmujemy się produkcją napojów nadprocentowych, dystrybucją i ich praktycznym wykorzystaniem.

– Zaraz, chwila – przerwał Radek. – To są jakieś inne zastosowania oprócz wykorzystania go jako trunku?

– Oczywiście. Każdy napój nadprocentowy to silny środek dezynfekujący,

czyszczący, stosujemy go też jako źródło energii zasilające jądro Ziemi – tłumaczył Wilfar.

– Ogrzewacie jądro Ziemi alkoholem? – zdumiał się Polon.

– Właśnie tutaj tkwi mały problem. Ale to wyjaśni wam już nasz przywódca – powiedział stwór, otwierając kolejne drzwi.

Weszli do największego budynku w jaskini. W przeciwieństwie do ciepłej atmosfery na zewnątrz w środku panował chłód. Sufit podtrzymywały wykute w skale kolumny, a pod szarą, chropowatą ścianą na kamiennym tronie siedział Naczelnik otoczony wianuszkami innych podbijaczy. Na dźwięk otwieranych drzwi stwór podniósł głowę i spojrzał badawczo na studentów.

– To, ten tego, ja już się zmyję – mruknął Wilfar. – Trzymajcie się, eee, miłej rozmowy! – rzucił i czym prędzej wybiegł z budynku.

Studenci, nie bardzo wiedząc, co robić, stali i uśmiechali się głupkowato.

– Halo, panowie, może tutaj podejdziecie? – powiedział głębokim głosem Naczelnik.

– No jasne. – Polon delikatnie kopnął Radka w tyłek. – Ruszaj się – syknął.

Studenci nieśmiało podeszli do tronu.

– Więc, eee... – zaczął elokwentnie Radek – słyszeliśmy, że są jakieś kłopoty.

– Doświadczamy drobnych problemów związanych z ogrzewaniem tego świata – przyznał Naczelnik. – Zatem zgodziliście się nam pomóc?

– W zamian za sekret produkcji nadprocentów. To nam obiecano – odparł szybko Polon. – Ale niestety nie wiemy, czy faktycznie potraficie je produkować... – dodał i zawiesił wyczekująco głos.

– Oczywiście, że tak! – huknął Naczelnik, a jego słudzy skulili się przy tronie. – Gnybek, podaj panom po buteleczkę – rozkazał.

Jeden ze służących otworzył klapę znajdującą się przy tronie i wyciągnął



dwa małe naczynia pełne gęstej, migoczącej cieczy. Studenci przyglądali się jej z nabożnym skupieniem.

– Stan nadciekły – szepnął w zdumieniu Radek do Polona. – Wygląda tak samo jak po twoich eksperymentach, kiedy wpuściłem cię do laboratorium uniwersyteckiego.

– Ech, gdybym wtedy spisał formułę, nie musielibyśmy teraz tutaj stać – westchnął cicho Polon.

Po chwili Radek oglądał pod każdym kątem butelkę i jej zawartość, a Polon nonszalancko otworzył swoją butelkę i duszkiem wychylił jej zawartość. Naczelnik i jego słudzy wybałuszyli oczy.

– Ze sto pięćdziesiąt procent będzie. – Polon mlasnął językiem. – Tamto, które ja wtedy zrobiłem, miało ze dwieście – mruknął rozczarowany.

Radek, znużony samym oglądaniem zawartości, postanowił zbadać ją pod innym kątem i poszedł w ślady Polona. Chwilę później obaj studenci delikatnie unosili się nad ziemią. Oczy podpijaczy, mimo że graniczyło to z niemożliwością, zrobiły się jeszcze większe.

– Gnybek, co tu się dzieje? – zapytał zdumionym tonem Naczelnik.

– Zdaje się, że właśnie obserwujemy pełną manifestację stuprocentowego odlotu – odpowiedział zapytany.

– Tyle lat w laboratoriach i nic, a teraz taka niespodzianka...

– Więc w czym tkwi wasz problem? – zagrział przepitym basem Polon, tym samym przerywając gwar podnieconych rozmów, który pojawił i rozgorzał niczym ogień na płonącym deserze polanym przez przypadek benzyną.

– Rzecz w tym – zaczął Naczelnik – że od niedawna nie możemy już dostarczać nadprocentów pod ziemię. Mamy tam małą rewoltę. – Zawahał się na chwilę, bo to tak jakby nazwał rewolucję październikową drobnym incydemem. – I bardzo, bardzo chcielibyśmy was prosić o zejście na dół i uspokojenie sprawy.

– Czemu sami tam nie zejdzicie? – zapytał rzeczowo Radek.

– Nie możemy – zasmucił się przywódca podpijaczy. – Bardzo byśmy chcieli, ale mamy tutaj spory deficyt pracowników. Musimy podpijać alkohol, przedestylować go trzy do czterech razy, testować moc... – wyliczał. – Dlatego dobrze, że do nas trafiliście. Czy teraz jesteście przekonani?

– Mniej więcej, ale ciągle potrzeba nam więcej szczegółów. Co to za rewolta? I jak mamy ją uspokoić?

– Cóż, wszystko tak naprawdę zaczęło się sto lat temu, kiedy Naczelnikiem po raz pierwszy został podpijacz z możliwością lotu.

– To są dwa rodzaje podpijaczy? – zdziwił się Radek.

– Tak. My zajmujemy się zbieraniem alkoholu, przeróbką i dystrybucją, w tym także na dół – wyjaśnił Naczelnik. – Ale od bardzo dawna nie przyjmują tam naszych nadprocentów i martwimy się, że jądro Ziemi wystygnie.

– A swoją drogą, po co zbieracie alkohol, skoro jesteście w stanie wyprodukować nadprocenty? – zapytał Polon.

– To element tradycji – wymamrotał Naczelnik i się zaczerwienił. – Ale wracając do dwóch rodzajów podpijaczy, niektórzy rodzą się ze skrzydłami i ci zbierają alkohol, a osobniki bez skrzydeł pracują pod ziemią przy ogrzewaniu. I tak na przestrzeni wieków zaczęliśmy się coraz bardziej od siebie różnić, aż w końcu oni się obrazili, jakbyśmy im ciepłą wódkę zaproponowali.

Studenci wzdrygnęli się na myśl o tak haniebnym czynie.

– No dobra, spróbujemy wam pomóc – powiedział Polon. – Ale coś za coś. Musicie się odwdzińczyć. – Przywódca podpijaczy potaknął, nie pytając o szczegóły. – W porządku. Będziemy potrzebować plecaka i dużo tego waszego specyfiku, aha, i dwóch butelek zwykłej wódki.

– Do czego? – zdumiał się Naczelnik.

– Na popitkę.

Niezbędne rzeczy zostały natychmiast przyniesione i studenci udali się w stronę kłapy, która zakrywała wejście do podziemi.

Już sam stan schodów dobitnie świadczył, że schodzenie do podziemi nie należało obecnie do ulubionych czynności podpijaczy żyjących na powierzchni. Tony kurzu zalegały na stopniach i wyglądało to tak, jakby sto lat temu urządzono tu bitwę na poduszki i zapomniano posprzątać.

– Rany, mam wrażenie jakbym chodził po śniegu – powiedział Radek.

– A ja, jakbym odsunął szafę od ściany w swoim pokoju – mruknął Polon.

– Masz zapalki? Trochę tu ciemno...

– Mam coś lepszego – triumfalnie rzucił Polon, wyciągając małą latarenkę.  
– Na nadprocenty, ponoć cholernie długo się pali.

– Skąd to masz?

– A, leżało sobie i nikt nie pilnował. Wiesz, tak samo jak żarówki na klatce schodowej naszych sąsiadów.

– Żarówki nie leżą – zauważył Radek.

– Oj, czepiasz się szczegółów, a mi się tak ładnie powiedziało – poskarżył się Polon, nalewając roztwór i zapalając latarenkę, która od razu rozjarzyła się niebieskim płomykiem.

Radek nie zdążył odpowiedzieć, bo nagle z rykiem rzucił się na nich podpijaczoidalny stwór, wyciągając ku nim zaniedbane szpony. Polon zareagował szybciej, niż zdążył pomyśleć. Nie było to dla niego nowością. Zdumiewał natomiast fakt, że kompletnie bez strachu i z nonszalancją, na jaką stać tylko młode goryle górskie, rozbił stworowi butelkę na głowie.

– O cholera – mruknął Radek. – Te nadprocenty rzeczywiście dają po głowie. Polon, coś ty narobił?

– Rozbiłem mu na głowie butelkę – odpowiedział spokojnie student.

– Ale to głupie!

– Nie, głupie jest to, że zamiast dać mu się napić, musiałem mu na głowie butelkę rozbić – stwierdził Polon.

Tymczasem potwór niewyraźnym jęknięciem dał znać, że już dochodzi do siebie.

– O cholera, co robimy? – zapytał Radek.

– Wykażemy się odwagą! – krzyknął Polon, czym prędzej zbiegając po schodach.

– To niby jest odwaga? – krzyknął za nim Radek.

– Pewnie. Oto zbiegam w ciemność, niosąc przed sobą nadprocentów kaganiec, a ty mnie oskarżasz o tchórzostwo? – odpowiedział zdyszany Polon, gdy tylko Radkowi udało się go dogonić.

– A niech cię – wystękał tylko Radek. – A niech cię kolokwia biją!

Zbiegli na sam dół i znaleźli się w kolejnej komnacie wykutej w skale. Wypełniała ją skomplikowana maszyneria, na widok której każdy inżynier dostałby apopleksji z zazdrości i ciekawości.

– Ty, Polon – szepnął Radek. – Co to jest, do cholery?

– Pewnie z tego korzystają do ogrzewania jądra Ziemi – wydedukował Polon.

– Ale czemu tu tak pusto? I jakoś tak cicho... Za cicho.

– Nie, czekaj, coś słyszę. – Polon zmrużył oczy i uniósł palec, co jak wiadomo wspomaga słuch. – Hm, jakby plaśnięcia. Takie jak wtedy, gdy przywaliłeś mi tą śmierdzącą rybą, którą położyłem na twojej półce w lodówce, tylko jakieś takie bardziej delikatne i głuche.

– Idziemy zobaczyć?

– A wolisz stać sobie tutaj z opuszczoną maszynerią i wkurzonym potworem za plecami?

– Chyba nie.

– No to idziemy – zarządził dziarsko Polon.

Zaczęli się ostrożnie przesuwac na drugi koniec pomieszczenia. W miare jak dochodzili do ściany, plaśnięcia stawały się coraz głośniejsze. Dotarli do drzwi.

– No nie, oni tu mają jakiś fetysz drzwiowy – mruknął Polon, egzaminując wzrokiem żeliwne wrota. – Jak niby mamy przez to przejść?

– Może skorzystamy z tego? – zasugerował Radek, wskazując duży czerwony przycisk z napisem: WEJŚCIE DLA INTRUZUF.

– Mamy jakieś inne opcje? – dociekał Polan. – Nie podoba mi się ten napis.

– Myślisz, że to pułapka?

– Myślę, że to dla intruzów, którzy nie znają podstaw ortografii. Wciśnij ten drugi czerwony – poprosił.

– No dobra, jak chcesz – zgodził się Radek.

Delikatnie nadusił przycisk, który natychmiast rozjarzył się na zielono. Szczęknął zamek i drzwi, skrzypiąc kiepsko naoliwionymi zawiasami, stanęły przed nimi otworem.

– No i wejście po angielsku diabli wzięli – burknął Radek.

– Można się ulotnić po angielsku – pouczył go Polon. – Nie ma czegoś takiego jak wejście po angielsku – wymądrzał się.

– Owszem, jest, na przykład entry, doorway, input... Zresztą co się w tobie tak nagle lingwista odezwał?

– Ech, ty głupku. – Polon westchnął z rezygnacją. – Myślisz, że... – urwał, patrząc na miejsce, skąd dochodziły plaśnięcia.

Grupa podpijaczoidalnych stworów stała w karnym rzędku przed dużą dziurą w podłodze, wypełnioną piaskiem i wodą. W regularnych odstępach, jeden po drugim, brali duży rozbieg i machając śmiesznie rękami, wskakiwali do dołu z głośnym plaśnięciem.

- Ty, co one robią? – Zaintrygowany Polon uniósł pytająco brwi.
- Może to jakiś rytuał godowy?
- No weź, widziałeś kiedyś tak głupi rytuał godowy?
- Widziałem, jak próbujesz zbajerować dziewczynę na imprezie – odparł Radek.

Początek dobrze zapowiadającej się kłótni został przerwany, gdy zauważyła ich grupa stworów. Wyraźnie rozjuszona, ruszyła w ich stronę, wymachując łapami. Studenci zostali błyskawicznie pochwyceni, związani i odstawieni do pomieszczenia z maszynami. Stwory popatrzyły jeszcze chwilę, jakby napawając się ich przerażonymi minami, i wróciły do swojej poprzedniej czynności. Został tylko jeden osobnik.

- Czego tu szukacie? – zapytał grobowym głosem.
- Jesteśmy turystami, zabłądziliśmy... – próbował ratować sytuację Radek.
- To świetnie, turyści świetnie smakują w sosie własnym – rozmarzył się stwór. – Dobra kolacja dziś będzie...
- Nie, panie potworze, przysłał nas Naczelnik z góry! – krzyknął rozpaczliwie Polon.
- Czyli nie jesteście turystami? – upewnił się stwór.

Gdyby szyje miały gwinty, głowy Radka i Polona leżałyby teraz odseparowane od ciał wskutek gwałtownej burzy niewerbalnych zaprzeczeń.

- Szkoda – zasmucił się stwór. – Turyści naprawdę dobrze smakują... No to czego chcą te skrzydlate dupki z góry?
- W zasadzie... myślę, że chcą pokoju i żebyście dalej ogrzewali jądro Ziemi.
- Ha! Już chcą pokoju? Już wiedzą o naszych legionach lataczy gotowych w każdej chwili uderzyć na powierzchnię?
- Jakich legionach lataczy? – Polon zbaraniał.

– Widzieliście nas przed chwilą! Jesteśmy niczym sokoły, niczym motyle unosimy się na lekkiej bryzie, jesteśmy jak... jak...

– Kamienie? – podsunął Radek.

Stwór łypnął na niego przekrwionym okiem.

– Zauważyliście? – Westchnął zrezygnowany. – Zbuntowaliśmy się, bo też chcieliśmy latać. Latanie jest naszym prawem i nie będziemy ogrzewać Ziemi, jeśli ci z góry nie pokażą nam, jak to się robi!

– A czy do tego nie powinniście mieć jednak skrzydeł? – zapytał Polon.

– Próbuje je sobie wyhodować, jesteśmy cierpliwi. Nasze loty są coraz dłuższe! W ciągu ostatnich dwudziestu lat wydłużyły się aż o pięć centymetrów! Wiecie co? – rzucił. – Jednak was zjemy. Turyści, nie turyści, kolacja musi być! – oznajmił i wyszedł.

Studenci spojrzeli po sobie zrezygnowani.

– Może masz chociaż długopis?

– Po co mam nosić przy sobie długopis w czasie wakacji, tfu, okresu międzysesyjnego? – zirytował się Polon. – Pogódź się z tym: bez alkoholu, notatek, taśmy klejącej i długopisu jesteśmy bezsilni.

Tymczasem stwory przeniosły ich w pobliże gigantycznego gara, w którym wesoło bulgotały hektolitry wody.

– Ha – wyrwało się Radkowi. – Przynajmniej raz na mnie nie nakrzyczysz, że zużywam za dużo wody na kąpiel.

Pseudopodpijacze chwyciły studentów i zaczęły ciągnąć ich w stronę kotła. Podstawiły schodki i zaczęły taszczyć ich na górę. Już, już miały wrzucić Polona do wrzątku, gdy jego spanikowany umysł podał mu jak na tacy rozwiązanie wszystkich problemów.

– Stop! Nie wrzucajcie nas, bo nigdy nie poznacie tajemnicy latania! – krzyknął desperacko.

Stwory się zatrzymały. Do Polona podszedł Ten-Któremu-Smakują-Turyści, jak go wcześniej ochrzcił w myślach Radek.

– Znasz tajemnicę latania i dopiero teraz nam o tym mówisz? – warknął.  
– Chcemy wiedzieć wszystko! Teraz!

– Najpierw musisz mi obiecać, że wrócicie do pracy i przestaniecie zjadać turystów – targował się Polon.

– Pójdźmy na kompromis – zaproponował stwór. – Wrócimy do pracy, ale turyści zostają w menu. Zgoda?

– Zgoda.

– To teraz pokaż nam, jak latasz.

– Musicie mnie najpierw rozwiązać. – zażądał Polon. – Inaczej nici z demonstracji.

Stwory, na znak Tego-Któremu-Smakują-Turyści, błyskawicznie uwolniły Polona. Ten zdjął plecak, wyjął z niego czarną butelkę z trupią czaszką i napisem „500%” i pociągnął solidny łyk. Po chwili jego stopy znajdowały się pięć centymetrów nad ziemią. Po dwóch kolejnych łyknięciach wisiał pod sufitem i z błogim wyrazem twarzy ocierał się plecami o szorstką skałę. Alkohol przepłynął przez jego ciało i w miarę jak działanie specyfiku mijało, zaczął opadać ku ziemi. Stwory rozwiązały Radka.

– Nigdy byśmy nie pomyśleli, że paliwo może nam pomóc w lataniu – wyznał studentom wzruszony Ten-Któremu-Smakują-Turyści. – Natychmiast wznawiamy pracę! – zarządził. – Musimy mieć jak najwięcej paliwa!

Stwory zakrzętnęły się błyskawicznie, sprawnie uruchamiając maszynę. Wlały przyniesiony przez studentów zapas paliwa i w zimne korytarze natychmiast popłynął strumień ciepłego powietrza.

– Odprowadzę was do wyjścia – zaoferował się Ten-Któremu-Smakują-Turyści.

\*\*\*



Rozległo się głuchoe stuknięcie i kłapa w komnacie Naczelnika otworzyła się z trzaskiem. Przywódca podpjaczy wybałuszył oczy, widząc szeroko uśmiechających się studentów. Ten-Któremu-Smakują-Turyści też się wyszczerzył w uśmiechu i pokiwał im ręką na pożegnanie, po czym udał się dopilnować prac przy maszynach.

– No to teraz chyba pora, byś wypełnił swoją część umowy – oznajmił Radek zdumionemu Naczelnikowi.

– Jak? – zdołał tylko wykrztusić zaskoczony podpjaczy.

– Chcielibyśmy recepturę na nadprocenty i dwie butelki na drogę powrotną.

– Oczywiście, już. – Naczelnik wydał stosowne polecenia i wkrótce dostarczono studentom dwie butelki i grubą księgę. – Zgodnie z obietnicą to jest wasze.

Studenci wypili zawartość butelek, chwycili księgę i w towarzystwie Wilfara udali się w drogę powrotną. Wylądowali na tej samej polanie, na której Polonowi udało się złapać podpjacza za nogi. Radek i Polon z radością powitali światło ognisk kampusu, dzikie wycia i unoszące się wraz z wieczorną mgłą opary alkoholu. Pożegnali się z Wilfarem i udali się w stronę namiotów.

– Polon! Hej, Polon! – krzyczał nadbiegający ku nim Newton.

– Czego?

– *Spożycie alkoholu w wystarczającej ilości może zanegować oba powyższe prawa.*

– I niby co to jest? – zapytał Radek.

– Zgadnij – powiedział Newton, szczerząc zęby.

## NOC ŻYWYCH...

*Punkt ksero, zwany także mekką studencką, jest popularnym celem wielu pielgrzymek. Studenci po nabożnym przejściu przez próg zawsze nerwowo ściskają w rękach notatki i cichną, nie chcąc naruszać spokoju świętego miejsca. Kapłani (lub kapłanki) świętyń nie muszą nosić żadnych specjalnych rzeczy – odziani są bowiem w powagę tego miejsca, bez którego świat studentów nie byłby taki sam.*

*Kserokopiarka to najlepszy przyjaciel studenta, który występuje w świecie rzeczywistym, a jedyną istotą zagrażającą jej pozycji jest panda. Na szczęście dla kserokopiarek pandy pojawiają się tylko na wezwanie studentów („PanDa trzy, o tutaj, ta rubryka...”), ale są wybredne i nie zawsze zstępują ze swego wymiaru, gdy student jest w potrzebie, dlatego pozycja kserokopiarek, póki co, pozostaje niezagrożona. Te urządzenia występują jedynie w swoich świętych przybytkach, okazjonalnie opuszczając je w awaryjnych przypadkach, choć są to sytuacje ekstremalne, gdyż grożą desakralizacją kserokopiarki.*

*Studenci z całego świata, pomni wszystkiego, co zawdzięczają kserokopiarkom, planują ufundować największy pomnik kserokopiarki na świecie – gdy tylko zbiorą fundusze uzyskane w ramach oddawania butelek do punktów skupu.*

*Vademecum Studenta, Wstęp do rozdziału 6, strona 52*

Korytarz ogarnął mrok.

– Cholera, odcięły zasilanie! – wrzasnął Radek i rzucił się do ucieczki. Polon natychmiast poszedł w jego ślady.

Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Znaleźli się na końcu korytarza, drzwi do sal były zamknięte, a one przybliżyły się coraz bardziej. Mrok korytarza rozświetliło kilkadziesiąt czerwonych światełek, rosnących z każdą chwilą. Upiorny czerwony poblask spłynął na odrapane ściany korytarza uniwersyteckiego, a uszy studentów wypełniło złowrogie szuranie.

– Mówiłem ci, Radek, że to cholernie kiepski pomysł z tym nocowaniem w bibliotece – syknął Polon.

– A skąd miałem wiedzieć, że akurat dzisiaj dostaną hopla i rzuca się na

wszystko i wszystkich? – odwarknął Radek. – Zresztą to chyba nie najlepszy moment na kłótnię – powiedział po chwili pojednawczo.

– Chyba nie – przytaknął Polon. – Zwłaszcza że zaraz nas dorwą...

Jednak mrok korytarza rozświetlił promyczek nadziei.

– Polon, cholera!

– Co?

– Łazienka! Ich nie zamykają na noc!

– Przebijamy się?

– Łap za ławkę, roztrącimy je – zakomenderował Radek. – Nie dostaną nas tak łatwo!

– Okej, ja łapię z tyłu, ty łapiesz z przodu, i taranem je!

– Dlaczego ja z przodu? – zaprotestował Radek, zatrzymując się.

– Bo to twój pomysł był!

– O, przepraszam, masz lepszy?

– Ano nie – stropił się Polon. – Nie reagują, nawet jak się rzuci w nie butelką wódki, więc mój arsenał pomysłów został wyczerpany.

– Więc przestań się rzucać i łap tę cholerną ławkę! Szybciej! – pogonił go Radek, gdy zobaczył, jak blisko znajduje się krwawa czerwień światełek.

– Dobra już, dobra – mruknął Polon i złapał za ławkę.

Studenci ustawili się odpowiednio i zaszarżowali. Wpadli w tłum, odrzucając pierwszą z nacierających na dobre trzy metry i po krótkiej szarpaninie znaleźli się po drugiej stronie. Tłum odwrócił się niemrawo i w kompletnej ciszy zaczął iść w ich stronę. Oni zaś zdali się na instynkt studencki, pozwalający im po pijaku trafić do łazienki w kompletnej ciemności. Szczęśliwie dla nich instynkt zaprowadził ich do odpowiednich drzwi.

– Zamykaj, bo nas dorwą!

– Musimy się zabarykadować, inaczej wleżą tutaj w trymiga! – odkrzyknął Radek, wciągając ławkę do łazienki. – Może byś mi tak z łaski swojej pomógł, co?

Polon ruszył z pomocą. W ostatniej chwili wciągnęli ławkę do środka i zastawili nią drzwi.

– A fuj! – Polon wzdrygnął się, patrząc, jak czarna maź spływa z ławki na podłogę. – Tej pierwszej to chyba toner rozwaliliśmy – powiedział, patrząc na kawałki metalu wbite w ławkę.

– Polon... – powiedział słabym głosem Radek. – Dostałem...

– Cholera, co, gdzie, jak?

– Zobacz. – Radek wyciągnął rękę w jego stronę.

– A mówiłem, żebyś był z przodu, to nie chciałeś słuchać – mruknął Polon. – Źle to wygląda... Szczerze mówiąc, to najgorsze rozcięcie papierem, jakie w życiu widziałem.

Krew skapywała z palca na podłogę, mieszając się z czarną mazią.

– Bądź dzielny – powiedział Polon po chwili. – Mam tu coś, co ci pomoże. – Wyciągnął piersiówkę i z uśmiechem zaprezentował ją Radkowi. – Najlepszy spirytus, żadne obrażenia mu się nie oprą! – oświadczył triumfalnie. – Trzymałem go na czarną godzinę, więc teraz się jak najbardziej przyda.

– Uch... dzięki – powiedział Radek po kilku łykach. – Od razu wracają mi siły.

– Co ty, chłopie, wypijeś to?

– A co ja miałem z tym zrobić?

– Ranę zdezynfekować!

– Spirytus miałem zmarnować? – oburzył się Radek. – Masz, zostawiłem ci

trochę na poprawę humoru.

– Dzięki – odparł wdzięczny Polon i wychylił zawartość piersiówki.  
– Zauważyłeś, że nie atakują?

– Rzeczywiście, cicho jakoś. Może odpuściły?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie drzwiami wstrząsnęło potężne uderzenie. Po chwili następne. I następne.

– Jeśli utrzymają takie tempo, to z naszej barykady nic nie zostanie już za piętnaście minut – stwierdził posępnie Polon. – Musimy coś szybko wymyślić.

– Ale co? – jęknął Radek, trzymając się za palec. – Jesteśmy w kiblu, dosłownie i w przenośni!

– Zamierzasz się poddać? – zapytał zaskoczony Polon.

– Mnie tam jest wszystko jedno. – Załamany Radek wzruszył ramionami.

Polon rozejrzał się uważnie po pomieszczeniu. Panujący w nim mrok i próby przełamania barykady wcale nie ułatwiały mu sprawy. Odsunął się od drzwi i poszedł zbadać łazienkę, która wyglądała jak każdy szanujący się męski kibiel: brakujące płytki, zdewastowane boksy toaletowe z napisami w stylu „Lepsze B w garści, niż D w .jpg” i wszechobecny brud na podłodze. Papieru toaletowego oczywiście nie było.

Zrezygnowany Polon wrócił do drzwi, zapomniał jednak o atramentowoczarnej plamie. Po chwili leżał na plecach, a jego oczom ukazało się to, czego tak usilnie poszukiwał.

– Jesteś, jesteś – ucieszył się, podnosząc z podłogi napoczętą rolkę papieru toaletowego i tuląc ją do piersi. Teraz pozostało mu tylko przekonanie Radka do otwarcia drzwi.

– Ciągłe chcesz się poddać? – zapytał.

W odpowiedzi otrzymał jedynie kolejne wzruszenie ramion.

– No dobra – powiedział, odsuwając ławkę i otwierając drzwi. – Pora na

chwilę zabawy. Kseruj! – wrzasnął, wyrzucając rolkę na korytarz.

Złapał Radka i wyciągnął go z łazienki, patrząc, jak na korytarzu momentalnie rozgorzała walka. Studenci spojrzeli na siebie.

– Skąd wiedziałeś, że tak zareagują? – zapytał zdumiony Radek.

– Jak rany, to oczywiste! Może są szalone, niebezpieczne i krwiożercze, ale to ciągle kserokopiarki! Jak tylko zobaczą papier, koniecznie będą chciały go skserować!

Na korytarzu wybuchło pandemonium. Wszystkie kserokopiarki rzuciły się na siebie, rozrywając się wzajemnie i szarpiąc za rolkę papieru. W powietrzu unosił się smród rozbitych tonerów, czarna maź kapiała na podłogę, podarte fragmenty papieru fruwały w powietrzu. Jednak kilka kserokopiarek nie wzięło udziału w tej kseroorgii i złowrogo łypało na studentów czerwonymi światełkami kontrolnymi.

Studenci wzięli nogi za pas i pobiegli w stronę wyjścia.

– Cholera, zamknięte – mruknął Polon. – I zabezpieczone przed włamaniem – dodał, gdy jego długopis złamał się w zamku.

– Co teraz?

– Szukamy dalej papieru, może uda nam się je zlikwidować.

– To dalej, biegiem do budynku C, tam są toalety na każdym piętrze – zarządził Radek.

– Chwila, chwila – zmitygował kolegę Polon. – Przejąłem dowodzenie, kiedy się poddałeś, więc teraz ja: biegiem do budynku C, tam są toalety na każdym piętrze – rozkazał.

Rad nie rad, Radek musiał się zgodzić. Kiedy przebiegali obok sal wykładowych, usłyszeli hałas. Obejrzelni się za siebie. Szarżowały na nich cztery kserokopiarki, złowieszczo błyskając kontrolkami. Studenci rzucili się pędem w stronę najbliższej łazienki i zaczęli szarpać za drzwi.

– Zamknięte.

– No to już po nas...

Kserokopiarki zbliżały się powoli, jakby wiedziały, że ofiary nie mają już dokąd uciec. Ich upiorne cienie poruszały się groteskowo na ścianie, tańcząc radośnie taniec zwycięzcy. Radek i Polon zamknęli oczy.

Rozległ się trzask, brzęk tłuczonego szkła, wściekły pisk i nastąpiła cisza.

– Ej, Polon... żyjesz? – zapytał Radek, nie otwierając oczu.

– Żyję.

– Co się stało?

– Może lepiej sam zobacz.

Radek otworzył oczy. Oprócz Polona zobaczył też kogoś jeszcze. Ów ktoś wyglądał, jakby nie golił się od tygodnia, miał krótkie, zmierzwiłone włosy i zataczał się leciutko.

– Wieczny Student... – wyszeptał nabożnie Radek i uklonił się na powitanie.

– Co jest, dzieciaki? – zapytał Wieczny Student. – Czterem kserokopiarkom nie możecie dać rady?

Radek dopiero teraz zauważył korpusy wyłączonych kserokopiarek leżące na podłodze.

– Ale... jak? – wykrztusił.

– Chodźcie, opowiem wam, co i jak robić w noc żywych kserokopiarek.  
– Wieczny Student wskazał drzwi do sali wykładowej, którą Polon natychmiast otworzył złamanym długopisem. W oczach Wiecznego błysnęło uznanie.

– Ok, to teraz nam powiedz, jak załatwiłeś te kserokopiarki – poprosili studenci.

– Oj, to banalnie proste – odpowiedział Wieczny. – Zapewne wiecie, jak najłatwiej popsuć kserokopiarę?

Studenci pokręcili głową.

– Jak rany, naprawdę? – zdziwił się Wieczny. – No dobra. Więc musicie wiedzieć, że osiemdziesiąt procent kserokopiarek psuje się, kiedy ktoś próbuje skserować na nich swój goły tyłek. Jednak w noc żywych kserokopiarek jest to jedyny sposób na przetrwanie – wyjaśnił.

– Polon rzucił w niego papierem toaletowym z rozkazem kserowania i zaczęły się szarpać – pochwalił się Radek.

Wieczny spojrział na Polona z ciekawością.

– Świetny pomysł – powiedział. – Wierzę, że następnym razem też wykażesz się inwencją, bo od teraz mnie zastępujesz – stwierdził uroczyście.

– Zaraz, chwila, jak to zastępuję? Jakim następnym razem? – dociekał zdumiony Polon.

– No w następną noc żywych kserokopiarek.

– To takie rzeczy zdarzają się często?

– Średnio raz na dwa lata. Choć ostatnio mieliśmy świt żywych kserokopiarek, a ze cztery lata temu to był prawdziwy wysyp. – Wieczny się skrzywił. – Jeszcze jakieś pytania?

– Jak niby mam cię zastąpić?

– Ależ to jest dziecinnie proste. Pyk! Od teraz to ty jesteś Wiecznym.

– Ja?

– A co, nie podoba się?

– Podoba się, oczywiście... Ale dlaczego?

– Posłuchaj mnie, młody. – Wieczny spoważniał. – Wierz mi lub nie, ale nie można całe życie studiować. Ja od szesnastu lat ciągnę jeden kierunek i mam już dosyć warowania tutaj co dwa lata, przeciągania sesji, chcę napisać w końcu magisterkę i znaleźć robotę. Dlatego od teraz ty będziesz Wiecznym Studentem



tego uniwersytetu.

– Mam jakieś obowiązki?

– No, musisz być tutaj co dwa lata, upijać się przynajmniej dwa razy w tygodniu, kraść kufle z klubów i papier z toalet uniwersyteckich, takie tam.  
– Wieczny machnął ręką. – Przywykniesz.

– W sumie za bardzo to nie zmieni mojego grafiku. – Polon wyszczerzył zęby. – A jakieś insygnia władzy dostanę?

– No masz. Byłbym zapomniał! – Wieczny uderzył się w czoło.  
– Oczywiście, łap! – Rzucił w stronę Polona małe zawiniątko. – Oczyszczę wam drogę do wyjścia, ale potem już musicie radzić sobie sami – powiedział na odchodne.

Wyszedł na korytarz. Studenci usłyszeli jeszcze trzaski, a potem zapadła cisza.

– Weź pokaż, co dostałeś w tym zawiniątku – poprosił Radek.

Polon ocknął się z zamyślenia i rozwinął pakunek. Ich oczom ukazał się kapsel od piwa z naklejonym na denku napisem, który dumnie głosił: W.S.

– O stary, teraz nikt już nie może ci odmówić pożyczenia notatek do skserowania – powiedział z zazdrością Radek.

– Ale z wielką mocą wiąże się wielka odpowiedzialność – zauważył poważnym tonem Polon. – Chodź, dokopiemy tym paskudom.

Wyszli na korytarz. Kserokopiarki już tam czekały, ich czerwone lampki kontrolne błyszczały z podniecenia. Ofiara była tuż, tuż!

Ale role się odwróciły. Polon ryknął i skoczył wysoko, ściągając w locie portki. Zsunął z tyłka gatki, złapał kserokopiarkę, usiadł na niej i wcisnął guzik: kseruj.

– Załatwiłem już jedną! – zawołał uradowany, gdy maszyna padała bez życia na podłogę.

– Jeden-jeden! – odpowiedział Radek.

– Ha, mam cię! Dwa-jeden!

Kserokopiarki, nie spodziewając się takiego obrotu sprawy, zaczęły się wycofywać. Radek zanucił temat z *Pogromców duchów*. Maszyny czmychnęły na piętro.

– A to wredne paskudy, zmówiły się z windą! – zawołał Polon, podnosząc spodnie z podłogi. – Zatrzymaj windę, ja zajmę się resztą, musimy zdążyć przed świtem! – Wskazał na okno, za którym mrok z wolna ustępował pierwszym promieniom słońca.

– Tak jest! – odkrzyknął Radek i zaczął raz za razem wciskać guzik windy. Jak tylko przyjechała, rozwalił desant kserokopiarek i zatrzymał windę na parterze.

Po kwadransie drugą windą przyjechał Polon, ciągnąc za sobą wrywającą się maszynę.

– To ostatnia – oznajmił w odpowiedzi na pytające spojrzenie Radka. – Chciałem, żebyśmy załatwili ją razem.

– Dzięki! – ucieszył się Radek. – Chodź, musimy zaciągnąć ją dalej, bo stąd może łatwo zwać.

– Dawaj, ciągniemy.

\*\*\*

Rektor zaparkował samochód i skierował się w stronę wejścia do budynku. Otworzył górny zamek, ale w dolnym coś utknęło i spędził kilka minut na mrozie, wypychając kluczem owo coś, które okazało się połówką długopisu.

– Przekłęci studenci – mruknął pod nosem.

Otworzył drzwi i wszedł na korytarz. Jego oczom ukazał się niecodzienny widok. Dwóch studentów trzymało kserokopiarkę, po czym jeden na niej usiadł i skserował swoje gołe pośladki.

Cichutko się podkradł i ukrył swą rektorską mość za posągiem założyciela

uniwersytetu.

– No, to była ostatnia – powiedział radosnym głosem jeden ze studentów.

– Czyli to koniec – ucieszył się drugi.

– To absolutnie nie jest koniec – stwierdził rektor, wychodząc z kryjówki.

– Liczę, że mi panowie wytłumaczycie, co się tutaj dzieje?

Studenci tylko spojrzeli po sobie.

## DRUGI NAJLEPSZY PRZYJACIEL STUDENTA

*Taśma klejąca to niezwykła, uniwersalna rzecz, którą można naprawić wszystko. Jeszcze nikomu nie udało się odkryć miejsc, gdzie rośnie; rozmieszczenie plantacji to pilnie strzeżony rządowy sekret. Poza plantacjami taśma występuje półdziko w sklepach papierniczych. Po nabyciu takowej taśmy należy uważnie i ostrożnie ją oswoić; niektóre taśmy są narowiste i bardzo trudno je napocząć.*

*Czasami zdarza się znaleźć taśmę pod biurkiem. To bardzo rzadki rodzaj taśmy, który często wygląda na zakurzony. Nie dajcie się jednak zmylić – „kurz” to tak naprawdę mikrokorzonki. Niestety nawet studentom zdarza się taką taśmę wyrzucić; tylko niektórzy delikatnie ją myją.*

*Taśmy klejące to drugi, zaraz po kserokopiarkach, najlepszy przyjaciel studenta. Jak już wspomnieliśmy, naprawić można nimi wszystko, choć pewne rzeczy tylko raz (np. piec). Dzięki swoim unikalnym właściwościom taśmy pomagają studentom wieszać firany, naprawiać krzesła, zastąpią wybitą szybę po imprezie czy w końcu skleją ulubiony kufel. Mało kto jednak wie, że taśmy służą nie tylko do naprawy różnych rzeczy – taśmy to także uniwersalny środek na dostarczenie rozrywki i przerwanie nudy na wykładzie. Taśmę można turlać, podrzucać, a odpowiednio wypuszczona potoczy się po stole i zaraz wróci do rozradowanego studenta. Posiadanie większej liczby taśm zwiększa możliwości rozrywkowe: można z nich zbudować wieżę i po ugnieceniu kilku papierowych kulek celować do jej wnętrza (od góry) razem z kolegami i koleżankami z ławki.*

*Vademecum Studenta, rozdział 6, strona 54*

– Radek! – Polon się wściekł. – Pomóż mi, do cholery, załadować te warzywa!

– Nadal nie rozumiem, po co ci piętnaście kilogramów marchewek. Zachciało ci się nagle zdrowo odżywiać, czy co? – zamarudził Radek.

– Sam niedawno wspominałeś, że warto byłoby wypić coś nowego!

– Eee, sok z marchwi to ja już piłem...

– Kto mówi o soku z marchwi? Co ty, wina marchewkowego nigdy nie próbowałaś?

Radek natychmiast odzyskał wigor i z pasją zabrał się do podnoszenia worka.

– Jak chcesz zrobić wino z marchewek?

– Oj, normalnie, weźmiemy piętnaście kilo marchwi, pięć kilo rodzynek, dziewięć kilo cukru, drożdże, pożywki i takie tam, i wyjdzie tego ze czterdzieści litrów. Butlę nam jutro kurier przywiezie, zamówiłem w Internecie.

– Trochę kasy na to pójdzie... – mruknął Radek, myśląc o swoim napiętym budżecie.

– Ale za czterdzieści litrów winiacza domowej roboty! Zawsze możemy jeszcze je przez destylator przepuścić, zrobi się brandy marchewkowe. – Polon zatarł ręce. – Pamiętasz to wino z bananów, które dostaliśmy od akademikowców?

– Oj, pamiętam... – rozmarzył się Radek, ładując warzywa do koszyka.

Studenci, zaopatrzeni już w niezbędne do egzystencji rzeczy, ruszyli po chleb, ser i inne artykuły spożywcze.

– O kurde – rzucił Polon, rozpaczliwie przeszukując kieszenie. – Kasa mi wypadła z kieszeni.

– Czekaj, tu jest, mam ją – uspokoił go Radek. – Nie powinieneś sobie tej dziury zaszyć czy coś?

– Że niby mam kupić igłę i nitkę? Nie mam kasy na głupoty – obruszył się Polon. – Weź mi zaklej tę dziurę, masz przecież taśmę klejącą.

– Cholera, spadła mi...

– Łap ją!

– No nie, stoczyła się do studzienki odpływowej...

– Radek?

– No?

– A w ogóle po cholere tutaj studzienka odpływowa?

– Nie wiem, może warzywa ociekają.

– Przecież nie są myte. – Polon zaprezentował dłonie, które równie dobrze mogłyby spędzić ostatnią godzinę, grzebiąc w torfie. – Czekaj, masz coś na koszuli... – Wytarł dokładnie ręce o koszulę kolegi.

– O ty pierdogrzmocie! – ryknął Radek, odsuwając się na bezpieczną odległość. – Gdzie mi z tymi brudnymi łapskami?

Polon spojrział na Radka zaskoczony. „No, no, czegoś się w końcu nauczył” – pomyślał.

– Twoja dziewczyna mówiła to samo – powiedział niewinnie, podważając wieko studzienki długopisem.

– Nie mam dziewczyny. – Radek dał się zaskoczyć.

– Musisz czepiać się szczegółów? Zawsze chciałem powiedzieć coś w ten deseń na koniec kłótni.

– A, pieprzyć tę taśmę i dziurę w spodniach. – Radek się obraził. – Może od razu je zdejmij, będzie to lepiej wyglądać – spróbował sarkazmu.

– Twoja dziewczyna mówiła to sa... – zaczął Polon, ale nie udało mu się dokończyć, bo naraz stało się kilka rzeczy.

Przede wszystkim poruszył wieko studzienki. W tym samym momencie Radek rzucił się w jego stronę. Kierownik sklepu krzyknął: „Nie!”, a pod nogami Polona otworzyła się zapadnia. Radek doskoczył do krawędzi, chwilę balansował, po czym wpadł do środka. Zapadnia zamknęła się z trzaskiem.

Studenci wpadli do wózka na szynach, który natychmiast rozpoczął podróż. Po kilku chwilach doszli do siebie na tyle, że zaczęli się szarpać. Wózek gwałtownie skręcił na szynach akurat wtedy, gdy Radek, rycząc niczym zraniony niedźwiedź, próbował wyrzucić z niego Polona. Ten jednak wczepił się w zmaltretowaną koszulę Radka i pociągnął go za sobą. Po chwili studenci wylądowali na stosie taśmy klejącej. Fakt ten zaskoczył ich do tego stopnia, że

przestali się szamotać.

– O stary... – wyszeptał zdumiony Polon. – Gdzie my jesteśmy?

– W podziemiach fabryki taśmy klejącej?

– Tak? To niby skąd ten napis? – Polon wskazał na drzwi z napisem: DZIAŁ PRZESUSZANIA NASION.

– Nic z tego nie rozumiem. Że niby co, jesteśmy na plantacji taśmy klejącej?  
– zapytał zbity z tropu, przyglądając się pomieszczeniu.

Miejsce, w którym się znaleźli, wyglądało jak opuszczona, podziemna hala fabryczna.

– Nie, no co ty. Myślę, że nie tylko my upuściliśmy taśmę w tym sklepie. Pewnie wszystkie upuszczone taśmy turlają się aż tutaj.

– I układają się w trzy równe stosy?

– To na pewno przypadek – zaperzył się Polon.

Chwilę przyglądali się hali w milczeniu.

– Możemy już iść? – Radka przeszedł dreszcz. – Poza tym zimno tu...

– Możesz się zamknąć? – warknął Polon. – Słyszę jakieś głosy.

– Weź pigułkę – odgryzł się Radek.

Nasłuchiwali przez chwilę. Słyszeli (a może im się zdawało) daleki odgłos syren alarmowych, tupot wielu stóp i stłumiony głos powtarzający w kółko: *Alarmstufe Rot! Alarmstufe Rot! Alarmstufe Rot!*

– Myślę, że będzie dobrze, jak się szybko stąd zwiniemy – zaproponował Radek.

– Też mi się tak wydaje. Otworzysz drzwi?

– To ty i twoje spodnie nas tutaj wpakowaliście, więc racz, z łaski swojej, iść

pierwszy.

– O Makaronowy Potworze Spaghetti, widzisz to i nie ciśniesz pulpetem...  
– Polon westchnął.

– Ej, religii do tego nie mieszaj!

– No już dobra, dobra – powiedział pojednawczym tonem Polon, otwierając drzwi. – Droga wolna! – rzucił.

Wyszli na korytarz. Podłoga lśniła, a ściany były bielsze niż na zdjęciach reklamujących nowe mieszkania. Studenci rozejrzeli się zdeorientowani. Kliniczna czystość działała na nich paraliżująco.

– Cholera, mają pułapki antystudenckie.

– Wdepnęliśmy na cacy. Polon, jakiś pomysł?

– Może nabrudźmy trochę?

Po kilku minutach Radkowi udało się przełamać paraliżujący czar czystości i tupnąć nogą. Z butów spadł piach, z nogawki opadł pył. Następne kroki były coraz prostsze. Mając w pamięci pocieszający widok piachu na podłodze, udało im się przejść do najbliższego okna.

– Ty, ale jaja! – odezwał się Polon. – Widzę mojego nauczyciela z liceum!

– Ja też! I tego z podstawówki, i tą z gimnazjum... – Wzdrygnął się.

– Czego cię uczyli? – zaciekał się Polon.

– No, wszyscy uczyli mnie niemieckiego...

– No zobacz, mnie też. Co to, tajne kółko nauczycieli niemieckiego?

– O, jest koleś od lektoratu na uniwerku...

– Pokaż. Ej, rzeczywiście! Co oni tu w ogóle robią?

– Wygląda mi to jak odprawa wojskowa – powiedział Radek.



- O, ruszyli... Nie jest to przyjemny widok...
- Myślę, że musimy spadać, zanim nas odkryją.
- Masz rację.

Studenci skręcili w prawo i dali nura w najciemniejszą odnogę korytarza. Przynajmniej nie widzieli, że też jest przeraźliwie czysta. Zbiegli po stromych schodach i znaleźli się w wąskim pomieszczeniu z wieloma parami drzwi po obu stronach. Słyszając za sobą kroki, szybko otworzyli pierwsze z brzegu i wbiegli do środka.

Nie był to najlepszy pomysł. W środku ktoś już się znajdował.

- Łapać ich! – rozległo się za plecami studentów.

Trzy postacie w białych kombinezonach natychmiast porzuciły dotychczasową pracę polegającą na opryskiwaniu małych drzewek i zaczęły biec w ich stronę.

- Wiejemy! – krzyknął Radek.

– Jasne, tylko capnę jedno z tych drzewek! – odkrzyknął Polon, rzucając rolką papieru toaletowego w najbliższego napastnika.

Po chwili studenci biegli korytarzem znajdującym się piętro niżej.

- Skąd miałeś papier toaletowy?

– Z uniwersytetu. Darmowy, wielofunkcyjny i łatwo wpędza w zakłopotanie!  
– Uśmiechnął się szeroko.

- Polon, chyba już wiem, gdzie jesteśmy.

- No gdzie?

- Pamiętasz rozdział szósty *Vademecum Studenta*?

- Ten, no... *Najlepsi przyjaciele studenta*?

– Dokładnie, właśnie ten. Pamiętasz, co pisali tam o taśmie klejącej?

– Myślisz, że trafiliśmy na plantację?

– Na pewno.

Korytarz urwał się niespodziewanie, a pogoń była coraz bliżej.

– Co teraz?

Polon zerwał z drzewka niedojrzałą taśmę klejącą.

– Teraz – uśmiechnął się złowrogo – zastawimy pułapkę.

Zaczął szybko rozklejać taśmę, tworząc coś w rodzaju pajęczej sieci.

– Skoro jest jeszcze niedojrzała, to na pewno ma klej bardziej skoncentrowany – wydedukował. – Radek! Staraj się wyglądać na zdesperowanego!

– Zrobię, co w mojej mocy – odparł zduszonym głosem Radek, usiłując uspokoić nogi, które samowolnie rozpoczęły taniec desperacji. Prześladowcy byli tuż, tuż. Polon niemal stracił pewność siebie, a Radek już chciał rzucać się w stronę ściany, kwicząc jak molestowana świnia, gdy zamierzający ich dopaść duet wpadł w zastawioną przez Polona pułapkę.

– Dobra, Radek, przestań drapać ściany i poprzecinaj tę taśmę, musimy wiać!

– A z nimi co zrobimy? – zainteresował się Radek, wyciągając studencki odpowiednik scyzoryka szwajcarskiego, znany także pod nazwą długopisu.

– Przykleimy ich do ściany.

– Nie odkleją się?

– Użyjemy całej taśmy, jaką mamy.

Po dłuższej chwili studenci szli spokojnie korytarzem, pozostawiwszy za

sobą dwa przyklejone do ścian kokony.

– Głośno się drą – zauważył Radek.

– I do tego po niemiecku. – Polon się skrzywił. – Chodź, chcę się stąd wydostać jak najszybciej.

Gdy tylko skręcili za róg, zarzucono im worki na głowy i ogarnęła ich ciemność.

Przebudzenie nie należało do najprzyjemniejszych. Uwolniono ich od worków, ale nogi i ręce przyklejono im do krzeseł, na których siedzieli. Co więcej, świecono im w oczy mocną lampą.

– Szpiedzy! – wydarł się ktoś z niemieckim akcentem. – Jako komendant tej plantacji domagam się wyjaśnień, w przeciwnym razie zawiśnięcie na taśmie!

– Odmawiam! – wydarł się Polon. – To jawne naruszenie prawa!

– W sumie ja mógłbym co nieco wyjaśnić – stwierdził Radek – ale tylko jeśli jako pierwszy dostanę odpowiedź na swoje pytanie.

– Zgoda – mruknął komendant. – Wyłączyć światła!

Lampy zgasły.

– Słucham twojego pytania. Nie łudź się, i tak nie wyjdziecie z tego żywi.  
– Zarechotał złośliwie. – Dlatego powiem wam wszystko, co tylko będziecie chcieli – oznajmił łaskawie.

– Dlaczego jest tutaj tylu nauczycieli niemieckiego?

Komendant zaczerwienił się do tego stopnia, że najdojrzalsze pomidory mogłyby pozazdrościć mu intensywności koloru.

– Deficyt budżetowy jest... Naziści się skończyli... To biorę, co dają... No bo to tajna stacja badawczo-hodowlana, muszą być naziści... Ale za drogo biorą...  
– tłumaczył mętnie, coraz bardziej się rumieniając. – A co wy tutaj robicie? – szybko zmienił temat.

Radek opowiedział mu swoją wersję wydarzeń.

– Niezła bajeczka – stwierdził komendant. – Jako że odmawiasz prawdziwych wyjaśnień, zawieszysz pierwszy, dla przykładu i na postrach, a twój kolega szpieg wyzna mi, kto was przysłał. – Uśmiechnął się złowieszczo i rozciął taśmy.

Natychmiast stanęło za nim dwóch drabów w każdej chwili gotowych interweniować, gdyby więzień spróbował uciec. Radek oczywiście podjął próbę ucieczki, ale szybko go złapano. Zdesperowany zawył:

– Grzegorz brzdąka gruchoczącym żyrandolem!

Oprócz Polona, patrzącego na Radka ze zdumieniem i podziwem, nikt w pomieszczeniu nie był w stanie znieść takiego natężenia dźwięków niewystępujących w niemieckiej mowie. Jak na komendę wszyscy oprawcy zasłonili dłońmi uszy i stracili przytomność. Radek, korzystając z okazji, długopisem ukrytym w rękawie rozciął taśmę krępującą Polona i rzucili się do ucieczki. Przebiegali przez całą bazę wrzeszcząc: „ćmowata ćwikła łąkuje grdypiając!”, tym samym pozbawiając przytomności wszystkich ludzi spotkanych po drodze. Polon w locie złapał dwa drzewka i tak obładowany wbiegł do działu przesuszania nasion.

– Czekaj, pomogę ci wejść na te tory – zaproponował Radek.

– Po cholere? – zapytał Polon i trzymając za doniczki drzewek, wspiął się na strome zbocze jak pajak. – Widzisz? Całe drzewka działają jak przylepce!

Radek wziął przykład z Polona i po chwili znaleźli się przy studziencie odpływowej. Polon odsunął wieko i uruchomił zapadnię, wysyłając wrzeszczącego kierownika sklepu w podróż jego życia. Radkowi natomiast udało się odnaleźć zagubioną wcześniej taśmę.

– A mówią, że jesteś drugim najlepszym przyjacielem studenta! – powiedział do niej oskarżycielsko. – Widzisz, jakich kłopotów nam narobiłaś?

Taśma powoli, jakby z uśmiechem, zabłyszczała tajemniczo.

## OPOWIEŚĆ PRZEDSESYJNA

– System Eliminacji Studentów jest aktywny – oznajmił komputer, a w powietrze poleciały korki od szampana.

Wykładowcy radośnie stuknęli się kieliszkami i zaczęli wymieniać uwagi.

– Mam nadzieję, że tegoroczne testy odstrzelą znaczną liczbę studentów. Klasy są strasznie zatłoczone – narzekał ćwiczeniowiec.

– Może wreszcie przerzedzi się u mnie na sali wykładowej – rozmarzył się inny.

Na mównicę wszedł dziekan i gwar podnieconych rozmów natychmiast ucichł.

– Szanowni profesorowie – rozpoczął dziekan. – W ostatnim roku akademickim przyjęliśmy do grona studentów tego uniwersytetu wiele osób, które zamiast grzecznie poddać się naszym rozkazom i wypełniać swoje obowiązki, zaczęło prowadzić życie towarzyskie.

Na sali zaszemrały komentarze, w których pobrzmiwały nutki przerażenia. Dziekan zrobił wymowną pauzę, dając gronu profesorskiemu czas na przyswojenie tej strasznej wiadomości.

– Dlatego – kontynuował – od lat podwyższamy poprzeczkę, nie chcąc dopuścić, by młode pokolenie zostało skażone tą straszliwą przypadłością. Jednakże, mimo naszych najszczerszych chęci i działań, brać studencka wciąż znajduje czas dla siebie. Ankieta przeprowadzona wśród naszej młodzieży wyraźnie wskazuje na wzrost zainteresowania życiem towarzyskim, od kiedy na naszej uczelni studiuje ten student.

Dziekan wcisnął guzik pilota i na ścianie pojawiło się zdjęcie. Uczni przypatrywali się uważnie.

– Dlatego nie możemy dopuścić, by dalej studiował na uczelni. W tym roku dostanie specjalny, najtrudniejszy możliwy zestaw pytań, który z pewnością uniemożliwi mu zdanie egzaminu, poprawki i warunku. Nie dopuścimy, by degrengolada towarzyska dotknęła naszych studentów! Jakież pytania?

– Czy nie jest to przypadkiem niezgodne z regulaminem uniwersytetu?  
– zapytał ktoś z sali.

– Oczywiście, że jest – odpowiedział beztrąsko dziekan. – Pieprzyć to!  
– wykrzyknął, unosząc kieliszek szampana, jakby wygrażał sufitowi. – To nasi studenci i będą nam posłuszni – dokończył złowrogo.

Sala odpowiedziała równie złowrogim pomrukiem zgody.

\*\*\*

Polon leżał na łóżku. Nie z powodu senności lub znużenia; zresztą czuł, że i tak by nie zasnął. Prawdziwym powodem zalegania była na wpół opróżniona butelka spirytusu. Westchnął ciężko i pociągnął kolejny łyk. Jak na złość, nie szło mu to upijanie się; w dodatku stos notatek piętrzący się na łóżku zdawał się patrzeć na niego oskarżycielsko.

– Co się gapisz? – warknął ze złością.

– Po to mam oczy – odpowiedziała nonszalancko sterta papierów. Niezbyt inteligentnie, choć jak na papier całkiem, całkiem.

Polon niemal zakrztusił się kolejnym łykiem. Ostrożnie odstawił butelkę na stół, uważnie przypatrując się jej zawartości. Oceniał, że butelka jest opróżniona w siedemdziesięciu sześciu koma trzy procenta.

– Niemożliwe... – mruknął sam do siebie. Wstał z łóżka i wycofał się chyłkiem z pokoju na korytarz.

Po chwili wrócił, dzierżąc w rękach miotłę. Mimo nabożnego lęku, jaki czuł przed tym przedmiotem, zdecydował się go użyć w celu poznania nowych właściwości notatek. Delikatnie szturchnął pierwszą z brzegu kartkę.

– Au! – zawołały notatki, przesypując się w bezpieczne miejsce. – Co za brak szacunku. Miotłą? Notatki? Wstydź się!

– Przepraszam – powiedział zdumiony i zmieszany Polon, odkładając miotłę na podłogę i szczypiąc się mocno. – Zaskoczyłyście mnie trochę.

– Chciałeś powiedzieć: zaskoczyłem – poprawiły go notatki.

– To skoro już tutaj jesteś, to może się przedstawisz? – zaproponował Polon, wyciągając kieliszki i wypełniając je gęstą zawartością butelki. Jeden postawił przy notatkach.

– Jestem duchem przeszłej sesji egzaminacyjnej – oznajmiły grobowo notatki. Z kieliszka przed nimi nagle zniknął alkohol. Polon uznał, że to sygnał do wchłonięcia swojej porcji, i przechylił swój kieliszek.

– No i czego ode mnie chcesz? Zdałem poprzednią sesję egzaminacyjną bezproblemowo.

– Oszukiwałeś – oskarżył go zachrypnięty głos.

– Nieprawda! No, może troszkę – przyznał się student.

– Powinieneś się wstydzić! To ja tu ten tego... No, przybywam z krainy dachów, duchów znaczy, żeby cię posortować... postrofować, a ty mi tu takie tam!  
– zabelkotała góra notatek.

Polon spojrzał na nią ze współczuciem. Nigdy jeszcze nie pił z własnymi notatkami, a teraz, kiedy w końcu miał okazję, spotkało go rozczarowanie – notatki najwyraźniej miały słabą głowę.

– W kaaażdym razie – notatki ziewnęły potężnie – cieszę się, że zdałeś tamten, tą, no, sesję. Inaczej nie bylibyśmy tutaj, oj nie – kontynuowała swój wywód sterta papierów. – W ogóle jak przyjdzie brat, to on ci dopiero powie i pokaże. O tak!

I zachrapały potężnie. Polon, po dłuższym zastanowieniu, postanowił pójść w ich ślady. Przykrył głowę poduszką i zamknął oczy. Po chwili pokój wypełniły głośnie dźwięki sonaty na dwa gardła i nosy.

– Pst! Polon! Polon! – rozległ się nagle odległy głos.

Polon przebudził się na chwilkę, machnął ręką, jakby odganiał niewidzialną muchę, i przewrócił się na drugi bok, mrużąc coś pod nosem.

– Polon! – ponownie rozbrzmiał głos, tym razem bliżej.

Student leniwie otworzył jedno oko.

– Cholera, jest trzecia w nocy, czego znowu chcesz? – powiedział, obracając się w stronę notatek, które wciąż chrapały, produkując dźwięki, których nie powstydziliby się silnik odrzutowy. Zdezorientowany, rozejrzał się po pokoju, ale nie dostrzegł niczego dziwnego. Położył się z powrotem.

– Hej, Polon! – odezwał się znowu natrętny głos.

Student zerwał się z łóżka i złapał za butelkę spirytusu, gotów rozbić ją na głowie każdemu, kto przeszkadza mu spać.

– Aj! Nie tak mocno! Puść mnie może, co? – zaprotestowała butelka.

– Czego znowu mnie budzisz? – zapytał rozdrażniony Polon, po czym spojrzał na notatki, które wciąż chrapały potężnie. – Oj, ty chyba jesteś kimś innym, niż myślałem. – Odstawił butelkę na stolik.

– W istocie – potwierdziła butelka.

– Możesz mi coś wyjaśnić?

– Jasne, pytaj, o co tylko chcesz.

– Słyszałem, że w Wigilię zwierzęta mówią ludzkim głosem. Jakie mamy teraz święto, że zaczynają mówić flaszki spirytusu i notatki?

– Rozpoczęcie okresu przedsesyjnego.

– Chcesz powiedzieć, że w wigilię okresu przedsesyjnego studenci mogą rozmawiać z notatkami?

– Studenci zawsze mogą rozmawiać z notatkami i butelkami, wystarczy, że są odpowiednio narąbani – odparła butelka.

– No dobra, ale ja przecież jestem w miarę trzeźwy. Więc może mnie oświeć trochę?

Butelka rozjarzyła się słabym, niebieskim blaskiem.



– Tak lepiej?

– Do cholery! – krzyknął Polon, wznosząc ręce do sufitu. – Miałem na myśli, żebyś wytłumaczyła mi, o co chodzi!

– Jestem duchem...

– W spirytusie?

– Spirytus jest bardzo bliski duchom, chociażby ze względu na nazwę – powiedziała dobitnie butelka. – Nie dałeś mi skończyć. Jestem duchem teraźniejszej sesji egzaminacyjnej.

– Nie rozumiem. Jesteś już drugim duchem, który mnie odwiedza. Nie możesz, nie wiem, postraszyć satanistów usiłujących wywoływać demony?

– Tylko na urlopie.

– Dobra, to czego ode mnie chcesz?

– Chcę ci pokazać, jak inni przygotowują się do sesji. Wypij mnie.

Polonowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Przypadł do butelki i pociągnął solidny łyk.

Nagle znalazł się w pokoju Radka, zakopanego po pas w notatkach i popijającego kawę. Trzęsące się ręce przewracały kolejne strony, głowa kiwała się ze zmęczenia, ale Radek nie ustawał w pracy.

– Oho, już trzeci dzień w trybie sesji – powiedział Polon.

– Widzisz? Nawet twój współlokator spędza czas produktywnie, ucząc się do nadchodzącego studenckiego armagedonu.

– Nic z tego, nadal nie zamierzam się uczyć – stwierdził z uporem Polon i pociągnął kolejny łyk.

Znalazł się w mieszkaniu Marty i patrzył, jak studentka czyta podręcznik.

– Widzisz? Wszyscy się uczą – powiedział duch, wychodząc z butelki.

– Czemu ona mnie nie widzi?

– Polon, w tej chwili nikt cię nie widzi, zabrałem ze sobą twojego ducha, ciało zostawiłem na miejscu.

– Super!

Marta ziewnęła potężnie i odłożyła książkę na stół. Przygotowała pidżamę i wyszła do łazienki.

– Ten, tego, no... – zaczął Polon i uśmiechnął się prosząco. – Może pójdziemy popatrzeć, jak się uczy w łazience?

Duch pokręcił głową z dezaprobatą i pstryknął palcami. Znaleźli się w pokoju Anglika. Światło było zgaszone, a sam Anglik spał w niewygodnej pozycji, z książkami pod poduszką. Duch się zmieszał i mruknął coś o nowoczesnych sposobach nauki, natomiast Polon pokiwał głową z uznaniem.

– Też tego kiedyś próbowałem, choć to dość niebezpieczna metoda nauki. Treść wskoczyła mi do głowy przez sen i nie mogłem się jej pozbyć – mruknął i pociągnął kolejny łyk spirytusu.

Znów był w swoim pokoju. Duch przeszłej sesji gdzieś zniknął, a duch teraźniejszej wskoczył z powrotem do butelki.

– Widzisz? Wszyscy przygotowują się do sesji, ty też powinienes.

– Dobra, dobra – odburknął Polon. – Poczekam na ducha przyszłej sesji, jak z nim pogadam, to się zobaczy.

– I tutaj mamy mały problem...

– Jaki?

– Nigdzie nie możemy znaleźć ducha przyszłej sesji.

Polon przeraził się nie na żarty.

– Jak to?

– Sądzimy, że nie dasz rady terazniejszej sesji. Dlatego twój duch przyszłej sesji odszedł od nas – wyznała ze smutkiem butelka.

– No dobra, niech ci będzie. Przekonałeś mnie do podjęcia radykalnych kroków – powiedział Polon i uruchomił laptopa.

\*\*\*

Dziekan stał na podeście i obserwował piszących studentów. Szczególną uwagę zwracał na osobnika do odstrzelenia, który zamiast siedzieć i zbaraniałym wzrokiem patrzeć na kartkę, pisał jak szalony, pomimo otrzymania specjalnego zestawu pytań. Nie rozglądał się na boki i nie ściągał, więc nie można go było usunąć z sali. Dziekan powiódł spojrzeniem po innych pilnujących profesorach. Jeden z nich bezradnie wzruszył ramionami.

– Koniec czasu! – ogłosił chwilę później inny z wykładowców.

Studenci odłożyli długopisy i podali swoje karty egzaminacyjne kolegom siedzącym przed nimi. Gdy wszystkie kartki dotarły do osób z pierwszego rzędu, grono profesorskie odebrało prace. A kiedy młodzież zniknęła za drzwiami, rzucili się do sprawdzania egzaminu studenta przeznaczonego do odstrzału.

– Niemożliwe! – krzyknął ćwiczeniowiec. – Jakim cudem wszystkie odpowiedzi są poprawne?

– Praca pisemna stuprocentowo zgodna z kluczem! – jęknął dziekan.

– Jak on to robi? – zadał dramatyczne pytanie wykładowca.

Pytanie, jak wiele innych rodzących się na uniwersytecie, pozostało bez odpowiedzi.

\*\*\*

Polon maszerował dziarsko w stronę domu, z dumą patrząc, jak w długopisie materializuje się duch przyszłej sesji egzaminacyjnej.

– Znow oszukiwałeś – powiedział oskarżycielskim tonem.

– Co robić, chciałem zobaczyć, jak wyglądasz – odparł dobrodusznie Polon.

Wszedł po schodach do mieszkania i uruchomił laptopa. Wybrał przeglądarkę internetowo-sesyjną Student&Student, którą kiedyś zupełnie przypadkowo ściągnął z Internetu. Rozwinęła się lista opcji:

> Rozpocznij nową sesję.

> Przywróć sesję (UWAGA: Cofa czas o dwa tygodnie).

> Przejdź do następnej sesji (UWAGA: Tylko jeśli jesteś pewna/pewien, że zdałeś/aś poprzednią).

Polon, z uśmiechem maniaka, wybrał ostatnią opcję.

## ANOMALIA

*Jeśli wybierasz się na studia, musisz pamiętać, że czas dla studenta to pojęcie względne. Zdaje się rozciągać i skracać dokładnie odwrotnie do Twoich potrzeb. Pomożemy Ci się z tym uporać. Przyjdź na spotkanie! Odpowiednio wyszkolony wykładowca nauczy Cię zarządzania własnym czasem. Spotkanie organizacyjne odbędzie się dokładnie dwa tygodnie temu w sali 606 A. Zapraszamy!*

Ogłoszenie dla kandydatów na studia

– Wybiła Dziesiąta! Wybiła Dziesiąta! Wybiła Dziesiąta!

Spanikowany głos niósł się po korytarzu, nic nie robiąc sobie ze swego właściciela, który stał nieopodal oparty o ścianę i dyszał tak, jakby mogła dyszeć lokomotywa parowa, gdyby tylko dano jej płuca. Po chwili pracownik fabryki odkleił się od ściany i ruszył śladem swojego głosu.

– Wybiła Dziesiąta! Wybiła Dziesiąta! Wybiła Dziesiąta! – darł się głos pod gabinetem dyrektora fabryki, nerwowo obracając się w powietrzu i szukając kogoś, kto mógłby za niego zapukać. Po chwili wyczuł swojego właściciela, który ciężko dysząc, dotarł w końcu na miejsce. Obrzucił go obrażonym spojrzeniem i wrócił na swoje miejsce. Pracownik wykonał kilka prób głosowych, po czym gwałtownie zapukał do drzwi gabinetu. Klamka się poruszyła i w szparze pojawiła się wąsata twarz.

– Na litość boską, Wpół Do Siódmej, nieznośny się stałeś, od kiedy zacząłeś pracować na jednej zmianie z Poniedziałkiem – mruknął pod wąsem dyrektor. – Mam nadzieję, że to coś naprawdę ważnego, bo jak nie, to będziesz karnie oliwić trybiki – powiedział już głośno.

– Wybiła Dziesiąta, dyrektorze, zgłaszam poważną awarię – powiedział jednym tchem Wpół Do Siódmej.

– Znowu komuś spadła wskazówka na głowę?

– Czas... mamy wrażenie, że Czas się psuje.

– Dostajecie nieświeży Czas? – zafrasował się dyrektor. – Co spowodowało

awarię?

– Mamy wrażenie, że to coś z drugiej strony, nasze maszyny są sprawne  
– wyjąkał pracownik.

– Niedobrze... Jakie mamy rezerwy czasowe?

– Czasu wystarczy dla całej ludzkości już tylko na trzy do czterech godzin.  
Dla nas maksymalnie na jedną dobę.

– Rozumiem. Powiadom resztę i próbuj uzyskać czysty Czas. Musimy  
podjąć radykalne kroki – zdecydował dyrektor.

– To znaczy?

– Jakim ludziom najbardziej na świecie brakuje czasu?

– Eee... Studentom w czasie sesji? – spróbował Wpół Do Siódmej.

– Zgadza się! Zrobią wszystko za dodatkowe godziny czasu, w których będą  
mogli się uczyć, spać lub imprezować!

– Czy to przypadkiem nie jest wbrew regulaminowi? – zapytał nieśmiało  
pracownik.

– Nie ucz dyrektora regulaminu – burknął Wybiła Dziesiąta. – Przynies mi  
trzy Rezerwuary Czasu, migiem!

– Już lecę! – krzyknął pracownik, a dyrektor zaczął ustawiać przypadkowe  
koordynaty na swoim biurku.

Chwilę później przybył pracownik, uginając się pod ciężarem Rezerwuarów.

– Powodzenia, dyrektorze – powiedział, wręczając mu urządzenia.

– Damy radę – mruknął dyrektor i przycisnął wielki, czerwony guzik.

Silny błysk oświetlił gabinet i z cichym pyknięciem Wybiła Dziesiąta  
przeniósł się do rzeczywistości.

\*\*\*

– Polon, sesja jest, wzięłbyś się wreszcie do roboty i zdał, co masz do zdania – mruknął Radek. – Nie pojmuję, jak to jest, że ja zawsze zdaję ledwo, ledwo, choć zakuwam tygodniami, zaś tobie nawet się nie chce usiąść do książek przed egzaminem, a wszystko zdajesz.

Polon tylko uśmiechnął się tajemniczo i uruchomił laptopa.

– Radek, wyluzuj trochę i nie myśl o sesji, bo cię to zatruje. Masz czas gotować? – zainteresował się.

– Powaliło cię ze szczętem? – oburzył się Radek. – Kto gotuje w trakcie sesji? Wszyscy wpierniczamy zupki chińskie.

– Ej, a może przeszedłbyś się do baru mlecznego?

– Gdybym miał kasę...

– Zobacz, otworzyli jakiś nowy bar mleczny w centrum i studentom wydają obiad za darmo – powiedział, wskazując na ekran komputera.

– Jesteś pewny, że napisali „studentom”, a nie „bezdolnym”? – zapytał Radek.

– W sumie wszystko jedno, przez sesję nie golileś się już tydzień, prania też nie robiliśmy, świeżych rzeczy nie mamy, wpasujemy się w jedną albo drugą rolę bezproblemowo – odparł Polon.

– Za to myłem się codziennie.

Polon spojrzał krytycznie na Radka.

– Eee, nie zauważą. Zakładaj buty i wychodzimy.

Poważną rozmowę przerwał huk. Studenci obejrżeli się w poszukiwaniu jego źródła, którym okazał się elegancki, wąsaty pan o jowialnym uśmiechu trzymający coś, co skołatany studentem umysłem automatycznie przywiodło na myśl butelki wódki.

– Coś ty za jeden i co robisz na moim dywanie? – zapytał Polon uprzejmie.

– Nazywam się Wybiła Dziesiąta i chciałem poprosić was o pomoc – odpowiedział tamten nieśmiało.

– Jesteśmy studentami w trakcie sesji. Gorszego czasu nie mogłeś sobie wybrać – mruknął Radek.

– A, właśnie... Czas... Łapcie! – powiedział Wybiła Dziesiąta, rzucając im Rezerwuary.

– I niby co to jest? – zapytał nieufnie Polon.

Zdażył nabrać dystansu do tego, co zwykle zdarzać się wokół jego osoby, szczególnie po tym, jak obejrzał pewną kasetę, która miała go zabić po siedmiu dniach. Na początku oglądał ją codziennie, żeby wciąż mieć siedem dni, ale potem kasetę mu się znudziła i postanowił poszukać innego rozwiązania. W końcu, czując przemożną niechęć do myślenia, postawił telewizor na sedesie ekranem do dołu. Gdy tylko coś zaczęło z niego wychodzić, spuścił wodę i w ten sposób stał się właścicielem jedynej na świecie nawiedzanej kanalizacji. Szósty zmysł podpowiadał mu, że teraz też będzie musiał myśleć, więc delikatnie odstawił na biurko przedmiot przypominający butelkę i ostrożnie otrzepał rękę.

– E, nie, dziękujemy, akwizytorom wstęp wzbroniony.

Wybiła Dziesiąta był zbity z tropu. Nie tak wyobrażał sobie studentów.

– Hm, no dobrze, to ja już pójdę – powiedział niewyraźnie.

– Fajno, bo chcieliśmy iść do baru mlecznego.

– Czy możecie mi pokazać, panowie, którą do wyjścia?

– Właśnie wychodzimy, może pan się zabrać z nami – zaproponował grzecznie Radek.

– Z chęcią.

Studenci przepuścili mężczyznę przodem i zamknęli za sobą drzwi. Pożegnali się z Wybiła Dziesiąta i weszli do windy.



– Do baru mlecznego – mruknął pod nosem dyrektor. – To znacznie ułatwia sprawę.

Z kieszeni wyciągnął telefon i szybko zadzwonił w kilka miejsc.

\*\*\*

– Co to w ogóle za bar mleczny? – zapytał Radek. – Nigdy wcześniej o nim nie słyszałem.

– Ja też nie, musi być nowy, skoro chcą studentom za darmo posiłki wydawać.

Weszli do środka. Pani za ladą od razu obrzuciła ich nieprzyjaznym wzrokiem, splunęła na ścierkę i przetarła dokładnie blat. Studenci rozejrzeli się czujnie. Większość miejsc okupowali mężczyźni, których równie dobrze można by przebrać w skóry dzikich zwierząt i wysłać do epoki lodowcowej. Wszyscy przez chwilę wpatrywali się w studentów z wyraźnym zdziwieniem, po czym wrócili do przerwanych rozmów. Radek zajął miejsce przy jedynym wolnym stoliku, a Polon poszedł zamówić dwie porcje pierogów.

– I co? – zapytał Radek, gdy Polon usiadł przy stoliku. – Rzeczywiście za darmo?

– Żebyś wiedział! – Polon się rozpromienił. – Tylko, niestety, będziemy musieli trochę poczekać.

– Ile?

– Tak z pół godzinki.

– Co oni będą przez ten czas robić?

– No... muszą najpierw złapać te pierogi, zabić, oporządzić... I tak uwiną się w miarę szybko.

Drzwi do lokalu otworzyły się raptownie. Do środka wszedł elegancko ubrany jegomość, a atmosfera momentalnie stała się tak gęsta, że można by zawiesić w powietrzu widelec – co jest całkiem normalnym zjawiskiem na barowej

kuchni, jednak w części dla klientów zdarza się niezwykle rzadko.

Wrogie spojrzenia odprowadzały eleganta aż do stolika, przy którym siedzieli studenci.

– No no – zacmokał z dezaprobatą. – Panowie się chyba pomylili, to jest mój stolik. Ale nie szkodzi, zmieszczę się przecież. Przedstawię się. Nazywam się Sacytnaz. Łyka? – zapytał, wyciągając zza pazuchy pokaźną butelkę.

– W sumie nie zaszkodzi – odparł z uśmiechem Polon.

– Oczywiście, że nie – potaknął elegant, uśmiechając się złowieszczo i rozlewając napój do kubków. Studenci wychylili wszystko na raz i obaj zwałili się pod stół. Sacytnaz wstał, przelał swoją porcję z powrotem do butelki i opuścił lokal, odprowadzany przez nienawistne spojrzenia. Jednak mimo tego, że elegant ulotnił się jak kamfora, atmosfera pozostała gęsta. Klienci z niepokojem obserwowali, jak staje się coraz gęstsza i gęstsza. Kubek, zrzucony kontrolnie przez jednego z gości na podłogę, zawisł w powietrzu. Wtedy w lokalu wybuchło zamieszanie. Studentów chwycono za ręce i nogi i zataszczono do kuchni. Wspólnym wysiłkiem, czując na karkach presję czasu, wciśnięto ich do komory i naduszono przycisk. Błysnęło, huknęło, i studenci zniknęli. Wszyscy, poza Wybiłą Dziesiątą, który obserwował tę scenę przez okno, zastygli bez ruchu. Dyrektor mocniej ścisnął Rezerwuar i dziarsko ruszył chodnikiem.

Z nieba zaczęły spadać ptaki.

\*\*\*

Polon leniwie otworzył jedno oko. Przez chwilę się zastanawiał, po czym uświadomił sobie, że obudziło go gwałtowne burczenie dobywające się z brzucha Radka. Rozejrzał się uważnie. Leżeli na jakiejś polnej drodze w środku lasu. Próbował wrócić pamięcią do poprzedniego wieczoru, jednak czarna dziura ziejąca między wczorajszym dniem a dzisiejszym porankiem nijak nie chciała się wypełnić. Wstał i od razu zauważył coś dziwnego: wokół miejsca, gdzie spał, znajdował się równy krąg wypalanej trawy. Podszedł do Radka. Również jego otaczał czarny okrąg.

– Cholera, piłem już wiele razy, ale żeby trawa wokół mnie spłonęła od oparów, to jeszcze mi się nigdy nie zdarzyło – mruknął pod nosem.

Tymczasem Radek, którego również obudziło burczenie w brzuchu, podniósł głowę z ziemi.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał słabym głosem.

– Wstawaj, zaraz kogoś zapytamy – pogonił go Polon. – Założę się, że znów nas ktoś wsadził po pijaku do pociągu. No, dalej, rusz się, słyszę jakiś ruch na drodze.

Po chwili z za zakrętu wyłonił się wóz, do którego zaprzęgnięto parę koni. Woźnica kiwał się sennie na koźle, nie zwracając uwagi na gwałtownie wymachujących rękami młodzieńców. Dopiero gdy zaczęli krzyczeć, ocknął się i zatrzymał pojazd.

– Halo, przepraszam – powiedział Radek. – Czy może nam pan powiedzieć, gdzie jesteśmy?

Woźnica rozdziawił zarośniętą gębę i zaczął wodzić wzrokiem od Radka do Polona, wyraźnie nie pojmując, o co chodzi.

– Czekaj, ja spróbuję – włączył się Polon i protekcyjnym tonem zaczął: – Azaliż, dobry człowieku, czy mógłbyś rzec nam z łaski swojej, gdzie się z przyjacielem znaleźliśmy?

Na twarzy woźnicy, o dziwo, pojawił się grymas zrozumienia.

– Oj, panocki, tuż pod Poznaniem zbłądzić? Toć trakt równy jak stół i prosto do sioła prowadzi.

– Co on powiedział? – zapytał skonsternowany Radek.

– Że gdzieś pod Poznaniem jesteśmy – odpowiedział Polon, tknięty złym przecuciem. – A jakież to dzień dzisiaj mamy? Błądzimy od tak dawna, żeśmy poczucie czasu stracili.

– Uch, dziś mamy ósmy lipca Roku Pańskiego 1360.

– Jaja sobie z nas robi czy co? – zdumiał się Radek. – Noż do kurwy nędzy, piłem już tak, że budziłem się dzień, dwa dni później, ale w średniowieczu? Co my wczoraj piliśmy?

– Zamknij się – usadził go Polon, widząc, że woźnica uważnie się przysłuchuje. – Dobry człowieku, czy podwiózłbyś nas do najbliższego sioła?

– Wejdźcie, panocki, na wóz, bo tu koło mnie ciasno by było – zaprosił ich woźnica, pokazując im palcem, gdzie mają usiąść. – Coście, panocki, za jedni?

– On muzyk – Polon wskazał na Radka – a ja śpiewak.

– Trubadurzy? A już się dziwiłem, żeśta tak dziwnie ubrani. A instrumenta gdzie?

– Popiliśmy i pogubiliśmy – wyjaśnił Radek.

To akurat zostało zrozumiane w lot. Woźnica uśmiechnął się pod wąsem i zaciął konie. Wóz ruszył i kilkanaście minut później, trzęsąc się i podskakując na wybojach, wjechał do miasta.

– Kiedy oni wreszcie zrobią te drogi... – mruknął z niezadowoleniem woźnica. A potem każde mocniejsze wstrząśnięcie kwitował stekiem przekleństw.

– Którędy do karczmy? – zapytał Polon.

– Ano jadę tam akurat, to i wam trefnisiom rychtyk po drodze będzie – odpowiedział woźnica. – Do Kulawego Jelenia niedaleko, więc rychło będziemy.

Zatrzymał konie przy nowiutkiej karczmie nad Wartą i razem ze studentami wszedł do środka.

– Na tych uważaj – zwrócił się do karczmiarza. – Tajemnym językiem gadają, trubadurami się mienią, ale niepewnym, co to za jedni. Sprawdź ich jakoś.

– Myślisz, że coś nam dadzą do jedzenia? – zapytał Radek, czując unoszący się w powietrzu zapach świeżego pieczywa i mięsa.

– Myślę, że będziemy musieli na to jakoś zarobić.

– Niby jak?

– No nie wiem, pożyczymy jakąś lutnię i zagramy... Myślisz, że dałbyś radę

zagrać na czymś takim?

– Mogę spróbować – odparł niepewnie Radek.

– Dobra, jakie znasz piosenki?

Radek szybko wymienił długą listę piosenek na gitarę.

– No dobra, spróbujemy z tą ostatnią – zdecydował Polon. – Myślę, że dam radę przełożyć ją na ich język.

Uzgodniwszy niezbędne szczegóły, podeszli do karczmiarza.

– My głodni, ale zapłacić jak nie mamy – zwrócił się do niego Polon. – Czy lutnię tę pożyczyć mogę, co by na strawę zarobić?

Karczmiarz tylko wzruszył ramionami i podał im instrument, a Radek natychmiast zaczął przy nim grzebać.

– Nie no, jak to w ogóle nastrojone jest... Beznadzieja... Zajmie mi to chwilę, przygotuj nam jakieś miejsce do grania.

– Pospiesz się, bo zamiast dać nam jeść, zaraz nas tu zjedzą – wycedził przez zęby Polon, uśmiechając się radośnie do zgromadzonych w izbie. Większość z klientów łypała nieprzyjaźnie w ich stronę; ponurzy zbrojni wychylający kolejne kufle, kupcy liczący swoje zyski przy stole oraz lokalne Koło Gospodyń Miejskich, dowodzące swoją obecnością ponadczasowości tej szacownej instytucji.

– Dobra, jestem gotowy – oznajmił Radek, szarpiąc za wszystkie struny po kolei. – Śpiewamy?

– Dobra, to na trzy... raz, dwa i trzy!

Radek zaczął grać skoczną, wesołą melodię, a na twarzach gości pojawił się uśmiech. Student dał znać Polonowi, że czas już zaczynać, więc ten nabrał powietrza w płuca i zaśpiewał:

*Zaiste szalona jesteś, dziewczyno*

*Powiadam ci*

*Azaliż byłaśże nią zawsze,*

*Zatem zakończcie czcze mrzonki senne swe*

*Tyś, pani, nie janiot*

*Powiadam ci*

*Zaiste szalona!*

Na zaimprovizowaną scenę posypały się gorsety.

Późnym wieczorem studenci siedzieli na krzesłach i podliczali, ile udało im się zarobić.

– Stary! Za taką sumę można kupić tutaj wszystko! – zapalił się Polon.

– Jasne, rozumiem, dobrze nam się powodzi i tak dalej, ale jak wrócimy do domu?

– Czekaj... Pamiętasz tego śmiesznego akwizytora, co się znikąd na dywanie pojawił?

– No pamiętam, pojawił się, i co z tego?

– Przecież dał nam jakieś butelki, wspominając coś o czasie. Ja swoją na biurko odstawiłem, a ty ze swoją co zrobiłeś?

– Nie pamiętam, chyba do kieszeni wsadziłem i... O, mam! – krzyknął radośnie, wyciągając z bocznej kieszeni spodni flaszkopodobne urządzenie, w którym chlupotała bliżej niezidentyfikowana ciecz. Po dokładniejszych oględzinach studenci odnaleźli przycisk, na którym widniał napis: POWRÓT.

– Jak myślisz, gdzie wrócimy? – zapytał Polon.

– Nie mam pojęcia. Ale zawsze to jakaś nadzieja na powrót do naszych czasów.

– Dobra, wciskaj.

Błysnęło, huknęło i studenci, ku wielkiemu smutkowi szacownego gremium Koła Gospodyń Miejskich czatującego pod oknem oberży, rozplynęli się w powietrzu.

\*\*\*

Huk dochodzący z gabinetu dyrektora postawił wszystkich na nogi. Robotnicy ruszyli zobaczyć, co się dzieje. Pięc Po Ósmej nieśmiało zapukała do drzwi.

– Halo, dyrektorze... Wszystko w porządku?

– W porządku, w porządku! – Zza drzwi doleciał głos dyrektora, w którym słyhać było wyraźną ulgę. – Rozejść się! – poleciał władczo głos i wrócił do swojego właściciela.

– Hej! – krzyknął zaskoczony Polon. – Ciebie już widziałem! Wylądowałeś na moim dywanie bez uprzedzenia!

– No to mamy remis, kolego – powiedział Wybiła Dziesiąta radośnie.  
– Uciekliście mi, a potrzebuję waszej pomocy.

– Gdzie my w ogóle jesteśmy?

– Jesteście w Fabryce Czasu. Nazywam się, jak już wiecie, Wybiła Dziesiąta i jestem dyrektorem fabryki.

– Chyba mówiłeś, że potrzebujesz pomocy czy coś – przypomniał sobie Radek. – Polon, w sumie skoro już tutaj jesteśmy, to zobaczymy, co się da zrobić.

– Ale zwróćcie nam czas, który przeznaczymy na pomoc?

– Nawet z dużym procentem – obiecał dyrektor.

– No dobra, to w czym tkwi kłopot? – zapytał Polon.

– Nie możemy uzyskać czystego Czasu – wyjaśnił Wybiła Dziesiąta.  
– Mamy dostęp do kopalni, ale niestety czas występuje tam w zbyt niskich stężeniach...

– Myślę, że z Radkiem damy radę. Ile mamy czasu?

– Około dwudziestu minut – powiedział posępnie dyrektor.

– No to się zabieramy do roboty. Radek, daj im listę potrzebnych rzeczy, niech przyniosą próbki czasu.

Robotnicy błyskawicznie dostarczyli niezbędne rzeczy, nie pytając o ich przeznaczenie.

– Dobra, Radek, mamy mało czasu. Skup się, wiesz jak, i do dzieła.

Studenci zamknęli oczy. Delikatna poświata wypłynęła im z uszu, otulając ich szczelnym, acz przezroczystym kokonem. Robotnicy cofnęli się trwożliwie, patrząc, jak studenci ruszają się coraz szybciej i szybciej, aż zmienili się w rozmazane plamy.

– Panie dyrektorze, co oni robią? – zapytał Wpół Do Siódmej.

– Czysta formacja czasu... – westchnął Wybiła Dziesiąta. – Ale... jak?

Chciał podejść do nich i zapytać, ale nie zdążył. Czas fabryki się skończył i tylko dwie rozmazane plamy poruszały się między zastygłym w bezruchu personelem.

I ruszył znów. Zdumiony dyrektor patrzył na kompletnie przebudowany Ekstraktor Czasu, który, błyszcząc nowością, produkował duże ilości świeżutkiego, pachnącego Czasu.

– Jak? Jak wy to zrobiliście? – zapytał oszołomiony.

– Zna pan pierwsze prawo wykładu?

– Nie znam...

– Pierwsze prawo wykładu brzmi: czas na wykładzie jest jak guma: im bardziej się nudzisz, tym dłużej się wykład ciągnie. Każdy, kto był na wykładzie z teorii literatury, wie o tym doskonale – wyjaśniał Polon. – Potem wystarczy sobie wyobrazić usypiający głos wykładowcy, nudę i temat, i można swobodnie



manipulować czasem. Niech pan dyrektor wpadnie kiedyś z pracownikami, może się to wam przydać.

– Nie omieszka – powiedział z uśmiechem dyrektor.

## PAPIERKOWA ROBOTA

Polon zazgrzytał zębami. Taka sytuacja była niedopuszczalna.

– Radek, ty cholero! – wrzasnął na całe gardło.

– Czego? – Rozczochrana głowa Radka wysunęła się z pokoju.

– To ja wczoraj, jak jakieś juczne zwierzę, targam papier toaletowy z uniwersytetu do domu, a ty cały zużywasz do wytarcia podłogi? Szmata nie mamy, żebyś papierem podłogę wycierał?

– E, twoja stara suszy żwir – elokwentnie zripostował Radek i trzasnął drzwiami do pokoju.

Polon westchnął ciężko. Znaczy, że jutro znów musi podebrać z uniwersytetu papier. „Ale moment – zastanowił się – może teraz udałoby mi się złapać taką dużą rolkę? W zasadzie chyba lepiej iść od razu”.

Jak pomyślał, tak zrobił.

Uniwersytet w godzinach popołudniowych zawsze był pusty, a przynajmniej tak się zdawało Polonowi, zręcznie przemykającym korytarzami, by uniknąć wykrycia – w końcu powinien być teraz na zajęciach, a jakoś nie wyobrażał sobie następującego dialogu (nieuniknionego, jeśli napotkałby któregoś ze swoich wykładowców):

– Panie Poloński, a co pan tutaj robi? Na zajęciach pana nie było, a teraz widzę pana na uniwersytecie?

– No wie pani, pani magister, z godzinę temu byłem jeszcze chory, ale potem skończył mi się papier toaletowy, więc przyszedłem po trochę. – Polon nie lubił kłamać. Oczywiście, w myślach ten dialog brzmiał o wiele lepiej; głównie dlatego, że wyobrażał sobie, iż zdążył już zwędzić, tfu, zdobyć rolkę.

Przemykał korytarzami bloku B, szukając jakiejś ubikacji. Nie bywał tu za często i, o ile dobrze pamiętał, rzadko kto miał tutaj zajęcia, więc istniała duża szansa, że jakaś rolka jeszcze będzie na miejscu. „W sumie – pomyślał – wykładowcy zarabialiby o wiele więcej, gdyby uniwersytet nie musiał wydawać

tyle na papier”. Kalkulował w pamięci i wyszło mu, że gdyby policzyć wszystkie wydatki uniwersytetu na szare złoto, jak nazywali papier toaletowy studenci, to mogłoby one przebić PKB niejednego państwa. Przerwał obliczenia, kiedy dotarł na miejsce. Drzwi były lekko uchylone, co dobrze wróżyło – zdobędzie papier bez potencjalnych świadków. Wszedł do środka, szybko złapał za najbliższą rolkę i wyszedł, pogwizdując niewinnie.

Nie zauważył ciemnego kształtu, który zwinął się chwilę potem i wyfrunął przez okno.

\*\*\*

– To on – powiedział charczący głos.

– Tak, to on, bez wątpienia – odpowiedział inny.

Tuzin innych głosów zaczęło powtarzać te słowa jak mantrę, coraz głośniej i głośniej.

– Cisza! – zabrzmiał donośny głos przewodniczącej. – Drogie panie, najpierw może formalności. Więc, yhm, niniejszym uroczyście otwieram obrady comiesięcznego sabatu sprzątaczek. Dziś omówimy sprawę znikającego papieru toaletowego. Tak, pani Madziu, wiemy, że dzisiaj miałyśmy prezentować własnoręcznie dziergane swetry, dojdziemy do tego, proszę się nie obawiać. I nie musi pani tym swetrem tak wymachiwać, proszę. A więc – podjęła przewodnicząca po chwili przerwy. – Co z nim zrobimy?

– Musimy go ukarać – padła odpowiedź, a zaraz po niej rozległy się liczne głosy poparcia.

– Ale co mamy zrobić? Konkretnie. Jest za sprytny. I nie da się złapać, wierzcie mi, próbowałam.

– Nie mamy wyboru – powiedział zdecydowany głos. – Musimy rzucić Klątwę Pani Tereni.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Ja wiem, że trzeba go ukarać, ale żeby aż tak...

– No nie wiem, to w końcu ma być kara, a nie tortura...

– Cisza! – krzyknęła przewodnicząca sabatu, podnosząc ręce w teatralnym geście. – Ten haniebny proceder trwa już za długo! Musimy to rozwiązać raz na zawsze! Tak, pani Madziu, to naprawdę piękny sweter, dobra robota. Może go pani schować? Nie? Ale zaraz będziemy rzucać klątwę – powiedziała proszącym tonem.  
– Czy jesteście gotowe?

– Wszystko gotowe – odparła jedna z uczestniczek, kładąc wielki kocioł na stole.

– To zaczynamy!

*Brudna szmata, kurzu kapkę,*

*Niech nie będzie już niejadkiem.*

*Kroplę wody, jakąś trutkę,*

*Nie ma ochoty na wódkę.*

*Miotły włos i kropla łoju,*

*Musi sprzątać w swym pokoju!*

Kocioł rozświetlił się na zielono, kiedy zakłęcie wchodziło w fazę krytyczną.

– *Piękny sweter pani Madzi Niech na siebie szybko wsadzi* – zaintonował jakiś głos.

Sprzątaczkę się skrzywiły. Ta część była wyjątkowo okrutna.

\*\*\*

– Znowu jestem głodny – stęknął Polon, otwierając lodówkę.

– Ależ masz gastro – zauważył Radek, patrząc na pustą miskę Polona.  
– W życiu nie widziałem, żeby ktoś zjadł cztery litry rzadkiej owsianki na jedno posiedzenie.

– Chyba przyszykuję więcej. Czekaj, niech się robi, a ja w tym czasie pomyję naczynia...

Radek od razu się zorientował, że coś jest nie tak. Polon od zawsze był zwolennikiem gruntownego wymaczania naczyń w zlewie przez co najmniej tydzień; więc wszystko wskazywało na to, że zasnął w kuchni i ma naprawdę dziwny sen. Uszczypnął się mocno, ale nie pomogło.

– Hej, Polon, a może wybierzemy się dzisiaj gdzieś na wódkę?  
– zaproponował ostrożnie.

– Hm, wiesz co, chyba nie, muszę dzisiaj posprzątać pokój – odpowiedział lekko Polon, pochylając się nad szczególnie upartym naczyniem, które tkwiło przyklejone do podłogi.

Nastała chwila takiej ciszy, jakby cały wszechświat wstrzymał oddech, czekając na to, co się stanie.

Polon złapał się za głowę.

– Rany, co się ze mną dzieje? – zawołał.

Wszechświat odetchnął z ulgą, a Radek złapał za kopię *Vademecum studenta*, wydanie poprawione i uzupełnione, i zaczął gorączkowo je kartkować.

– Jakoś szczególnie komuś podpadłeś ostatnio? – zapytał.

– A czemu pytasz?

– Masz do wyboru woźnego, sprzątaczkę, wykładowcę i – kartkował przez chwilę nerwowo – sąsiadkę z dołu. Sweter wskazuje na to, że albo sąsiadka, albo sprzątaczkę.

– Cholera, nie wiem, wszystkim podpadam równo. A co mówi *Vademecum*?

– No, mamy sekcję „Uniwersalne odczynianie klątwy”, ale wymaga sporo wysiłku. Przestań sprzątać! – Radek walnął Polona po głowie świeżo umyтым talerzem.

– Nie mogę – jęknął Polon. – Jakby mnie coś do zlewu przykuło. Co mam

zrobić?

– *Vademecum* stawia sprawę jasno – musimy upolować zepsutą parówkę, ale musi być tak zepsuta, że sama wyczołguje się z lodówki o północy.

– I to wszystko?

– No właśnie nie. Mamy tylko minutę, żeby ją złapać i ugotować w czajniku elektrycznym, a potem musisz ją zjeść.

Polon się wzdrygnął. Był przeciwnikiem zabijania już raz zabitego mięsa. „Z drugiej strony, parówka nie mięso” – pocieszył się.

– Radek, ja nie wiem, czy ja wytrzymam do tej północy. Idę sprzątać do pokoju! – zawołał z nieszczęśliwą miną, człapiąc do siebie.

– W porządku – powiedział Radek, sprawdzając, czy odpowiedniej jakości parówki znajdują się w lodówce. – Łopata jest w szafie jakby co.

\*\*\*

W kuchni było cicho. Za cicho.

Dwie figury klęczały przy stole, czekając, aż otworzy się lodówka.

– Trzy... Dwa... Jeden... – odliczał Radek.

Drzwi lodówki uchyliły się i jedna z parówek zaczęła wyczołgiwać się na wolność.

– Teraz! – krzyknął głośno.

Parówka zdążyła się zorientować, że to pułapka, ale było już za późno – drzwi lodówki, niczym wrota do innego wymiaru, zamknęły się za nią bezpowrotnie.

– Łap!

– Cholera, śliska.

– Skoczyła na parapet! Siatką ją!

– Wrywa się, skubana. Nic z tego, do czajnika!

Woda gotowała się wyjątkowo długo.

– Masz piętnaście sekund!

Polon szybko przełknął ostatni kęs i zrobił się zielony na twarzy.

– No, po czymś takim na pewno długo nie będziesz głodny – zauważył Radek. – Masz, popij wódką, to zabije ten smak.

Polon popił, zerwał się ze swojego miejsca i zaczął biec do łazienki.

– U, widzę, że porządek też szlag trafi – podsumował Radek, słysząc charakterystyczny odgłos dobiegający z łazienki. – Tylko nie ścieraj tego papierem! Sweter masz...

## DOWÓD

*Kotlet to podstawa żywieniowa wszystkich studentów mających zwyczaj żywić się w jadłodajniach – zaskakująco tani i zdumiewająco posilny, niejednemu pomógł zapłacić żołądek. Mało kto jednak wie więcej o tym wspaniałym daniu. Jest ono jednym z najważniejszych, choć skrzątnie omijanych w pracach naukowych, dowodów na to, że podróże w czasie są możliwe. W końcu zjawisko kotleta, niby wczorajszego, a jednak świeżutkiego, stanowi poważne wyzwanie nawet dla najtęższych umysłów i najwytrzymalszych żołądków.*

*Studenci z Wyższej Szkoły Otwierania Piwa postanowili zwołać wyspecjalizowaną grupę badawczą, która miała raz na zawsze rozwiązać ten problem w panierce. Po trzech latach nieustannych badań jednoznacznie stwierdzili, że kotlety są rzeczywiście świeże; powstało jednak pytanie: „Jak to możliwe?”.*

*Dopiero kilka lat później tajny zespół najwybitniejszych fizyków naszej planety, bazując na teoriach Feynmana, mówiących o tym, że proton to nic innego jak elektron poruszający się wstecz strumienia czasu, orzekł, że kotlety najprawdopodobniej poruszają się po skosie strumienia czasu i przez to zdarza się, że przeskakują do innych strumieni czasu. Nie wiadomo jednak, dlaczego kotlety robią to, co robią; dopiero zaprzysiężony fizykobiolog wysunął śmiałą hipotezę, jakoby kotlety poruszały się po skosie strumienia czasu w celu odbycia tarła. Hipotezę swoją fizykobiolog podparł śmiałym porównaniem: podobnie jak niektóre wyjątkowo pechowe pstrągi, które płynąc w górę strumienia, wskakują prosto w niedźwiedzią paszczę, tak pechowe kotlety lądują na talerzach w stołówkach studenckich.*

*Badania zastawy stołowej w jadłodajniach studenckich zaniechano, a szkoda, bo może wyjaśniłoby to tajemnicę latających talerzy. Zauważono jedynie, że przez te przeskoki czasowe tworzy się napięcie między strumieniami czasu, które kiedyś może doprowadzić do wybuchu...*

*Vademecum studenta, Rozdział 4, strona 52*

– A mówiłem ci, że nie mam ochoty grać na konsoli – skłamał Radek.

– No weź przestań! – zachnął się Polon. – Przecież aż się paliłeś do wyjścia. Sam zaproponowałeś, że pogramy w wyścigi. – Czchnął lekko.



– No ale żeby od razu zakładać się o połówkę, kto pierwszy na metę dojedzie...? – Radek wyprostował ostrzegawczo palec. – Ja rozumiem, gdybyśmy wygrali, aleśmy przegrali z kretesem!

– Może dlatego, że oni byli trzeźwi – zauważył Polon. – Nie bez powodu mówi się, żeby nie jeździć po pijaku. Człowiek może przegrać przez to połówkę. No trudno, nie martw się, zaopatrzymy się jeszcze. – Zachwiał się lekko. – Za to dzięki temu ułożyłem piękne haiku na naszą grę. Mogę zadeklamować, jeśli chcesz.

– Dawaj.

Polon odkaszlnął, przeczyścił gruntownie górne drogi oddechowe, po czym zaczął mówić pięknym, rzewnym głosem:

*Czy to są kurwa jakieś jaja*

*Co mnie wyprzedzasz na zakręcie*

*Zrobię ci z dupy jesień średniowiecza*

*Twoja stara pasie żółwie.*

– Piękne – oznajmił Radek, ocierając łzę z policzka. – Bardzo dobrze oddaje charakter naszej gry – dodał, po czym przysiadł ciężko na schodach. – Wiesz co, chcę do domu – zamarudził.

– Jest dopiero piętnasta – stwierdził Polon, patrząc na zegarek.

Miał poważny dylemat; ponieważ zaczęli pić przedwczoraj, a skończyli ledwo przed godziną, zastanawiał się, czy jest jeszcze pijany, czy jest już pijany. Te filozoficzne rozmyślenia o naturze czasu przerwało głośnie burczenie w brzuchu.

– Cholera – stęknął Radek. – I na dokładkę jestem głodny.

– Przecież jadłeś przedwczoraj – wytknął mu zdziwiony Polon. Teraz przypomniał sobie, że wypił tylko dwa litry wina domowej roboty, i dzięki temu wysnuł pewny wniosek, że nie jest pijany w ogóle.

– No dobra, ale to było przedwczoraj, a ja bym zjadł coś dzisiaj – odparł niezadowolony Radek. – Chodźmy do jadłodajni studenckiej.

– Do „Jowity”? – upewnił się Polon. – No dobra, w sumie też mogę coś zjeść – uznał. – Jest tanie spaghetti, całkiem niezłe, i ponoć nawet świeże.

– Chcę kotleta – jęknął Radek.

– Rarytasów ci się zachciało, kotlety są w czasie sesji – burknął Polon. – Dopiero wtedy robią się na tyle tanie, że każdy może sobie na nie pozwolić.

– Ale ja chcę teraz – upierał się Radek.

Polon wzruszył ramionami; nie zamierzał dyskutować z kimś, kto był pijany. Sam już czuł się na tyle dobrze, że spróbował kilku łamańców językowych, i przekonał się, że istotnie jest trzeźwy jak niemowlak. Spojrzał na Radka, który wykazywał właśnie pierwsze symptomy trzeźwienia, i chciał pomóc mu wstać, ale szybko przekonał się, że kolega nie potrzebuje pomocy. Otworzyli drzwi do klatki schodowej i ruszyli w stronę jadłodajni.

Kiedy dotarli na miejsce, okazało się, że kotlet jest dziś w wyjątkowo obniżonej cenie; studenci przyjęli ten fakt z radością i od razu zamówili po dwa.

– Nawet mi nie przeszkadza, że jest wczorajszy – powiedział z pełnymi ustami Radek, zupełnie już trzeźwy.

– Smakuje jak świeży – oznajmił Polon, wgrzyzając się w panierkę.

Po sutym obiedzie uznali, że potrzebują drugiego obiadu, więc czym prędzej zamówili kolejne kotlety. Jadłodajnia była już wypełniona po brzegi i mieli szczęście, że w ogóle udało im się dopchać do kasy.

Jednak kiedy zanieśli parujące talerze na stół i zaczęli jeść, świat nagle zawirował, światło zgasło i studenci stracili przytomność.

Pozostał tylko zapach kotleta.

\*\*\*

Polon otworzył oczy i dokładnie przyjrzał się sufitowi, próbując odgadnąć,

gdzie się znajduje. Wszystko wskazywało na to, że jest w jadalni studenckiej; nos wychwyił zapach świeżego kotleta. Zdziwił się, bo jak sięgał pamięcią, nie zdarzyło się, żeby ktoś kiedyś urządzał imprezę w takim miejscu. Co więcej, już się nauczył, że piwo można wypić nawet w sali wykładowej, ale nie w bufecie studenckim; to była pierwsza poważna lekcja, jaką otrzymał od życia studenckiego. Jadalnia była strefą wolną od alkoholu i taką miała pozostać. Upadała więc hipoteza o imprezie.

Obrócił się na bok i zobaczył Radka, który najwyraźniej spał w najlepsze.

„Kurzę, a może jednak impreza” – pomyślał. Miał nadzieję, że współlokator będzie coś pamiętał, więc postanowił go obudzić. Wstał i szturchnął Radka nogą.

– Wstawaj, zbieramy się do domu – zachrypiał Polon.

– Ale co? – wymamrotał półprzytomny Radek. – Gdzie jesteśmy?

– Jesteśmy w bufecie studenckim.

– Która godzina?

Polon spojrział na zegarek, jednak ten, jak na złość, nie działał.

– Cholera wie, ale obstawiam przedpołudnie – powiedział, patrząc na promienie słońca przebijające się przez brudne szyby bufetu. „Coś jest nie tak” – pomyślał.

Radek powoli gramolił się z podłogi.

– O, kotlety – zauważył.

Rzeczywiście, na każdym stole leżał wielki talerz świeżutkich kotletów. Polon doskonale wiedział, że są świeże, bo unosiła się nad nimi para. Co było trochę dziwne, ponieważ kotlety nie mają w zwyczaju parować, nawet świeżo zdjęte z patelni. Polon kiedyś eksperymentował, żeby uzyskać efekt pary, który wielokrotnie widział w jadalni. Raz już-już myślał, że mu się udało, ale to był tylko dym. Doświadczeń już nie powtórzył, bo spalił jedyną patelnię w mieszkaniu, a ostatniego garnka było mu żal.

Teraz jednak patrzył na świeżutką, przyrumienioną panierkę i zachodził

w głowę, jak to się mogło stać, że przespali całą noc w bufecie, nikt ich nie wywalił, a do tego obudzili się obok wielkiego stosu kotletów.

– Nic z tego nie rozumiem – wymamrotał Radek z pełnymi ustami; zdążył już dorwać się do talerza.

– Lepiej to zostaw, bo jeszcze przyzwyczaisz się do jedzenia codziennie – ostrzegł go Polon, ale i jemu ślinka napłynęła do ust. – Musimy stąd wyjść.

Radek z żalem spojrział na stos piętrzący się na talerzu, ale ruszył z miejsca. Studenci pchnęli drzwi, ale za nic nie chciały się otworzyć.

– Czekaj, mam przy sobie długopis.

Radek włożył uniwersalne narzędzie studenckie do zamka. Szczęknęło, Radek uśmiechnął się szeroko, po czym otworzyli drzwi i stanęli jak wryci.

– No super, a ja chciałem pójść teraz do domu – zamarudził Polon. – Stąd raczej trudno będzie wrócić.

Przed studentami rozpościerał się step; żółte pasma wyschniętej trawy gdzieś upstrzone nielicznymi plamami zieleni rozlewały się aż po horyzont. Studenci obrócili się, chcąc spojrzeć na budynek jadłodajni. Wyglądał tak jak zawsze, tylko nie znajdował się tam, gdzie powinien.

Widząc, że sprawa jest beznadziejna, Radek wyciągnął najnowsze wydanie *Vademecum Studenta* i zaczął je gwałtownie kartkować. Ponieważ hasło „jadłodajnia” nijak nie odnosiło się do ich obecnej sytuacji, postanowił sprawdzić „kotlet”.

– Cholera, aleśmy wdepnęli – stęknął ciężko, podając książkę współlokatorowi.

– Ożeż, nie piszą nawet, co należy zrobić po takim wybuchu – zdenerwował się Polon. – Obawiam się, że na *Vademecum* nie mamy co liczyć. Musimy polegać na własnym spirycie. – Mówiąc to, wyciągnął z kurtki dwie piersiówki, po czym jednocześnie wychylił je do dna.

– Czekaj, widzę jakąś chmurę piachu przed nami, zdaje się, że ktoś tutaj jedzie – powiedział Radek.

– Super, może dowiemy się, gdzie jesteśmy – ucieszył się Polon.

Po półgodzinie dostrzegli już sylwetki jeźdźców. Polon gwizdnął cicho przez zęby. Radek rzucił mu pytające spojrzenie.

– Kozacy – wyjaśnił Polon. – Dobrze, że niedawno miałem na zajęciach podstawowe zwroty. Dogadamy się.

Radek spojrział na kolegę ze zdumieniem; do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że Polon uczy się czegośkolwiek na studiach. Zawsze sądził, że Polon jedynie studiuje, i nic poza tym, ale nie chciał go teraz wyzywać od kujonów, bo współlokator z pewnością by się obraził albo – co gorsza – odmówił mu notatek do skserowania. To nic, że studiowali różne kierunki; studencki pęd do kserowania jest tak silny, że pewnego razu Radek ocknął się w punkcie ksero z rozkładem jazdy autobusów i niezbyt mądrą miną. Polon się z niego śmiał, ale też skserował rozkład jazdy.

Jeźdźcy zbliżyli się już na tyle, że Polon uznał za stosowne się do nich odezwać. Radek nie był pewien, czy o to chodziło koledze, ale jeźdźcy natychmiast wyciągnęli liny, złapali ich, wsadzili na konia i zabrali ze sobą.

– Cholera – stęknął Polon. – Zapomniałem, że nauczyłem się tylko przekleństw i wyzwisk.

Nie mieli pojęcia, gdzie jadą, ale ponieważ nie wiedzieli też, gdzie ani kiedy są, nie przeszkadzało im to zbytnio.

Jakiś czas później studenci zauważyli w oddali rozstawione w stepie namioty. Dostrzeżono ich z daleka i grupa jeźdźców wyruszyła im na spotkanie.

– Mam złe przeczucia – szepnął Radek.

– Zachowaj je dla siebie – burknął Polon, wsłuchując się w śpiewną mowę wiozących ich ludzi. – Oni czegoś od nas chcą – powiedział odkrywco.

– Tego to już zdążyłem się domyśleć w momencie, kiedy nas zabrali – sarknął Radek.

– Nie gadaj, próbuję się skupić – zripostował Polon.

Radek się obraził. Wjechali do samego środka obozu, gdzie ostrożnie zdjęto ich z konia, po czym jakiś wąsaty facet w czapce z norek zaczął coś do nich mówić i ścisnąć im ręce, jakby byli co najmniej profesorami, władnymi dać mu zaliczenie.

– Co on gada? – zapytał Radek; ciekawość zwyciężyła.

– Mówi, że mam im podyktować odpowiedź na jakiś list.

– Co? – zdziwił się Radek.

– No, on teraz mówi, że powiedziano im, że mają szukać odpowiedzi w gwiazdach. Wczoraj w nocy zauważyli, jak spada gwiazda, więc dziś pojechali na to miejsce i znaleźli tam nas, więc mam im podać odpowiedź na list od jakiegoś sułtana. Mehmed się facet nazywa.

– No to na co czekasz? Podaj im tę odpowiedź i niech nas odstawią z powrotem – rzucił Radek.

– No wiesz co? – obruszył się Polon. – Przecież ja mogę zupełnie namieszać w historii! Poza tym znam tylko przekleństwa.

– Nie szkodzi – upierał się Radek. – Nie wyglądają na ludzi z wrażliwymi uszami, co więcej, część z nich w ogóle nie ma uszu. Powiedz im, że mają nas potem odstawić na miejsce, pamiętaj.

Polon rzucił kilka słów, a wąsaty pokiwał energicznie głową i wyciągnął papier oraz inkaust. Polon wziął oddech, gotów mówić, ale stał tylko z otwartymi ustami, nie wydobywając z siebie żadnego dźwięku.

– Co jest? – Radek szturchnął Polona pod żebro. – No mów, bo musimy wrócić do jadłodajni.

– Ale po co?

– Żeby wrócić we właściwe miejsce i czas. No, dyktuj ten list.

– Nie wiem, co mówić, przecież do przekleństw potrzeba jakiejś pasji, a nie tak na spokojnie...

– Wiesz co? To ja ci przypomnę, że przegraliśmy połówkę, grając w jakieś durne wyścigi, ledwo wczoraj, nie, czekaj, za kilkaset lat.

W Polona od razu wstąpił nowy duch; zaczął podniesionym głosem wypowiadać zdania, których znaczeń Radek wolał się nawet nie domyślać. Widział jednak, że Kozakom bardzo się podobały. Ten i ów zaczął się śmiać, a po pięciu minutach całe obozowisko niemalże ryczało. Nawet zapisujący nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Kiedy Polon skończył, otrzymał burzliwe oklaski, po czym natychmiast podprowadzono im konia, dano kilku jeźdźców do ochrony i studenci ruszyli z powrotem ku jadłodajni.

Kiedy zajęchali na miejsce, jeźdźcy pożegnali się z szacunkiem i odjechali w stronę zachodzącego słońca – do sicy.

– No to dawaj, jak możemy się stąd wydostać? – zapytał Polon.

– Och, to proste – odparł Radek, wyciągając *Vademecum Studenta*.  
– Widzisz, tutaj jest napisane, że kotlety poruszają się na skos strumienia czasu, ale one przecież płyną do przodu, razem z nim!

– No i co z tego? – Polon nie rozumiał. – Przecież w ten sposób zanim dotrzemy we właściwe miejsce i czas, zdążymy skończyć studia.

– Nie, one przecież przeskoczyły wstecz, więc będą chciały wrócić – tłumaczył mu Radek. – Musimy się tylko jakoś z nimi zabrać.

– Mam pomysł. – Polon wyciągnął z kieszeni rolkę taśmy klejącej.  
– Zrobimy uprząż i dokleimy do panierki.

– Świetny pomysł – pochwalił go Radek. – No to jedziemy.

Studenci zabrali się do dzieła, a że nie ma takiej rzeczy, której studenci nie potrafiliby zrobić z taśmy klejącej, uprząż była gotowa po kilku minutach. Kiedy budynek zaczął wibrować, natychmiast się przykleili do wznoszących się w powietrzu kotletów. Słońce zgasło, świat zawirował i zapadła ciemność.

Na miejscu pozostał tylko jeden, samotny kawałek panierki, który po chwili pognał gdzieś z wiatrem w siną dal.

\*\*\*

– Wróciliśmy! – krzyknął radośnie Radek, po czym zorientował się, że sala w jadalni studenckiej jest pełna ludzi, którzy patrzą na nich ze zdziwieniem. A konkretnie na uprząż z taśmy klejącej, która łączyła nowo przybyłych studentów z dwunastoma kotletami leżącymi na podłodze.

– Yyy, ten tego – rzucił elokwentnie Polon. – Dziękujemy, to był występ grupy artystycznej Parcie na Żarcie.

Wymknęli się chyłkiem, po czym poszli do domu. W mieszkaniu Polon od razu wszedł do Internetu, wpisał hasło „pismo Kozaków do sułtana Mehmeda” i kliknął w pierwszy link z góry.

– O cholera – jęknął, czytając tekst. – Ale narobiłem...



## **KOLOKWIUM KONTRATAKUJE**

*Kolokwium to uniwersalne uniwersyteckie narzędzie opresji stosowane powszechnie na uczelniach wyższych. Z reguły zawiera za dużo zbyt trudnych dla skacowanego studenta pytań, takich jak „podaj swoje imię i nazwisko”. Szczególnie niebezpieczne dla początkujących studentów, którzy przez kolokwia zmieniają się w maszyny do nauki. Na szczęście negatywne skutki regularnego zakuwania dość skutecznie usuwa alkohol, który – jak wiedzą wszyscy studenci – rozsądnie dawkowany, nie szkodzi nawet w dużych ilościach. Niestety, zgodnie z Pierwszym Prawem Studiowania, nie ma prostych kolokwiów i wszyscy studenci, prędzej czy później, będą zmuszeni skserować notatki i zastosować metodę trzech Z (Zakuć, Zdać, Zapomnieć).*

*Dlaczego uniwersytety zdecydowały się wprowadzić kolokwia i egzaminy, pozostaje tajemnicą. Przecież powszechnie wiadomo, że studenci się uczą, w związku z czym nie ma potrzeby sprawdzania nabytej przez nich wiedzy. Z jakichś powodów jednak kolokwia stają się coraz popularniejsze na zajęciach – zdarzają się wykładowcy, którzy (o zgrozo!) stosują owo narzędzie opresji na seminariach licencjackich i magisterskich. (...) A teraz uczcijmy pustą stronę wszystkich studentów, którzy polegli na kolokwiach.*

*Pamiętamy.*

*Vademecum Studenta, Rozdział 3, strony 28–30*

Aula uniwersytecka powoli zaczynała się zapełniać. Rektor z przyjemnością patrzył, jak wykładowcy, karnie jak żołnierze, wchodzą do pomieszczenia parami i skrzywił się, kiedy zaczęli wchodzić poloniści. Przypomniawszy sobie, że ma im kilka bardzo przykrych słów do powiedzenia. Strzepnął niewidzialny pyłek z czarnej ceremonialnej szaty inauguracyjnej i rozchmurzył się na widok wykładowców z niedawno przyłączonego Uniwersytetu Medycznego. Posłał im szeroki uśmiech i mrugnął porozumiewawczo. Kilkoro z wchodzących wykładowców uśmiechnęło się niepewnie w odpowiedzi, nie wiedząc, że uśmiech powitalny jest zarezerwowany tylko dla kadry z najlepszymi wynikami – wyrywanych przełożony zgromił wzrokiem.

Kiedy sala przestała się wypełniać, rektor wykonał tradycyjne przedprzemówieniowe odkaszlnięcie. Zgodnie z tradycją pierwszy rząd, składający się z najbardziej zasłużonych wykładowców, odchrząknął.

– Witam was na corocznym, tajnym zebraniu wykładowców – powiedział uroczyście rektor. – Jak co roku omówimy dziś realizację naszego Planu.

Kilku wykładowców jęknęło cicho, przypomniawszy sobie, jak mały był ich wkład własny w realizację owego przedsięwzięcia.

– Przypomnę zatem, co jest naszym celem – kontynuował rektor. – I chcę złożyć szczerze gratulacje tym z nas, którym już się udało! – Wskazał ręką na wykładowców z Wydziału Medycznego.

Burzliwe oklaski przelały się przez salę. Rektor z uśmiechem pozwolił im trwać, po czym zamiótł połą swojego czarnego płaszcza i władczy gestem uciszył owację.

– Jak wszyscy zebrani tutaj wiedzą, naszym celem jest zmuszenie studentów do siedzenia nad książkami. Nie chodzi oczywiście o naukę, inaczej mogliby nas za jakiś czas zastąpić. – Rektor wzdrygnął się lekko, a wraz z nim kilkuset wykładowców znajdujących się na sali. – Niech spędzają każdy dzień swojego życia nad książkami, niech zgadzają się na kolokwia w weekendy, niech zerwą z życiem towarzyskim i poddadzą się naszej woli, dokładnie tak jak na Wydziale Medycznym! – Ponownie wskazał ręką na rumieniących się z dumy wykładowców nowo utworzonego wydziału.

W tym jakże krytycznym momencie przemowy dopuszczony do tajemnicy woźny włączył wentylator i skierował go na samotną postać magnificencji. Strumień powietrza szarpnął połam płaszcza, a rektor uśmiechnął się złowrogo.

– Z przykrością muszę jednak powiedzieć, że nie wszyscy z nas przykładają się jednolicie do tego jakże wspaniałego planu uczelnianego! – zagrmiał, tym razem wskazując palcem na wykładowców z Wydziału Filologii Polskiej. – Ich wyniki są zatrwajająco słabe!

Szmer oburzenia przeszedł przez aulę.

– Cisza! – krzyknął rektor, dając woźnemu znać, żeby zwiększył moc wentylatora. Poły płaszcza załopotaly dziko. – Ich wyniki są ledwo równoważone przez wyniki Wydziału Medycznego! To hańba naszego uniwersytetu! Czy mają coś na swoje usprawiedliwienie? – zapytał, w zamierzeniu retorycznie.

– Poloński... – rozległ się głos z sali.

Wszyscy wykładowcy, jak jeden mąż, wzdrygnęli się, a rektor stał przez chwilę z uniesionymi rękoma i otwartymi ustami. „To niesprawiedliwe” – pomyślał. „To pytanie miało być retoryczne, do diaska!”

– Eee – stęknął rektor, nie wiedząc, co powinien teraz powiedzieć. – Cóż za Poloński? – zapytał w końcu i zamknął usta, chcąc zachować te resztki dostojeństwa, które mu jeszcze pozostały. „To spotkanie przeradza się w farsę” – złościł się w duchu. „Żeby jakiś student przeszkadzał nam w Planie? Kpina!”

– Widzisz, szanowny rektorze, jest taki student... – zaczął jeden z wykładowców i skulił się, przerażony własnym zuchwalstwem.

– W porządku, proszę kontynuować – zezwolił łaskawie rektor, ocierając czoło czarną (ceremonialną oczywiście) chusteczką. – Cóż to za student, który daje sobie radę z całym ciałem pedagogicznym? Ten... Poloński. Nie możecie go po prostu odstrzelić?

– Więc, wasza rektorskość, próbowaliśmy, ale się nie dało. Wygląda na to, że jest zdeterminowany, żeby studia skończyć, a nasze próby wyrzucenia go spowodowały jedynie, że studiuje dłużej, więc postanowiliśmy dać mu spokój, niech je sobie skończy, wtedy zabierzemy się za resztę studentów i wprowadzimy w życie Plan.

– Nie rozumiem. – Rektor zgłupiał. – Tylu wykładowców nie może odstrzelić jednego studenta?

– Nawet sprzątaczkki nie dały rady, wasza rektorskość.

– Dobrze więc – powiedział magnificencja, schodząc z podwyższenia i kierując się do biurka. – Jak wiecie, nasza totalna władza nad studentami na jednym wydziale umożliwiła nam stworzenie Obrońcy Planu. Skoro sprawy mają się tak, a nie inaczej, uważam, że pora działać, zanim ten student zarazi swoją postawą innych. Najwyższy czas uwolnić Obrońcę i dać mu się wykazać!

Gwar podnieconych rozmów zalał aulę. Po raz pierwszy od dwudziestu lat, od początku koncepcji Planu, miał zostać wypuszczony Obrońca! Wykładowcy obrócili głowy, chcąc widzieć, jak rektor podchodzi do ceremonialnego biurka i otwiera nie mniej ceremonialną szufladę. Z jej wnętrza wyciągnął sfatygowane

kartonowe pudełko. Zamaszystym ruchem szarpnął za pokrywkę i rzucił karton wysoko w górę. Ten spadł na podłogę ze straszliwym hukiem, niszcząc kilka płytek.

– Obrońco Planu, Kolosie! – zaintonował rektor. – Nastąpiła kluczowa godzina! Czas bronić Planu! Zniszcz jego przeciwników i usuń z listy studentów! Aby Plan mógł wejść w życie, musisz pomóc nam odstrzelić studenta Polońskiego! – wykrzyczał uroczyście magnificencja. – Na ten czas nadajemy ci tytuł szanowanego profesora! Idź i broń naszej uczelni przed studentami chcącymi prowadzić życie towarzyskie! Odstrzel Polońskiego!

Wykładowcy jak zauroczeni patrzyli na pudełko, które rozjarzyło się białym światłem.

– TAK SIĘ STANIE – zagrzmiął w sali odcieleśniony głos.

\*\*\*

Radek siedział przy komputerze, szukając przepisu na wino z pomidorów, kiedy do drzwi jego pokoju ktoś zapukał. Zastanowił się przez chwilę, czy mógł czymś podpaść Polonowi, który pukał tylko wtedy, kiedy był naprawdę wściekły.

Radek westchnął i wstał z krzesła; nie dość, że nie mógł znaleźć żadnego przepisu, to jeszcze teraz czeka go przeprawa z Polonem. „Może chodzi o to, że przykleiłem mu kaptur do podłogi” – pomyślał Radek. „Cholera, może nie otwierać jednak tych drzwi?”

Pukanie rozległo się ponownie. Radek stał przez chwilę, skonsternowany. „Polon puka dwa razy tylko wtedy, kiedy ma jakąś prośbę” – przypomniał sobie. Znaczy, że coś jest bardzo nie tak. Otworzył drzwi.

Polon wyglądał na spokojnego, ale Radek znał go aż za dobrze.

– Czego chcesz? – zapytał uprzejmie.

– Ej, Radek, sorry za posmarowanie ci klamki supermocnym klejem, ale wiesz, to było tylko tak... w odwecie – powiedział Polon, mnąc w rękę koszulkę.  
– Nie masz ochoty się napić?

– A ty nie masz przypadkiem jutro kolokwium? – zripostował przebiegle

Radek.

– No mam – odparł Polon z nieszczęśliwą miną. – Z teorii literatury.

Radek westchnął. I jak tu nie poratować współlokatora? Postanowił go wpuścić; wiedział, że Polon będzie niedługo walczyć sam ze sobą, zmuszając się do nauki, a niezależnie od tego, która strona wygra, przed każdą bitwą należy zadbać o morale.

– Właż – powiedział, uchylając drzwi. – Możesz mnie dzisiaj opić z kilku win, niech tam.

Spojrzał uważnie na współlokatora; Polon naprawdę wyglądał nie najlepiej. Widać przywódcy mającej się rozegrać w jego wnętrzu Bitwy o Naukę do Kolokwium z Teorii Literatury już teraz robili spustoszenie w jego ciele.

– Przejrzałeś wszystkie interesujące strony w Internecie? – zapytał Radek, chcąc zdiagnozować, jak bardzo Polon musiał ze sobą walczyć.

– No, przejrzałem – odpowiedział Polon.

– Oglądałeś obrazki kotów?

– Tak, nawet te nieśmieszne.

Radek o mało nie gwizdnął przez zęby; sytuacja była naprawdę poważna. Nic dziwnego, że po wyczerpaniu całego arsenału prokrastynacji postanowił zadbać trochę o życie społeczne i się z nim napić. Nie miał już nic do roboty poza nauką, a to dla studenta jedna z najtrudniejszych sytuacji życiowych.

– Polon, a ty dasz radę się do tego przygotować? – zapytał Radek.

– Dam, dam – zapewnił Polon, odzyskując częściowo animusz. – Napijemy się, posiedzę godzinkę i spadam się uczyć.

\*\*\*

Cztery godziny i dwie wyprawy do monopolowego później Polon, odzyskawszy humor, postanowił przygotować się do kolokwium. Przed chwilą pomógł Radkowi wczłgać się do łóżka i mógł zabrać się za naukę. Przystanął

przed swoim pokojem i próbował podjąć decyzję, za którą z dwóch klamek powinien chwycić. Zdecydował się na tę pierwszą od lewej.

Niestety nie udało mu się za nią złapać; ręka, jak na złość, przeszła przez klamkę i Polon poleciał przed siebie. Wpadł do środka pokoju – drzwi były jednak uchylone – i wyłożył się jak długi. Na szczęście nic mu się nie stało, bo wylądował na miękkiej powierzchni gromadzonych przez lata kserówek. Podniósł się lekko. „Żeby tak mnie wzięto po dwóch winach” – pomyślał ze wstydem. „Ech, nie mój dzień na picie”.

Zdumiał się, bo dotąd jeszcze nie miał złego dnia na picie. „Cóż, widać zawsze musi być ten pierwszy raz” – skonkludował. „Gorzej, że uczyć się nie chce... No ale obowiązek to obowiązek. Za kilka godzin mam do napisania kolokwium”.

Skupił się z całej siły, przymykając na chwilę oczy. Dopiero wtedy, kiedy przeszedł w tryb sesji, a jego ciało otoczyła migotliwa poświata, towarzyszący mu odcieleśniony stwór, który do tej pory symulował w jego umyśle upojenie alkoholowe, umknął ze strachem.

\*\*\*

Polon rozsiadł się wygodnie na krześle, czekając, aż dotrze do niego kartka z zadaniami. Zauważył, że wykładowca cały czas zerka na niego z ciekawością, co wzbudziło w nim złe przeczucia. Ale wszystko było w porządku; wszak spędził kilka godzin w trybie sesji, w skupieniu studiując notatki z teorii literatury. Nie lubił regularnej nauki, a za taką uważał uczenie się do kolokwiów, jednak na ten przedmiot po prostu nie było innego sposobu.

Rozparł się wygodnie, próbując ignorować ciekawskie spojrzenia, jakie rzucał mu wykładowca. Chwilę później otrzymał pytania i zabrał się za rozwiązywanie. Nie wydawały się specjalnie trudne, ale było ich naprawdę dużo, o wiele za dużo jak na zwyczajne kolokwium. Zaczął pisać, cały czas utrzymując szybkie tempo, ale pytań wcale nie ubywało. Kiedy przerzucił ostatnią stronę, zauważył, że jakimś cudem przeoczył... dziesięć stron testu. A zostało już bardzo mało czasu do końca – ledwo czterdzieści minut! Próbował przejść w tryb sesji i z przerażeniem stwierdził, że nie może tego zrobić.

– A więc jednak coś na mnie nasłali – szepnął cicho.

– TAK, PANIE POLOŃSKI. TO SIĘ MUSI SKOŃCZYĆ. JAM JEST KOŁOS, OBRONCA PLANU, TYMCZASOWY PROFESOR UNIWERSYTECKI DO SPRAW ODSTRZELIWANIA STUDENTÓW – rozległ się głos w jego głowie. – I TERAZ NIE POZWOLEM PANU ZDAĆ ANI TEGO KOŁOKWIUM, ANI NASTĘPNEGO. TAKA JEST WOLA OBRONCY PLANU.

Polon nie zamierzał się tak łatwo poddawać. Zrozumiał, że potrzebuje dodatkowej energii, którą zużył na tryb sesji, ale nie miał jej jak uzupełnić – nie było czasu na spanie. Musiał zastosować inne środki. Przypomniał sobie pewien wykład, na którym był lata temu, i niespieszne gędzenie profesora, który zdawał się mówić tak wolno, że słowa zawisały koło niego w gęstym powietrzu. Polon mógłby przysiąc, że widział, jak przelatująca obok mucha spowalnia, widział każde uderzenie skrzydełek, poruszających się w mocno zwolnionym tempie. Przypominał to sobie całym sobą; duchowo był na najnudniejszym wykładzie świata. Zgodnie z Prawem Wykładu jego duchowa obecność na nudnym wykładzie spowodowała spowolnienie czasu. Spojrzał na kartki testu, który miał do wypełnienia, i zaczął pisać w szaleńczym tempie, jednocześnie uważając, żeby żadna z kartek się nie zapaliła. Kiedyś przesadził i cała sala musiała być ewakuowana po tym, jak biurko zajęło się ogniem i rozdzwonił się alarm przeciwpożarowy. Cóż, czasem bywa i tak.

Kiedy zaznaczył odpowiedź na ostatnie pytanie, zauważył, że pojawiło się kilkanaście kolejnych arkuszy. Student aż zazgrzytał zębami ze złości. Tego się nie spodziewał. Ponieważ wciąż miał bardzo dużo czasu – w końcu duchowo przebywał na najnudniejszym wykładzie świata – postanowił wyjść z sali. I tak nikt nie zdążył zauważyć jego zniknięcia. Skierował się do łazienki.

– CO PAN WYPRAWIA? – rozległ się zdziwiony głos. – PODDAJE SIĘ PAN? LICZYŁEM NA CIEKAWSZĄ WALKĘ. – Głos był buńczuczny, ale dało się w nim wyczuć nutkę niepokoju.

– Ja też – rzucił Polon, wchodząc do łazienki i kierując się do kabiny. Głos już nie odpowiedział.

Papieru toaletowego oczywiście nie było, ale Polon akurat nie potrzebował materiału na studenckie serpentyny. Podszedł do spłuczki i podniósł wieko, po czym wyciągnął z rezerwuaru schłodzone piwo. Teraz mógł się w spokoju zastanowić. Otwierając puszkę, podziękował w duchu małej grupce studentów mieszkającej po kryjomu na uniwersytecie. Znał ich sekrety – typu piwo w toalecie – ponieważ kiedyś do nich należał. Opuścił klapę sedesową i wzniósł puszkę ku

górze, wspominając stare dobre czasy. Ach, elita studencka...

– SIEDZĄC TUTAJ, NIE NAPISZE PAN TESTU. – Głos był już pełen niepokoju. – JAKO PAŃSKI PROFESOR NAKAZUJĘ PANU PISAĆ TEST.

– Tak, rozumiem, oczywiście – mruzczał Polon, opróżniając puszkę. – Jednakże chciałbym zwrócić uwagę na to, że w tej chwili nie mam możliwości pisania testu, ponieważ nie ma mnie w sali. Czy mogę wiedzieć, z kim rozmawiam? – Po tym, jak głos przedstawił się jako profesor, Polon wołał zachowywać się grzecznie. Nigdy nie wiadomo...

– POWIEDZIAŁEM CI JUŻ, JESTEM PROFESOREM. OBROŃCĄ PLANU.

– Jakiego planu?

– PLANU UNIWERSYTECKIEGO.

– Już gorszej rzeczy nie było do obrony? – zapytał zdziwiony Polon, zanim zdążył ugryźć się w język. – Czy moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy? – poprosił uprzejmie.

Miał już swój własny plan.

– W PORZĄDKU.

Przed siedzącym na klozecie studentem pojawiła się niewielka postać. Polon o mało nie mruknął coś gniewnie o wrednych gnomach przeszkadzających w kolokwiach i próbując ukryć zmieszanie, dopił swoje piwo. Wstał i wyszedł z kabiny.

– CO PAN ROBI? – Kolos się zdenerwował. – JAKO PROFESOR NIE AKCEPTUJĘ TAKIEGO ZACHOWANIA. PAŃSKA POSTAWA JEST SKRAJNIE OPORTUNISTYCZNA!

– No cóż, zgodnie z pańską wolą idę pisać – stwierdził Polon. – Więc w takim układzie, panie magistrze, muszę wrócić do sali.

Nie widział twarzy obrońcy, ale wiedział, że w ten sposób łatwo go sprowokuje. Jeśli stworzyli go wykładowcy, musiał mieć gigantyczne ego.



I rzeczywiście, stwór po chwili ryknął wściekle:

– PAŃSKIE ZACHOWANIE JEST ABSOLUTNIE NIEAKCEPTOWALNE! PANEM MAGISTREM TO JA BYŁEM DWADZIEŚCIA LAT TEMU!

– Oczywiście, panie magistrze – odrzekł Polon i wciąż odwrócony plecami do Kolosa, zaczął demonstracyjnie powoli iść w stronę drzwi.

Stało się dokładnie to, czego Polon się spodziewał: stwór zaczął rosnać.

– TAKI AROGANCKI STOSUNEK DO WYKŁADOWCY NIE BĘDZIE TUTAJ AKCEPTOWANY – warknął stwór, powiększając się gwałtownie.

Student wymknął się szybko z toalety, usłyszawszy, jak pęka sufit. Chwilę później rozległ się głośny huk; łazienka została pozbawiona sufitu, który nie wytrzymał naporu rosnącego Kolosa i przywalił go mniej więcej toną gruzu. Polon uznał, że to wystarczy.

Wpadł szybko do sali i dokończył swój test, po czym wyszedł mentalnie z najnudniejszego wykładu świata, wracając tym samym do normalnego trybu czasu. Zostało mu jeszcze pół godziny, ale nie zamierzał siedzieć beczynnym przez resztę czasu przeznaczanego na pisanie. Podniósł rękę.

– Skończyłem – oznajmił zdumionemu wykładowcy, po czym podał mu cały test. Było tego ze trzy ryzy papieru. Wykładowca wyglądał na bardzo nieszczęśliwego. Spełniwszy swój studencki obowiązek, Polon dziarsko wymaszerował z sali.

\*\*\*

Słyszac dźwięk otwieranych drzwi, Radek spróbował podnieść się z łóżka. Udało mu się po czwartej próbie – głowa pulsowała tępym bólem kaca, ale na szczęście znalazł przy łóżku jogurt naturalny. Gorąco podziękował w duchu Polonowi. Z wdzięczności postanowił nawet wyjść na korytarz, żeby zapytać, jak mu poszło.

Z trudem otworzył drzwi i zobaczył, jak Polon raźnie przemyka koło niego, kierując się do kuchni.

– I jak? Jak poszło? – wychrypiał Radek.

– Stary! – Polon wyszczerzył zęby. – Zawaliłem Kolosa! – oznajmił radośnie.

Radek pokręcił głową z dezaprobatą; choć w sumie niczego innego się nie spodziewał.

Ale żeby się z tego cieszyć?

## NIEZŁY BIGOS

### *Kurczak po studencku*

*Kurczak po studencku to jedno z najbardziej wyrafinowanych dań, jakie zna kuchnia studencka. Zostało stworzone, by zaspokoić podniebienie każdego żaka. Przepis jest bardzo skomplikowany, ale wierzymy, że dasz radę. Będziesz potrzebował dwóch głębokich talerzy, więc wykop je ze sterty naczyń w zlewie i dokładnie umyj. Aby przygotować kurczaka po studencku, weź jedno udko kurczaka (pamiętaj, żeby zabrać je ze swojej półki w lodówce) i włóż do jednego z dwóch głębokich talerzy. Udało się? Świetnie! Teraz musimy przygotować sos. Weź dwa kieliszki wódki i wlej do talerza. Następnie dodaj dwa kieliszki wina domowej roboty i pół litra piwa. Otwórz puszkę napoju energetycznego i dodaj do mieszanki. Odłóż kurczaka do lodówki. Pij sos.*

*Smacznego!*

*Wielka Księga Kulinariów Studenckich, rozdział 15, strona 183*

– Polon! – wrzasnął Radek. – Może byś wyniósł w końcu śmieci? Twoja kolej przecież!

– A weź, jeszcze się porządnie nie nazbierało! – zachnął się Polon. – Po co wynosić? Przecież to się w jednym worku zmieści.

– Taaa, chyba trzystulitrowym – mruknął Radek, rozpylając odświeżacz powietrza.

Ostatnio powiedział sobie: dość, najwyższy czas, żeby Polon też wynosił śmieci. Polon, jak na dobrego współlokatora przystało, od razu zgodził się na jego propozycję. Radek nie przewidział tylko, że Polon podejdzie do tego obowiązku po swojemu, czyli nie do końca będzie sobie zdawał sprawę z tego, kiedy jest pora na wyniesienie śmieci.

– Wiesz, poczekam jeszcze – zdecydował Polon. – Mam problem ze skombinowaniem kasy na żarcie.

– I nie możesz przez to wynieść śmieci? – nie zrozumiał Radek.

– No właśnie – zgodził się skwapliwie Polon, podchodząc do lodówki.  
– Pamiętam, że dostałem jakiś czas temu bigos, powinien być jeszcze dobry.

– A mroziłeś go?

– Nie, no co ty, po co bigos mrozić? Przecież to bez sensu. Poleży w lodówce, przegryzie się...

– Żeby cię tylko nie pogryzł, kiedy otworzysz pojemnik – dogryzł mu Radek.

– Odezwał się ekspert, którego ziemniaki niedawno założyły cywilizację – odburknął Polon.

– Odczep się, nie musiałem ich wynosić. Same na Księżyc poleciały...

Polon uznał to za koniec dyskusji. Otworzył lodówkę i zaczął szukać czegoś nadającego się jeszcze do jedzenia. W brzuchu mu burczało, ale nie bardzo wiedział, gdzie może znajdować się upragniony posiłek. W końcu wyciągnął pudełko, na którym całkiem przecież niedawno nabazgrał: „Nie dotykać, bigos Polona!”, i tryumfalnie położył je na stole.

– Polon, ty naprawdę zamierzasz to zjeść? – zaniepokoił się Radek.

– No weź, jadłem gorsze rzeczy. I jakoś nic mi się nie stało – oświadczył buńczucznie Polon, otwierając pojemnik próżniowy.

– Odłóż mnie na miejsce! – rozległ się krzyk z pudełka.

Polon zastygł w bezruchu.

– Normalnie wiedziałem, że kiedyś ten moment nastąpi – odezwał się Radek.  
– I teraz masz. Trzymałeś bigos w lodówce tak długo, że uzyskał świadomość.

– Yyy – stęknął Polon z nie najmądrzejszym wyrazem twarzy. – Czy właśnie zostałem opieprzony przez bigos? – zapytał.

– Tak, głupcze! – odezwał się bigos. – A teraz odstaw mnie z powrotem, tylko nie zamykaj tej pokrywki!

Polon, zgłupiały zupełnie, odłożył bigos na miejsce.

– Cholera, będę głodny – użalił się nad sobą, zamykając lodówkę. – Nawet nie ma z czego śniadania zrobić, a kasy brak.

– Spokojnie, coś wymyślimy – pocieszył go Radek. – Tylko najpierw, proszę, wynieś te śmieci.

– No wiesz? – oburzył się Polon. – Jeśli je teraz wyniosę, a potem pójde wolnym tempem na uniwersytet, to jak nic spóźnię się pięć minut na zajęcia – powiedział obrażonym tonem, jakby to Radek był temu winny. – W sumie... to nie opłaca mi się już dzisiaj iść na uniwersytet – zdecydował. – Skombinujmy w takim razie jakieś żarcie, widziałem, że masz owoce, można by je zjeść...

– No coś ty! – Tym razem obraził się Radek. – Sam się ze mną na nie składałeś, zapomniałeś? I jeszcze na cukier, i rodzyunki, przecież to na wino!

– A, jeśli na wino, to przepraszam – powiedział zawstydzony współlokator. – Ech, no dobra, trzeba zanieść butelki po piwie na skup i wtedy będzie można pokombinować.

– Dobra, to weź wózek sklepowy, ładujemy towar i jedziemy na skup. Tylko co zrobisz z bigosem? – zainteresował się Radek.

– A co mam z nim zrobić? – zapytał Polon. – Niech sobie żyje.

– W naszej lodówce?

– No a gdzie miałby żyć?

– Hm, mógłbyś go po prostu wyrzucić... – zaproponował Radek.

– I pozbawić go zamrażalnika nad głową? Daj spokój, jeśli potrzebujesz miejsca w lodówce, to sobie posprzątaj. Dalej, ładuj butelki do wózka, a nie zastanawiaj się nad eksmisją bigosu. Swoją drogą, skoro mamy nowego współlokatora, to może do rachunków się dorzuci – rozmarzył się Polon.

– Hej, a skoro idziemy, to może wyrzucisz te śmieci? – zasugerował nieśmiało Radek.

– Ale ja muszę wózek trzymać, żeby się w windzie nie wywrócił  
– zaprotestował Polon.

– Przecież ja mogę potrzywać – zauważył bystro Radek.

– To ja będę ci pomagał – zaoferował się ochotczo Polon.

Radek westchnął; nie zapowiadało się, by jego współlokator wyniósł śmieci w najbliższym czasie. „No trudno” – pomyślał. „Będę musiał sam je wynieść. Nie, zaraz... Miał być koniec z takim podejściem. Polon też musi trochę sprzątać”.

Kiedy wózek został załadowany do pełna, studenci wyszli na zewnątrz. Był koniec miesiąca; to czas, kiedy skupy butelek toną w towarze. Polon przywołał windę, a Radek zamknął mieszkanie na klucz.

Bigos tymczasem działał.

\*\*\*

Studenci wjechali załadowanym zakupami wózkiem do mieszkania. Musieli zrobić aż pięć rund do skupu, żeby kupić wszystko, czego potrzebowali. Radek zamknął drzwi, przekręcił klucz w zamku i zaczął pomagać Polonowi w opróżnianiu wózka z cennej zawartości.

– Polon, nie masz przypadkiem wrażenia, że o czymś zapomnieliśmy?  
– zapytał Radek, przeglądając zakupione rzeczy.

– Nie, no coś ty, wszystko w porządku – odparł Polon.

Jednak i on odnosił takie wrażenie, że coś im umknęło, zupełnie nie wiadomo czemu. Dopiero kiedy studentowi zaburczało w brzuchu tak, że dźwięk można by pomylić z gardłowym warkotem niedźwiedzia szykującego się do walki z przelatującym obok helikopterem, przypomnieli sobie, o czym zapomnieli.

– Cholera, Polon, nie kupiliśmy jedzenia! – krzyknął zdenerwowany Radek.

– E, na jedzenie może nie być, grunt, żeby na piwo było – odpowiedział bez troski Polon, otwierając butelkę. – W takim razie co? Robimy sobie dietę piwną!

– Ej, daj spokój, przecież wiesz, że nie chcę przytyć. Ostatnim razem przybyło mi pięć kilo, ale za to straciłem trzy tygodnie. – Radek uśmiechnął się do swoich myśli. – Mimo wszystko moglibyśmy kupić coś do żarcia – dodał.

– No ale przecież to, co dostaliśmy w skupie, wydaliśmy na piwo – przypomniał koledze Polon. – A skup już dzisiaj zamknięty – dodał.

Wniósł cenny trunek do kuchni i stanął niezdecydowany.

– Radek...? – bąknął niepewnie.

– No?

– Czy ktoś z naszych współlokatorów miał może sprzątać kuchnię? – zapytał Polon.

– Jasne, już widzę, jak któryś ją sprząta – sarknął Radek, wchodząc do pomieszczenia. – O w mordę! – wyrwało mu się.

Kuchnia lśniła czystością. Każdy, najmniejszy nawet, fragment brudu został z niej usunięty. Nietknięte pozostały jedynie śmieci. Widać osoba, która posprzątała, wiedziała, czyja przypadała kolej na ich wyniesienie.

– Hej, zobacz – oznajmił radośnie Polon. – Wygrałem zakład! Te kafelki są jednak zielone, ha!

– Widzę – potwierdził Radek, pociągając łyk piwa z gwinta. – Ale co tu się dzieje w ogóle? Żeby nie te śmieci, doznałbym szoku antyseptycznego.

– A widzisz! – Polon aż promieniował z dumy. – Dobrze zrobiłem, że jeszcze tych śmieci nie wyniosłem, ha!

– Wiesz co, włożę piwo do lodówki i zastanowimy się, co z tym fantem zrobić – powiedział Radek.

– Jakim fantem? – nie zrozumiał Polon.

– No że ktoś tu tak posprzątał.

– No i co, przeszkadza ci, że ktoś odwalił za ciebie robotę?

– Uch, ty głupi – błysnął elokwentną ripostą Radek i otworzył lodówkę.  
– Sprzątanie kuchni to nie moja robota.

– Ale jak dotąd tylko ty to robiłeś – powiedział głos z lodówki.

– Bigos! – zwrócił się do dania Polon. – Wiesz coś na ten temat? Wiesz, kto posprzątał nam w kuchni?

Wtedy zauważył, że lodówka też jest przeraźliwie czysta, i zrobiło mu się słabo. Na szczęście tylko na chwilę, bo od razu zdał sobie sprawę, że dzięki temu jest więcej miejsca na piwo.

– Potrzebowałem większej przestrzeni życiowej – wyjaśnił bigos. – Tutaj było przeraźliwie tłoczno i brudno, więc wszystko wyczyściłem. A potem pomyślałem, że skoro macie problem z brudną kuchnią, to mogę z rozpędu również ją posprzątać. Tylko śmieci nie wynosiłem – zaznaczył. – Śmieci to twoja działka – przypomniał Polonowi.

– Cholera, następny – westchnął Polon. – Skąd się nagle u wszystkich wziął ten pęd do sprzątania?

– Daj spokój – napomniął go Radek. – Najpierw hodujesz bigos w lodówce, a potem się dziwisz, że sprząta, bo nie chce żyć w niehigienicznych warunkach. Co prawda warunki panujące teraz w kuchni są aż nazbyt higieniczne... – Nerwowo przełknął ślinę.

– Ej, bigos, ja wiem, że potrzebujesz przestrzeni życiowej, ale musimy schłodzić piwo. – Polon wyjął z siatki butelki.

Przez chwilę zdawało mu się, że bigos mierzy go spojrzeniem, a potem wykonał coś w rodzaju podrygu. Polon uznał to za wzruszenie ramionami, czekał jednak, aż bigos oficjalnie pozwoli mu załadować piwo do lodówki.

– W porządku – powiedział w końcu bigos. – Ładuj, jak musisz.

Polon zaczął chować piwo do lodówki, omijając półkę, na której usadowił się bigos. Radek skoczył, by mu pomóc, i zawadził nogą o śmieci leżące na podłodze. Te potoczyły się po podłodze i Polonowi od razu zrobiło się raźniej; nie musiał już patrzeć na wszechobecną czystość.



Kiedy zapelnili chłodziarkę jakże ważną zawartością, Polon zamknął lodówkę (mimo gwałtownych protestów bigosu) i odciągnął kolegę na bok.

– Niezły bigos – mruknął. – Musimy się go pozbyć.

– Dlaczego? – zdziwił się Radek.

– Jak to dlaczego? Dziś kuchnia, jutro łazienka, pojutrze nasze pokoje.

– Przeszkadza ci to?

– No przecież to przerażające! – Polon omal nie krzyknął. – Wyobraź sobie, że masz współlokatora, który wchodzi po cichu do twojego pokoju i samowolnie go porządkuje. Jak byś zareagował?

– Podziękowałbym mu i przestał zamykać pokój na klucz – odparł Radek. – Czystość mi nie przeszkadza... Z drugiej strony, gdyby mi wszystko uporządkował... – Radek wzdrygnął się na samą myśl o takiej klinicznej czystości, o takim nieskazitelnym porządku we własnym pokoju. – Rozumiem, o co ci chodzi. Ale na pewno uda nam się jakoś dogadać, nie ma co panikować.

– Mam nadzieję – burknął Polon, idąc do siebie.

Wbrew najgorszym oczekiwaniom zastał tam swój ukochany bałagan. Nikt nie posprzątał gór notatek (cudzych oczywiście) leżących bezładnie na podłodze, nikt też nie próbował zagrabić mu biurka zasłanego kserówkami. Polon odetchnął z ulgą. Naprawdę bał się, że jego pokój też zostanie posprzątny, a przecież długo pracował nad panującym w nim artystycznym nieładem. W końcu osiągnął poziom zen nieładu i nie chciałby, żeby coś zburzyło równowagę, którą wypracowywał przez lata studiów.

– No dobra – powiedział do siebie. – To teraz tylko muszę wymyślić, jak pozbyć się bigosu.

Zaburczało mu w brzuchu; przypominało to warkot silnika spalinowego na sterydach, ale nie przejął się tym, tylko otworzył następne piwo. W końcu postanowił jednak przeszukać swoją kuchenną szafkę w nadziei na znalezienie czegoś zjadliwego. Znalazł kilka zasuszonych skibek chleba. Rozradowany, utulił je do piersi jak prawdziwy skarb.

– Radek! – zawołał. – Mam kilka skibek chleba!

– A ja mam trochę mleka i dwa jajka, chyba jeszcze zdatne do użycia – powiedział Radek, wychyliwszy się z pokoju. – Możemy zrobić tosty.

– No – zgodził się Polon. – To jedziemy!

Radek wbił dwa jajka do głębokiego talerza i dodał trochę mleka, a następnie wszystko dokładnie wymieszał widelcem.

– Przydałoby się trochę soli i pieprzu – zauważył, a Polon od razu rzucił się do szafek w poszukiwaniu przypraw.

– Jest tylko cukier na wino – odparł po chwili. – Możemy na słodko zrobić.

– Ech, no dobra – zgodził się niechętnie Radek. – Niech będzie, potem się cukier z kawiarenki uniwersyteckiej weźmie. Jeszcze tylko znajdziemy patelnię i olej i jedziemy z tym koksem.

Zaczęli ostrożnie szukać; po tym, jak bigos posprzątał im kuchnię, czuli się w niej nieco zagubieni. Szczęśliwie podczas przygotowywania jedzenia zdążyli na tyle zabrudzić kuchnię, że znów przypominała znane im tak dobrze pomieszczenie.

– Aleście nasyfici – zbeształ ich głos z lodówki. – Znowu będę musiał sprzątać.

– Zamknij się, bigos – burknął Polon. – Przecież wszystko jest w porządku.

– Jak to: wszystko jest w porządku? – oburzył się bigos. – Przecież jest tu tak brudno, że zaraz nam się karaluchy zalęgą!

– Taaa, jasne... – zakpił Polon. – Wiesz, jest jedna prawidłowość dotycząca karaluchów w mieszkaniu studenckim, mianowicie taka, że wszystkie zdychają z głodu. Niektóre firmy zajmujące się dezynsekcją wpuszczają nawet na kilka dni studentów do mieszkań opanowanych przez insekty. Te się błyskawicznie wynoszą i na kilka lat jest spokój, bo to mądre stworzenia i między studentów się nie pchają.

– Co nadal nie zmienia faktu, że jest tu brudno – upierał się bigos.

– Jak rany, żeby tu nie było brudno, to byś nawet nie powstał – zauważył Polon.

Radek pokręcił głową z dezaprobatą i odpalił piec.

– Olej jest zdobyczny, z cudzej szafki – wyznał szeptem Polon. – Ale i tak potrzebujemy go tylko trochę, jak kupimy, to oddamy.

Radek westchnął, ale wziął butelkę od Polona i nalał oleju na patelnię. Potem maczał skibki w mieszance mleka oraz jajek i wrzucał je na gorący olej.

– Polon, a może byś chociaż śmieci wyniósł, co? – poprosił głos z lodówki.

– Nie no, przecież mogą jeszcze leżeć. Nie będę im przeszkadzał – próbował wykręcić się Polon. – No ale żeby nie było, zapakuję je do worka.

– Radek, a ty posprzątasz w kuchni? – Bigos nie dawał za wygraną.

Radek wywrócił oczami.

– Teraz gotuję – odparł wymijająco, odwracając tost na drugą stronę i posypując go cukrem.

Polon zabrał się za sprzątanie śmieci, a była to iście herkulesowa praca; prawdę powiedziawszy, stajnie Augiasza wydawały się przy niej ledwie kurzem na półce. Ale Polon się tym nie przejmował; nie miał dużej wprawy w sprzątaniu ani tym bardziej w wynoszeniu śmieci, więc dla niego wszystko było w normie.

– Kończ już, tosty gotowe – pogonił go Radek.

– Moment – odrzekł Polon, wiążąc dziewiąty załadowany worek. – Tylko ręce umyję i możemy jeść.

Studenci podzielili się równo jedzeniem i przez chwilę w kuchni panowało milczenie, przerywane z rzadka zdrowym beknięciem.

– Piwo wyjmę – powiedział Polon, wstając. – Suszy mnie po tych tostach.

– No, tosty tak działają. – Radek pokiwał głową. – Nawet jeśli mało ich zjesz, na jakiś czas się zapchasz.

Polon szarpnął za drzwi lodówki, chcąc wyciągnąć życiodajny napój. Niestety drzwiczki ani drgnęły.

– Co jest? – zdziwił się Radek. – Nie można lodówki otworzyć?

– No... właśnie... nie... bardzo – wystękał Polon, szarpiąc dziko za rączkę.

Lodówka kolebała się na wszystkie strony, ale drzwi nie puściły. Wtedy Polon przypomniał sobie, że w środku jest bigos.

– Ej, bigos, co ty odwalasz, chcemy piwo wyciągnąć! – krzyknął Polon. Dał znak Radkowi, żeby mu pomógł, ale nawet we dwójkę nie byli w stanie otworzyć drzwiczek. Z wnętrza lodówki dobiegło ich bulgotanie.

– On chyba wypija nasze piwo – szepnął ze zgrozą Radek.

– Cholera! – warknął Polon. – A widzisz, mówiłem, żeby się go pozbyć, to nie, teraz jesteśmy humanitarni, nie pozbawiamy zamrażalnika nad głową... – przedrzeźniał współlokatora.

Z wnętrza lodówki rozległo się głośnie BLEP.

– Co to było? – zapytał Polon.

– Nie mam pojęcia – odparł Radek. – Ale sądząc po cichym bełkocie, dochodzącym ze środka, można wywnioskować, że jest pijany.

– Co wyście ze mną zrobili... – jęknął głos z chłodziarki.

– Cholera, zostaliśmy opici przez bigos – zauważył wstrząśnięty Polon. – Bigos! – krzyknął. – Weź nie rób sobie jaj i otwórz!

Jak na zawołanie drzwi lodówki uchyliły się lekko, umożliwiając im zajrzenie do wnętrza. Polon odetchnął; jego skarb wyglądał na prawie nienaruszony.

– Takem się przez was, hultaje, zdenerwowałem, że bałała, tfu... bałaganicie, że aż piwo otworzyłem – powiedział bigos. – I teraz pijany jestem... – Załkał.

– Kurde, upity jak pierwszorzecznik na imprezie inauguracyjnej – stwierdził Radek. – A nie wydudlił nawet połowy piwa.

– Głowę ma definitywnie słabszą niż pierwszorzecznik. Nie myślałem, że zobaczę jeszcze coś takiego – nie dowierzał Polon. – No dobra, bigos, o co ci chodzi?

– Bałagan i brud – jęknął cicho bigos.

– No wiesz? Przecież tak się staramy, żeby dalej było tu czysto. Zadbaliśmy o to, żeby żaden tost nie spadł na podłogę, ba, Radek nawet umył po sobie talerz! Poza tym ta kuchnia i tak jest czysta. – Wskazał na plamy oleju na podłodze. – Nie widziałem jej w lepszym stanie od roku!

– Od roku? – wyraził zdziwienie Radek.

– No wiesz, wtedy gdy się zebraliśmy wszyscy i posprzątaaliśmy. Raz na rok przecież trzeba, nie jesteśmy brudasami. – Polon splótł ręce na piersi.

Bigos, zamiast odpowiedzieć, ponownie jęknął cicho. Studenci spojrzeli po sobie i każdy z nich zabrał z lodówki po piwie.

– Dajmy mu trochę spokoju, co? – szepnął Radek do współlokatora. – Może się przyzwyczai.

Jednak kiedy następnego dnia studenci wrócili do domu z zajęć, stwierdzili z przerażeniem, że nie tylko kuchnia lśni czystością – korytarzowi również się dostało. Stali przez chwilę w bezruchu, niezdolni do poruszenia się. Kliniczna czystość działała na nich paraliżująco.

– O cholera – stęknął Radek. – Nie zostawił nawet kawałka brudu.

– A szafka po prostu błyszczy – dodał Polon, czując, że dostaje lekkich drgawek.

Szczęśliwie z opresji wybawił ich współlokator, który wyszedł ze swojego pokoju w butach i udał się do kuchni. Czemu siedział w butach w domu, tego nie wiedzieli, grunt, że dzięki temu na podłodze znalazło się trochę piachu.

– To jest po prostu straszne, czuję się jak w muzeum – wyszeptał Radek.

– Dobrze, że on nie zauważył, jak tu czysto – powiedział Polon, myśląc o współlokatorze. – Też by go sparaliżowało i wszyscy byśmy mieli problem. Czekał no... – Rozproszony stopą piach po lśniącej podłodze. – Chyba zabrał się za gotowanie. No to kuchnię mamy z głowy.

– Swoją drogą, mógłbyś wynieść te śmieci...

– Teraz, w tych mrocznych czasach lśniących podłóg, nagle przypomniało ci się o śmieciach? – zdziwił się Polon. – Co cię napadło?

– No wiesz, kiedyś w końcu trzeba będzie je wynieść.

– Zamiast wynosić śmieci, napijmy się piwa – zaproponował Polon.

– No dobra – zgodził się Radek, w mig zapominając o śmieciach.

Polon uśmiechnął się pod nosem. To zawsze działało. Udał się do kuchni i wyciągnął z lodówki piwo dla siebie i kolegi. Przywitał się z gotującym studentem, zastanawiając się, czy aby na pewno jest to jego współlokator; w końcu rotacja na mieszkaniu była potężna i tylko oni jakoś się trzymali... Ale grzeczność nigdy nie zawadzi.

– Słuchaj, a ile tu osób mieszka? – zapytał go być-może-współlokator. – Właśnie się wprowadziłem i nie wiem, kto swój, a kto gość. – Mrugnął do niego porozumiewawczo.

Polon zastanowił się głęboko.

– Wiesz, tu jest osiem pokoi, z czego co najmniej dwa są dwuosobowe – powiedział ostrożnie. – Więc będzie z dziesięć osób. W zasadzie nie musisz się przejmować faktem, że kogoś nie znasz, ja tu mieszkam od trzech lat i jakoś do teraz nie miałem okazji wszystkich poznać... No i rotacja jest spora – tłumaczył nowemu. – Polon jestem – przedstawił się, pamiętając o dobrych manierach.

– Michał – zrewanżował się nowy. – Smacznego – powiedział, patrząc na piwo.

– Dzięki. – Polon wyszczerzył zęby i ruszył do pokoju Radka.

– Co tam? – zapytał go kolega.

– Mamy nowego na mieszkaniu.

– Znowu? – zdziwił się Radek.

– No. To ten, co nas wybawił z opresji na korytarzu.

– Czyli jest w porządku – uznał Radek, otwierając piwo.

– No chyba – zgodził się Polon. – Słuchaj, co my zrobimy z bigosem? Szczerze mówiąc, boję się, że to jego sprzątanie się rozprzestrzeni.

– No przecież widziałeś go w lodówce. Porozmawiałeś z nim o tym?

Polon zadumał się. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby widział bigos w lodówce, ale przecież musiał tam być... No i kuchnia wyglądała jakoś... nie tak.

– Wiesz co, nie pamiętam – przyznał się. – Ale pamiętam, że coś było nie tak. Przejdiesz się ze mną do kuchni sprawdzić?

– W porządku – zgodził się Radek.

Gdy dotarli do kuchni, Polon otworzył lodówkę i zaczął wzrokiem szukać bigosu, ale nie mógł go znaleźć.

– Czekaj, jest jakaś kartka. – Radek wyciągnął z chłodziarki złożony kawałek papieru. – O, i jakiś banknot w tej kartce też jest.

– Super, będzie na żarcie na miesiąc – ucieszył się Polon na widok grubszego nominału. – A co jest na kartce?

– No czekaj. – Radek odchrząknął i zaczął: – *Kochani! Zostawiam wam kasę na rachunki, muszę się wyprowadzić, bo tu się nie da żyć. Śmieci uznały, że też mają dość i odchodzą ze mną. Życie mi szczęścia w odnalezieniu pokoju* – przeczytał Radek. – I jeszcze podpis. Bigos się wyprowadził.

– Następny, którego dopadła rotacja – westchnął Polon. – No i widzisz, niepotrzebnie mnie cisnąłeś z tymi śmieciami.

– Jak to? – zdziwił się Radek.

– Tak to. – Polon podsunął mu kartkę pod nos. – Nie widzisz? Śmieci wyniosły się same.



## TEN INNY UNIWERSYTET

*Tablica to miejsce, przy którym zachodzą niewytłumaczalne zjawiska, takie jak myślenie studentów. To właśnie tam, w oparach kredy i strachu, widać najintensywniejszą pracę mózgow studentckich; studenci kognitywistyki obliczyli (oczywiście po uprzednim wezwaniu do tablicy), że wydajność pracy studenta wywołanego do odpowiedzi w większości wypadków wzrasta o trzysta dwadzieścia procent. Zdarza się jednak, że mroczny prostokąt tablicy działa jak czarna dziura i wysysa całą wiedzę studenta na czas tak zwanej odpytki. Dzieje się tak głównie z regularnie uczącymi się studentami; ci, którzy wiedzą, o co chodzi w studiowaniu, wykorzystują zasysającą moc tablicy przeciwko niej i chłoną wiedzę, którą ta wcześniej miała okazję tymczasowo odebrać innym.*

*Natura tablic i przyczyny niechęci do studentów pozostają nieznanne. Mitologia studencka klasyfikuje tablicę jako pierwotne zło, przy okazji wspominając, że jest największym wrogiem najlepszego przyjaciela studenta – pandy („PanDa trzy, o tutaj, bardzo proszę”). Polem walki między tymi dwiema mitycznymi istotami ma być właśnie brać studencka.*

*Vademecum Studenta, rozdział 3, strona 45*

– Panie Radosławie, proszę do tablicy – oznajmił wykładowca lekkim tonem.

Radka zmroziło do szpiku kości. Przecież ćwiczeniowiec nigdy nie pytał! Próbował przypomnieć sobie jakieś podstawowe informacje, z których mógłby zostać odpytany, ale miał problem z przypomnieniem sobie tematu ostatnich zajęć. Ba, miał problem z przypomnieniem sobie tematyki tego proseminarium. „To niesprawiedliwe” – westchnął w duchu. „Przecież on nigdy nie pyta, nigdy nie woła do tablicy, co go nagle napadło?”

Wąsata twarz profesora spoglądała na niego z politowaniem.

– Proszę zmasać tablicę – usłyszał student.

Radek, rad nie rad, zabrał się za wykonywanie polecenia. Zbliżył się do tablicy, niemalże słysząc jej złowrogi pomruk. Popatrzył na nią ze zdziwieniem, denerwując się coraz mocniej. Na szczęście na tablicy znajdowały się jakieś wzory, więc mógł zastosować strategię spowalniającą. Chwycił za gąbkę i z żalem

zauważył, że jest mokra. Gdyby była sucha, miałby jeszcze szansę ulotnić się z zajęć pod pretekstem namoczenia gąbki; wykładowca pewnie i tak by nic nie zauważył. „No nic – pomyślał – trzeba pracować”. Ze zdenerwowania zaczął machać gąbką zbyt gwałtownie i przez chwilę jeździł nią po ścianie. Obejrzał się za siebie; profesor sprawdzał listę obecności, więc nic nie zauważył. Student odwrócił się do mokrego muru i przetarł oczy ze zdziwienia, po czym wytarł się koszulką, bo zapomniał, że trzymał w ręku gąbkę. Pomazany kawałek ściany zniknął, a przez dziurę zobaczył zdumioną twarz ówczesniowca trzymającego butelkę wódki.

„Ach, to tylko sen” – pomyślał Radek i odprężył się nieco. Rozejrzał się po sali i utwierdził się w tym przekonaniu – nikt poza nim nie widział dziury w ścianie.

– A pan co tutaj? – spytał zdziwiony profesor zza ściany.

Radek uszczypnął się, ale to nie pomogło. Drugi, identyczny profesor siedział przy biurku i ze zmarszczonym czołem sprawdzał listę obecności, zupełnie nie zwracając uwagi na studenta przy tablicy.

– No, ten, tego – oznajmił elokwentnie Radek. – Przecież sam mnie pan profesor do tablicy wezwał.

– Ja? – zdziwił się wykładowca. – Przecież to niemożliwe! A w ogóle, panie Radosławie, co pan robi po tamtej stronie? – zapytał. – Przecież pan wie, że nie wolno tam wchodzić przed zakończeniem licencjatu.

– Eee – odparł na to Radek.

– Widzę, że pan dzisiaj naprawdę nie jest w formie – zauważył z politowaniem profesor, po czym wychylił się przez dziurę i wciągnął przez nią studenta.

Radek odwrócił się, chcąc wskoczyć z powrotem do swojej sali, ale ta już zniknęła. Powiódł palcami po gładkiej ścianie, po czym pchnął ją mocno, ale nic się nie stało.

– No, proszę pana, dosyć tych głupstw – skarcił go wykładowca, wpychając mu w dłoń butelkę wódki, którą Radek przyjął z niedowierzaniem. – Proszę się udać na miejsce, w końcu dzisiaj mamy kolokwium z picia.

Radek uszczypnął się raz jeszcze; z tym samym efektem. Udał się więc na swoje miejsce i poprosił kolegę z ławki, żeby trzepnął go po głowie książką. Kolega z ochotą spełnił prośbę, ale nawet solidny guz na głowie nie wybudził Radka ze snu. „Co tu się dzieje?” – pomyślał rozpaczliwie.

Drzwi do sali otworzyły się i do środka wszedł Polon. Wszyscy studenci wstali, a wykładowca uklonił mu się z szacunkiem.

– Nie, w porządku, nie przeszkadzajcie sobie – oznajmił lekko Polon. – Ja tylko po współlokatora przyszedłem.

Wykładowca spojrzał na Radka z zaciekawieniem.

– Bardzo mi przykro, ale nie puszczę go, póki nie opróżni swojej butelki na ocenę – oznajmił sucho.

Polon mrugnął do współlokatora.

– No, Radek, na co czekasz? Jazda!

Radek odkręcił butelkę i przytknął szyjkę do ust, po czym zaczął łapczywie pić. „Kurde, coś mi się należy z tytułu stresu – pomyślał – nawet, jeśli ta wódka nie jest prawdziwa”. Kilku studentów znajdujących się w sali westchnęło cicho z podziwem, kiedy Radek odstawił pustą butelkę na blat, po czym ruszył pewnym krokiem w stronę kolegi.

– Widzicie? – Polon dumnie wyszczerzył zęby. – Ja go uczyłem osobiście. Wam również życzę szczęścia. – Spojrzał z szerokim uśmiechem na wykładowcę, który wpisywał na swojej kartce ocenę coś, co wyglądało jak wielkie pięć.

Radek poczuł, że życie od razu stało się piękniejsze, i odepchnął różowego słonia w kabaretkach, który chciał mu wręczyć pęk śpiewających róż.

– Hej, Radek, otrzeźwiej trochę – burknął słoń głosem Polona. – Mamy zadanie do zrobienia, a ty sobie pozwalasz na pijackie zwidy.

Słoń się zdematerializował; na jego miejscu pojawił się Polon. Radek poczuł, że jego wątroba działa na zwiększonych obrotach.

– No, otrzeźwiałeś już? – zapytał współlokator. – To świetnie.

– Polon, do cholery, co tu się dzieje? Gdy jeszcze przed chwilą byłem w sali, zostałem wezwany do tablicy. Na proseminarce!

To nie mieściło mu się w głowie. W końcu jak można pytać z proseminarium? Równie dobrze na seminarium mogłyby być kolokwia, na które trzeba by zakuwać. To się po prostu nie trzymało kupy!

– Widzisz, Radek – zaczął Polon. – Niedawno na naszym uniwerku rozpoczął się tajny program mający zmusić wszystkich studentów do nauki.

– No co ty? – zdumiał się Radek. – Nic o tym nie wiedziałem.

– Oczywiście, że nic nie wiedziałeś, jest w końcu tajny, jełopie. Do ochrony tej tajemnicy zatrudniono nawet kilkunastu nauczycieli niemieckiego.

Radek gwizdnął przez zęby; jeśli tak, to sytuacja była naprawdę poważna.

– No i co my możemy z tym zrobić?

– Musimy się bronić – odparł Polon grobowym głosem. – Będziemy walczyć do ostatniej kropli wina!

– A wódkę oddamy? – przeraził się Radek.

– Nie, wódkę wypijemy – uspokoił go Polon.

– No dobra, ale jak możemy walczyć z tajnym uniwersyteckim planem? – zapytał Radek. – Hej, a tak przy okazji, gdzie ja w ogóle jestem? Wygląda to trochę jak nasz uniwersytet, ale są pewne, jakby to określić, dość znaczące różnice.

Polon pokiwał głową.

– Tak, znajdujesz się na Tym Innym Uniwersytecie – oznajmił uroczystym głosem.

– Gdzie? – nie zrozumiał Radek.

– Ach, widzisz, naradzałem się z Newtonem, wiesz, tym moim kumplem z fizycznego, co by tu zrobić, żeby przeciwdziałać temu uniwersyteckiemu

planowi, no i on powiedział, żebym z nim poszedł, to mi coś pokaże. Weszliśmy do sali, on bierze gąbkę i zaczyna mazać ścianę. Ja mu mówię: jełopie, ileś ty wypił, że tablica ci się ze ścianą pomyliła, a on na to, żebym się zamknął i dokończył wódkę. No i ledwo dokończyłem, patrzę, a tu ściany brak, jakby przejście się zrobiło.

– I co było za tym przejściem? – zapytał Radek.

– No jak to co? Znaleźliśmy się na Tym Innym Uniwersytecie, akurat trwała balanga z wykładowcami, mówię ci, taka impreza! – Polon cmoknął lekko. – No i zapytałem Newtona, po co tu przyszedliśmy, a on zaczął gadać o jakichś innych wymiarach i nieoznaczoności, no generalnie, żeby te uniwerki połączyć w jeden wymiar, to się wszystko wyrówna. Pogadałem z tutejszymi wykładowcami i są bardzo za, bo wtedy nie będą musieli obowiązkowo uczestniczyć w każdej imprezie.

– A studentów to już nie raczyłeś zapytać o zdanie? – zapytał zniesmaczony Radek.

– Nie, no coś ty, studentów zapytałem jako pierwszych i to oni podrzucili mi pomysł, żeby połączyć nasze wymiary.

– Ale dlaczego? Przecież to jest Idealny Uniwersytet!

Polon pokręcił głową.

– Daleko mu do ideału – oznajmił. – Wyobraź sobie, że musisz pić na zaliczenie, więc jak wracasz do domu, to już nie masz siły pić.

Radek szczerze przejął się tą wizją.

– Rozumiem teraz, dlaczego są za. Dla nas w porządku, bo wykładowcy trochę zmiękną i zniszczymy plan, a dla nich w porządku, bo będą mogli w końcu poimprezować i przestaną być męczeni piciem na uniwerku.

– Dokładnie – potaknął Polon. – Zaplanowaliśmy to i przeciągnęliśmy cię tutaj, żebyś mógł nam połączyć oba wymiary.

– Co? Dlaczego niby ja miałbym to robić?

– Głosowaliśmy i padło na ciebie.

– Ale chwila, ja nie zgłaszałem się na ochotnika! – zaprotestował Radek.

– Chwila – rzucił Polon i wyciągnął pomiętą kartkę z tylnej kieszeni spodni.

– Masz, trzymaj.

– Co to jest? – zapytał Radek, rozwijając kartkę. Była pusta.

– Lista osób, które pytają cię o zdanie – oznajmił radośnie Polon. – No już, do roboty, dwie studenckie rzeczywistości się same nie połączą.

Radek chciał już rzucić ciętą ripostą, ale uznał, że z Polonem nie ma się co kłócić. Zamiast tego westchnął ciężko i rzucił mu takie spojrzenie, że potencjalny obserwator odniósłby wrażenie, iż z oczu Radka wyskakują iskry, i zaczęłyby uciekać w popłochu, ponieważ oddech studenta po kolokwium z picia w dużych ilościach groził spontanicznym samozapłonem.

– No i musisz odpowiedzieć na pytanie, które zada ci profesor na proseminarce – dodał Polon tym samym beztróskim tonem.

– Jakie pytanie? – Radek zdziwił się na tyle, że prawie wytrzeźwiał.

– No właśnie w tym sęk, że nie wiemy. – Polon przygryzł wargi. – Chociaż Wydział Matematyki Probabilistycznej obliczył, że rozwiązanie będziesz miał na końcu języka, choć ciągle nie wiedzą, czy uda ci się tego dokonać.

– Wydział Matematyki Probabilistycznej? – Radek zdumiał się po raz kolejny.

– Ano – przytaknął Polon. – Mówię ci, jak połączymy oba wymiary, przybędzie fajnych kierunków studiów, po których nic nie można robić, tylko studiować dalej. – Uśmiechnął się do siebie, rad z tej perspektywy. – No i wszystko wróci do normy, żadnych kolokwiów z seminarium magisterskiego, żadnych odpytek na proseminarce, przecież nikt nie ogarnie tego nowo powstałego uniwersyteckiego bajzlu.

– Super! – Radek poczuł, że otwierają się przed nim nowe możliwości. – Ale chwila, moment. A jeśli nie odpowiem na pytanie, które zada mi profesor?

Polon wzruszył ramionami.

– No to wtedy nie damy rady połączyć tych dwóch wymiarów – powiedział z żalem. – Postaraj się, matematycy probabilistyczni twierdzą, że dasz radę.

– Ej, Polon, a weź mi w końcu powiedz, co to jest matematyka probabilistyczna?

– Ja bym to nazwał raczej takim naukowym jasnowidzeniem. Zresztą zobacz, masz ulotkę. – Polon podał współlokatorowi kartkę.

Radek uśmiechnął się i zanotował w pamięci, że koniecznie musi zainteresować się tym szacownym kierunkiem studiów. Zaczął czytać ulotkę.

– O kurde, to lepsze niż szkoła barmańska!

– No – potaknął wyszczerzony radośnie Polon. – Teraz muszę zaprowadzić cię z powrotem do tablicy.

– Z powrotem? – przeraził się Radek. – Ale ja nie chcę...

– Rozumiem cię. – Polon pokiwał głową ze współczuciem. – Ale zrozum, to nasza ostatnia szansa – oznajmił uroczyście, otwierając drzwi do sali wykładowej. – Masz łyka na odwagę. – Podał buteleczkę współlokatorowi.

Radek przechylił flaszkę i świat od razu stał się przyjaźniejszym miejscem.

– No dobra – oznajmił rażno. – Pora zabierać się do roboty.

Dziarskim krokiem podszedł do tablicy. Czarna jak noc powierzchnia złowrogiego przedmiotu zafalowała gniewnie, kiedy chwycił za gąbkę i zaczął nią mazać po jego powierzchni.

– Powodzenia – szepnął Polon, widząc, że ściana zaczyna się już dematerializować.

Radek przeskoczył przez wyrwę w murze i znalazł się w drugim wymiarze uniwersyteckim.

Profesor wciąż siedział przy biurku, zajęty sprawdzaniem obecności. Radek

spojrzał na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że minęło już dobre dwadzieścia minut; najwyraźniej wykładowca zapętlił się przy okazji sprawdzania obecności i właśnie rozpoczął czytanie listy na nowo. Radek normalnie by mu nie przerywał, co najwyżej czasem zgłosiłby się jako ktoś inny, żeby sprawdzić stopień kontaktu profesora z rzeczywistością – ale teraz na szali była cała rzeczywistość studencka. Na tyle odważnie, na ile pozwoliła mu obezwładniająca moc tablicy, chrząknął.

Profesor wyrwał się z pętli, a po sali przeszło pełne zawodu westchnienie.

– No dobrze, proszę pana – powiedział profesor ze złośliwym uśmiechem na twarzy. – To proszę mi powiedzieć, jak nazywamy związki organiczne zawierające jedną lub więcej grup hydroksylowych połączonych z atomem węgla w hybrydyzacji  $sp^3$ ?

Radek poczuł, jak tablica wysysa z niego wszystkie wiadomości. Na chwilę zapomniał, kiedy ma urodziny.

– Yyy – wydukał, czując, że kompletnie baranieje, a w dodatku robi mu się niedobrze.

Jak to, przecież miał znać odpowiedź! Był pewien, że będzie wiedział... Miał to na końcu języka...

Chuchnął; przelatująca obok mucha spadła na ziemię, kompletnie upojona alkoholowymi wyziewami.

– Nazywamy je alkoholami – oświadczył student, promieniejąc z dumy, choć nie miał pojęcia, skąd znał odpowiedź.

Na tablicy momentalnie pojawił się pulsujący portal. Student poczuł, jak wszystkie wymiary wokół niego przewracają się do góry nogami, ale równie dobrze mógł to być jego wywijający salta żołądek. Pierwszy przez tablicę przeleciał uśmiechnięty wesoło Polon. Radkowi odbiło się lekko i wtedy poczuł silny, nieprzyjemny smak alkoholu, który bardzo chce wyjść.

– Widzisz? – zagadnął Polon. – Jednak ta matematyka probabilistyczna to wcale nie taki zły kierunek. Dobrze przewidzieli, że odpowiedź będzie na końcu języka. Szkoda tylko, że nie przewidzieli, na którym końcu...



## POJEBOWISKO

### *Kanapka z serem à la student*

*Znajdź kromkę chleba, która jest mniej twarda od granitu. Takich rzeczy najlepiej szukać w miejscach, w których ostatnio jadłeś kanapki; istnieje możliwość, że zostawiłeś jedną skibkę w folii i o niej zapomniałeś. Kiedy już zlokalizujesz jedną lub więcej sztuk, wyjmij z lodówki kawałek sera. Nie musi być twój, a dlaczego, dowiesz się później. Następnie połóż jeden plaster sera na skibce i zacznij jeść chleb, stopniowo przesuwając ser na drugi koniec kanapki. Kiedy zjesz już cały nieprzykryty serem chleb, odłóż ser do lodówki; będzie w sam raz na następną kanapkę. Czynność powtarzaj, aż będziesz najedzony.*

*Wielka Księga Kulinariów Studenckich, Rozdział 10, strona 146*

– Ale jestem głodny – stęknął Radek, przeglądając zawartość lodówki.

– Przecież jest pełno jedzenia – odparł zdziwiony Polon, pałaszując ze smakiem kanapkę z serem.

– Ech, przeterminowane – powiedział z żalem w głosie Radek.

– Jakie? – nie zrozumiał Polon.

– Przeterminowane – powtórzył Radek. – Znaczy: nienadające się już do jedzenia.

Polon zastanowił się głęboko; jak dotąd nie zdawał sobie sprawy, że istnieje coś takiego jak termin przydatności do spożycia.

– No weź zobacz, to ta data tutaj – oświecił go współlokator, pokazując datę i godzinę na wieczku przeterminowanego jogurtu.

– To jest data przydatności do spożycia? – zdumiał się Polon. – Zawsze myślałem, że to data produkcji.

– Ta, jasne, bo ten sok wyprodukowano w przyszłości – sarknął Radek, podtykając współlokatorowi pudełko pod nos.

– A skąd miałem wiedzieć? Zawsze kupuję jedzenie w przecenie, więc myślałem, że to data produkcji. – Wzruszył ramionami.

Radek burknął coś w odpowiedzi, ale Polon już tego nie dosłyszał; wstał z krzesła, odłożył brudne naczynia na piętrzącą się w zlewie górę (która, o dziwo, jeszcze się nie zawaliła – ale student miał wprawę) i udał się z obrażoną miną do swojego pokoju.

Telefon Radka rozdzwonił się w kieszeni spodnek; wyciągnął go i spojrzął na wyświetlacz, po czym oczy rozszerzyły mu się ze strachu. Po krótkiej, uprzejmej rozmowie rzucił się do pokoju Polona, o mało nie zabijając się o leżące na korytarzu butelki.

Wpadł do pokoju bez pukania. Polon już trzymał w ręce but, którym rzucał we współlokatora, ilekroć ten nie pukał przed wejściem, ale widząc jego rozbiegane oczy i grymas przerażenia malujący się na twarzy, od razu odgadł, co się dzieje.

– Właścicielka mieszkania przyjeżdża!

Radek kiwnął głową, a potem powiedział:

– Oczywiście wiesz, co to oznacza. Musimy posprzątać.

Studenci jęknęli jak na komendę; żywili nadzieję, że nie będą musieli sprzątać aż do końca roku akademickiego.

– Ile mamy czasu? – zapytał z przestraszeniem w głosie Polon.

– Właśnie nie wiem – odparł zdenerwowany Radek. – Kiedy z nią rozmawiałem, mówiła, że już jedzie.

Studenci rzucili się do roboty; szło im nadspodziewanie szybko. Piętnaście minut później kuchnia lśniła tak, że osoba niezaznajomiona ze studenckimi technikami sprzątania pomyślałaby, że ktoś zrobił szybki remont. Radek zabrał się za sprzątanie łazienki i pięć minut później całość dosłownie biła po oczach czystością; student z zadowoleniem stwierdził, że zlew jest o wiele czystszy od talerzy, które Polon miał zwyczaj odkładać do szafki jako czyste. Tylko śmieci zostały do wyrzucenia, ale studenci uznali, że dwanaście worków to za dużo, żeby podrzucać je sąsiadom na wycieraczkę. Spoceni i zmęczeni, zostawili śmieci przy

największym kontenerze i wrócili do mieszkania.

– Cholera, Polon, czy my na pewno posprzątaaliśmy? – wyraził wątpliwość Radek, bo przez tę krótką chwilę ich nieobecności mieszkanie omal nie wróciło do stanu sprzed sprzątnięcia. – Jak to się stało, nie było nas raptem dwie minuty...

Polon przygryzł wargi.

– Widziałem to już wcześniej – wyznał grobowym tonem.

– Co to jest? – zapytał złękniiony Radek.

– To pojebowisko – oznajmił Polon.

– Nigdy o tym nie słyszałem.

Polon wyciągnął z kieszeni zniszczony egzemplarz *Vademecum Studenta*, otworzył go na właściwej stronie i podał współlokatorowi. Radek przyjął książeczkę nieufnie; w końcu znał jej zawartość i nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział w niej hasło „pojebowisko”.

– To nowsze wydanie – wyjaśnił Polon i dodał z wyrzutem: – Jako student powinienesz czytać ważne dla studiów książki.

Radek przyznał mu w duchu rację, ale to nie zmieniało sytuacji, w której się znaleźli. Rzucił okiem na naddarte strony przewodnika po studenckim świecie i zaczął czytać.

*Pojebowiskiem nazywa się spontaniczny powrót mieszkania do stanu sprzed sprzątnięcia w czasie krótszym, niż wydaje się możliwy. Powrót do bałaganu zdarza się z reguły wtedy, kiedy studenci porządkują mieszkanie przed przyjazdem właściciela lub właścicielki mieszkania. Zjawisko wzięło swoją nazwę od cyklicznych nawrotów bałaganu, które mają miejsce po dokonaniu czynności porządkowych. Studenci z Wyższej Szkoły Otwierania Piwa ustalili, że jeśli mieszkanie zostanie dotknięte przez plagę pojebowiska, sprzątnięcie nie ma sensu, ponieważ to tylko pogarsza sprawę. Choć nie udało im się rozwiązać problemu pojebowiska, ustalili jego przyczynę. Naukowo udowodnili, że mieszkanie dąży do stanu naturalnego dla mieszkań studenckich; nie mogąc znieść sterylnych warunków, zaciąga bałagan z mieszkań obok, aż powróci do stanu względnej równowagi. Dopiero wtedy, kiedy zostanie ona osiągnięta, pojebowisko kończy się*

*manifestować w mieszkaniu studenckim.*

– A niech to – warknął Radek. – Jak my sobie teraz z tym poradzimy? Właścicielka jest w porządku, ale jak zobaczy coś takiego, to wylecimy na bruk jak nic! – Zasepił się.

Polon uderzył się w czoło.

– Kurde, właśnie sobie przypomniałem, że nie sprzątnąłem lodówki – oznajmił, odbierając współlokatorowi książkę.

Radek wzruszył ramionami.

– No i co z tego? Właścicielka pewnie i tak zaraz tu będzie, a my znowu mamy w chacie stary, dobry studencki syf.

– Ej, nie przesadzaj, wcale nie jest tak źle. Widać podłogę w niektórych miejscach. No ale nie ukrywam, przydałoby się znaleźć jakieś dobre rozwiązanie.

Studenci zamyślili się głęboko; niestety, nawet wzmożony wysiłek intelektualny nie przyniósł żadnych rezultatów. Ponure rozważania przerwał odgłos otwieranych drzwi do lodówki.

– Cholera, jeszcze nam jedzenie z lodówki ucieka – oznajmił Radek ponurym głosem.

– Daj mu spokój, to przecież standardowa pora, o tej godzinie wychodzi na żer – bronił jedzenia Polon. – No i przecież dorzuca się do prądu, ma prawo od czasu do czasu pobiegać, jak chce.

Chwilę później koło jego nogi, niczym wielka gąsienica, przeczołgała się stara kiełbasa. Polon kiwnął jej głową, jak przystało na dobrze wychowanego studenta, przy okazji zauważył, że chodzące pożywienie podnosi się lekko, jakby chciało coś zrobić. Następnie rzuciło się na kłęb kurzu i pożarło go w całości.

– To jest to! – krzyknął Polon. – Radek, otwieraj lodówkę i zamrażalnik, wypuścimy całe stare żarcie, niech się naje kurzem.

Radek, w lot łapiąc genialność tego pomysłu, rzucił się do lodówki i otworzył ją na oścież. Ze środka wysypała się armada przeterminowanego

pożywienia, które natychmiast przystąpiło do eksterminacji brudu.

– Może nam się uda – ucieszył się Radek. – Ale właściwie czemu jedzonko nam pomaga?

– To przecież proste. – Polon wzruszył ramionami. – Jeśli właścicielka nas stąd wyrzuci, to będziemy musieli wyrzucić całe stare jedzenie z lodówki. Krótko mówiąc, jeśli my wylatujemy, to jedzonko też. Więc najwyraźniej zdecydowało się nam pomóc. O, popatrz, ser pleśniowy czyści zlew.

– Kurde, nawet niezła współpraca – ocenił Radek. – Dobrał się w zespół z tym kurczakiem pleśniowym i zapieprzają.

– Ej, dobra, to skoro jedzenie ożyło i zaczęło nam mieszkanie sprzątać, to może ten porządek utrzyma się do czasu, aż przyjedzie właścicielka – rzekł z nadzieją w głosie Polon, podnosząc łopatę i odkładając ją do szafy.

Jak na zawołanie rozległ się dzwonek do drzwi.

– W sam raz – zauważył Radek.

Wpuścili właścicielkę do środka, przywitali się grzecznie, nawet herbatę zaproponowali. Odmówiła, i całe szczęście, bo musieliby zrobić szybką zrzutę i lecieć do sklepu.

– A mi sąsiadka z dołu mówiła, że wy w ogóle nie sprząacie – wyznała właścicielka ze zdziwieniem w głosie.

Polon rzucił Radkowi porozumiewawcze spojrzenie. Znalazł się donosiciel!

– Może mówiła o studentach z naprzeciwka? – rzucił podejrzenie Radek i mrugnął do Polona.

– Kto wie, kto wie – mruknęła enigmatycznie właścicielka. – Wiecie co, ja tylko tak kontrolnie przyjechałam, zobaczyć, co i jak, i ewentualnie zapędzić was do roboty.

– No to się jej udało – szepnął skwaszony Polon.

– Nic to, będę się zbierać, mam jeszcze kilka mieszkań dzisiaj do

obskoczenia.

Polon odprowadził właścicielkę do drzwi, a potem z ponurą miną obserwował, jak mieszkanie stopniowo wraca do stanu sprzed sprzątanania.

Nagle Radek uderzył się dłonią w czoło.

– Polon, przecież myśmy wszystkie butelki po piwie wynieśli!

Współlokator jęknął żałośnie.

– Takie bogactwo wywalić! Musiało nam się na łeb to sprzątananie rzucić.

Pognali biegiem do śmietnika, po worek, w którym wynieśli butelki. Szczęśliwie inni studenci nie wywęszyli jeszcze tego bogactwa i worek wciąż był na miejscu.

– Hej, Polon – rzucił Radek. – A może byśmy poprosili jedzenie, żeby nam znowu pomogło przy sprzątananiu?

– Ale po co? – zdziwił się Polon. – Przecież zagrożenie już minęło.

– Ale może pojawić się w każdej chwili – tłumaczył cierpliwie Radek.  
– Musimy przywrócić równowagę w mieszkaniu, skończyć z tym pojebowiskiem.

– No i jak masz zamiar tego dokonać? Przy tym zadaniu polegli nawet studenci Wyższej Szkoły Otwierania Piwa!

– Mam pomysł, ale będziemy musieli użyć prawie wszystkich butelek – oznajmił Radek.

Polon nie dyskutował; jego myśli krążyły wokół zwrotu „prawie wszystkich butelek”. Ucieszył się, bo to oznaczało, że trochę zostanie i będzie mógł je za drobną dopłatą wymienić w sklepie na takie z zawartością.

– Dobra, to ja pójdę do sklepu – oznajmił, żeby wykręcić się od wnoszenia worka z powrotem na górę.

– Super, właśnie miałem cię o to prosić.

Polon spojrział na kolegę ze zdziwieniem, ale nie skomentował. Zabrał tylko kilkanaście butelek i czym prędzej popędził do sklepu.

Kilka godzin później pijani studenci z przyjemnością zauważyli, że pojebowisko się poddało.

– Ale jak to? – nie rozumiał Polon. – Dlaczego?

– Po prostu wykorzystałem twoje najlepsze antyporządkowe zdolności w kontrolowany sposób – wyjaśnił Radek, pokazując współlokatorowi butelki rozstawione na lśniącej czystością podłodze w korytarzu. – Dzięki temu osiągnęliśmy punkt równowagi. Wystarczyło, że rozłożyłeś te butelki na czystej podłodze, więc niby jest bałagan, ale tak naprawdę jest porządek.

– No – zrozumiał w lot Polon. – Wychodzi na to, że jak zawsze wystarczyło się napić, a rozwiązanie przyszło samo.

I razem z jedzeniem, które tym razem dorzuciło się na wódkę, wnieśli w górę życiodajny napój.

## **PALĄCY PROBLEM ZIMNA**

*Kaloryfer to jedyne źeberka, których studenci nie są w stanie zjeść. Powszechnie używany w mieszkaniach studenckich, zawsze grzeje za słabo, zmuszając studentów do spożywania rozgrzewających napojów alkoholowych, takich jak zimne piwo.*

*Średnia temperatura w mieszkaniu studenckim w okresie zimowym wynosi około jedenastu stopni, nierzadko również dlatego, że nie wszystkie okna posiadają szyby. Wprowadzając się do mieszkania studenckiego na zimę, pamiętaj o zabraniu ciepłych rzeczy. Możesz też przypomnieć o sobie przyjaciółom z akademika; przenocują cię bezinteresownie za jedno piwo.*

*Vademecum Studenta, Rozdział 1, strona 6*

Polon dotknął ręką kaloryfera.

– Cholera, zimny – zamarudził. – Zupełnie nie grzeją. Ile mamy tutaj stopni?  
– zapytał trzęsącego się Radka.

– Dziesięć – odparł przykryty stertą koców student, szczękając zębami.

Polon rzucił kilkoma przekleństwami. Ściany zaczerwieniły się lekko, ale wcale nie zrobiło się od tego cieplej.

– Słuchaj, słyszałem, że w akademiku zainstalowali nowe okna – powiedział Radek niewinnym tonem. – Moglibyśmy pójść tam przenocować.

– Hmm – zastanowił się Polon. – To wcale nie jest taki zły pomysł. Tylko od naszej ostatniej imprezy minęło za mało czasu, żeby chcieli nas wpuścić.

– Ja tam chodzę codziennie, przecież nie będę spał na mrozie – obruszył się Radek.

– O kurde, a ja myślałem, że ty na imprezy chodzisz, a nie spać w innym miejscu.

– W sumie na jedno wychodzi, bo wypaść się w akademcu nie da – westchnął Radek. – A na dokładkę próbują jeszcze teraz zdierać ze studentów



pieniądze za nocleg, więc będziemy musieli wejść po kryjomu. Znaczy, ty będziesz musiał, bo ja tam wchodzę tak często, że myślą, że tam mieszkam – oznajmił z uśmiechem. – Nawet kartę mi wyrobili, jak powiedziałem, że gdzieś zapodziałem.

– Aleś się ustawił – mruknął z zazdrością Polon. – A mi nie mogłeś powiedzieć?

– A pamiętasz, co to było, jak cię ostatnim razem zabrałem? Zacząłeś imprezę już w windzie, co więcej, tak ją rozkręciłeś, że pół akademika chciało się do niej wcisnąć. Nawet kulę dyskotekową ci tam wnieśli.

– Ach, fajnie się między piętrami jeździło... – rozmarzył się Polon. – Z drugiej strony już bez przesady, też mi wielka impreza, przecież wyszliśmy z windy po dwóch godzinach.

– Tak, dlatego że ją popsuliście – mruknął Radek. – W każdym razie jeśli obiecasz nie robić żadnych głupot, to spróbuję cię wkręcić na pokój, żebyś nie musiał spać na waleta. Ale, ale... – powiedział, widząc, że Polon chwyta za pobliską butelkę wódki. – Najpierw obiecaj, że spróbujesz nie rozkręcić żadnej imprezy. Naprawdę chciałbym się w końcu wypaść.

Polon zmarkotniał i bąknął coś pod nosem.

– Słucham? Co powiedziałeś? – dopytywał się Radek.

– Dobra, obiecuję – burknął Polon. – A jak mam się tam dostać? Ktoś musi mi pomóc.

– Wciągnę cię przez okno. A zresztą... – Radek machnął ręką. – Stań pod akademikiem i krzyknij, że butelka wódki dla tego, kto pomoże ci się dostać do środka. Chwilę potem będziesz miał dziesięć lin i piętnastu chętnych wychylających się z okien, żeby cię wciągnąć. Coś o tym wiem, tak zaczynałem.

– No dobra – zgodził się Polon. – Niech będzie. Nawet poświęcę tę butelkę wódki, co mi tam. Zabrać coś oprócz alko?

– No, możesz wziąć ze sobą jakąś poduszkę, tam zawsze jest ich mało. No i będziesz miał gdzie swój napitek schować, akurat zmieści się w poszewce.

– To jest myśl – ucieszył się Polon. – No to idziemy!

\*\*\*

Zimno obudziło Polona. Leżał przez chwilę, zanim zorientował się, że spoczywa na podłodze. „Cóż – pomyślał – mogłoby być gorzej. Mógłbym marznąć u siebie w domu”. Leniwie otworzył jedno oko i pobieżnie zlustrował pomieszczenie. „O cholera! Ja jestem u siebie w domu”.

Było mu strasznie niewygodnie; przesunął głowę z podwyższenia i pechowo uderzył nią w jedno z niewielu miejsc w swoim pokoju, które nie były osłonięte miękką wyściółką kserówek. „Jak pech, to pech” – pomyślał i wstał nieporadnie. Poza tym, że było mu trochę zimno, czuł się wyśmienicie. Odetchnął i ze zdumieniem zauważył, że z ust wydobywa się para. „Czyli kaloryfery w ogóle już nie grzeją” – skonstatował. „Dzisiaj też czeka mnie noc w akademiku. Oczywiście o ile w ogóle spędziłem tę noc w akademcu, bo coś nie mogę uwierzyć, że poszedłbym spać do domu”.

Leniwie otworzył drugie oko i przyjrzał się przedmiotowi, na którym spał. Był to, ni mniej, ni więcej, mały elektryczny kaloryfer składający się z kilku żeberek. „Nawet nie czuję, jak dzisiaj rymuję” – podsumował w myślach Polon i uśmiechnął się szeroko. Może uda mu się dogrzać tym czymś pokój?

Podłączył urządzone do prądu i nastawił moc na maksimum. Uznał, że rachunkiem za prąd będzie się martwić później. Niestety kaloryfer nijak nie chciał działać. Polon zbluzgał urządzenie, ale to nic nie pomogło. Kopnął je lekko (z reguły szturchnięcie nogą skutkowało), jednak kaloryfer pozostał zimny. Wyczerpawszy swój arsenał wiedzy technicznej, podrapał się po głowie i ruszył do kuchni, chcąc zrobić sobie gorącą herbatę.

W kuchni siedział Radek, który zmierzył go spojrzeniem, które powinno go zabić na miejscu. Polon nie przejął się tym specjalnie – zarabiał takie spojrzenia co najmniej raz na kilka dni. Kiedyś nawet urządził sobie grę, którą nazwał „Złowrogie łypnięcie”, i liczył, kto wśród współlokatorów zarabia najwięcej takich spojrzeń. Współlokator z pokoju naprzeciwko, jako neutralny, notował wyniki. Jak dotąd to właśnie Polon był niekwestionowanym liderem we wszystkich kategoriach, od największej liczby łypnięć zarobionych pod rząd, po ilość „łypnięć plus”, którym wedle zasad towarzyszył wściekły wrzask.

– A prosiłem cię, żadnej imprezy – westchnął z wyrzutem Radek. – Miało

być cicho i spokojnie, żadnych wrzasków i żadnego bujania się na żyrandolu w holu.

– Ej, Radek – zaczął Polon, ignorując wynurzenia współlokatora. – A nie mieliśmy dzisiaj spać w akademcu? Czemu tutaj wróciliśmy?

– Nie pamiętasz? Wyrzucili nas po tym, jak wsiadłeś na cudzy rower, wziąłeś wysięgnik do malowania i urządziłeś turniej rycerski. Jeździliście korytarzem, drąc się po staropolsku, i starliście się ze studentami z piętra niżej, też na rowerach.

– I kto wygrał?

– Sprzątaczkę. Albo mi się wydawało, albo przyjechały na odkurzaczkach i wygoniły nas z budynku. Oczywiście to mogło być już moje delirium po spożyciu, ale fakt pozostaje faktem, zostaliśmy wyrzuceni. I to wszystko twoja wina! – warczał Radek.

Polon zapisał sobie dwa bonusowe spojrzenia, bijąc tym samym swój dotychczasowy rekord zarobionych złowrogich łypnięć na dzień.

– Weź daj spokój – powiedział lekko. – Każdemu się może zdarzyć.

– Tak, ale nie przez każdego tracę swoją kartę wstępu do akademika!  
– wydarł się Radek. – I przez ciebie muszę jeszcze w zimnie siedzieć! Zanim się wkręcę do innego akademca, zima zdąży minąć!

– Hej, spokojnie, spokojnie – mitygował Polon. – Przecież przynieśliśmy elektryczny kaloryfer do domu.

– Co zrobiliśmy? – nie rozumiał Radek.

– No mówię ci, przynieśliśmy do domu taki elektryczny kaloryfer. Tylko Newton, no wiesz, ten mój znajomy z fizycznego, musiałby na niego rzucić okiem, jest cosik rozregulowany, a on się zna na takich rzeczach. Szkopuł w tym, że on teraz mieszka po kryjomu na uniwersytecie, bo nie chce tracić kasy na wynajmowanie mieszkania – mówił Polon, obserwując, jak w oczach Radka pojawia się nadzieja. – Musimy go tutaj ściągnąć i jakoś mu się odwdziaczyć. Myślę, że moglibyśmy mu wręczyć dobre rzeczy, w końcu my już nie palimy... A coś się u mnie jeszcze znajdzie.

– A jeśli go dzisiaj nie znajdziemy? – zapytał Radek.

– Wtedy przenocujemy w bibliotece uniwersyteckiej. Ciemno i cicho, tylko ruszać się nie można, bo czujniki ruchu niedawno pozakładali. Ale jak się schowasz pod stołem i się nie będziesz przesadnie wiercić, to jest szansa na naprawdę spokojny sen – kusił Polon. – To co, idziemy po Newtona?

– No dobra – zgodził się Radek bez przekonania w głosie. – Możemy po niego pójść. Ale chwila, przecież istnieją już takie wynalazki jak telefony komórkowe – rzekł odkrywczco, wyjmując telefon z kieszeni. – Nie możemy po prostu po niego zadzwonić?

– Czy ciebie kompletnie popieprzyło? – warknął Polon, wytrącając mu urządzenie z ręki. – Przecież nie możemy ot tak, po prostu, zadzwonić sobie do Newtona!

– Niby czemu? – zaperzył się Radek.

– No jak to czemu? – wściekał się Polon. – Przecież spalisz mu miejscówkę do spania! W bibliotece nie można używać telefonu, bibliotekarki sprawdzają cały czas, czy tego przypadkiem nie robisz. Jak nie siedzisz z nosem w książce, to wylatujesz. Za dużo cwaniaków chciało zamieszkać w bibliotece w tym roku i się wyjątkowo cięte zrobiły. Jak wyciągniesz telefon z kieszeni, to wylatujesz.

– No dobra, możemy iść.

Radek wstał niemrawo i zatoczył się na lodówkę, która zachybotła się niebezpiecznie.

– Weź uważaj, lodówkę jeszcze przewrócisz – skarcił go Polon. – Dalej, zbieraj się, musimy znaleźć Newtona.

\*\*\*

Kiedy znaleźli się przed budynkiem uniwersytetu, Radek sobie coś przypomniał.

– Polon! – Szarpnął współlokatora za ramię.

– No co?

– Dzisiaj jest sobota. Jak my znajdziemy Newtona? Przecież on tutaj zginie w tłumie zaocznych.

– I o to właśnie chodzi – odparł Polon, przechodząc przez drzwi. – Gdyby był tutaj sam przez cały czas, wyglądałoby to co najmniej dziwnie. A tak, wśród tylu studentów, może łatwo się ukryć.

– No dobra, ale czy ty będziesz wiedział, gdzie go szukać?

– No jasne, przecież Newton nie straciłby kontaktu ze światem zewnętrznym, na pewno ludzie do niego przychodzą, choć z imprezami tu cienko, co najwyżej w szatni...

– To gdzie idziemy? – zapytał Radek.

– Hmm... – mruknął Polon. – Wydaje mi się, że najlepiej zacząć poszukiwania od biblioteki. Tam jest najciszej, zarazem jest jeszcze w miarę wcześnie, powinniśmy go tam złapać.

– Polon?

– No?

– A ty masz kartę biblioteczną, żeby tam wejść?

Polon stropił się nieco. Nie pomyślał o tym, że warto wyrobić kartę, chociażby po to, by móc znaleźć śpiących kolegów. Pieniądze wołał przeznaczyć na coś bardziej praktycznego, na przykład takiego jak kserowanie notatek.

– Poczekamy, aż jakaś grupa będzie wchodzić do środka, i spróbujemy się przemknąć – zaproponował.

– Plan niezły – uznał Radek.

Jak powiedzieli, tak zrobili. Zaczaili się pod drzwiami biblioteki i czekali na jakąś większą grupę osób. „Najlepiej, żeby w grupie znajdował się jakiś wykładowca” – pomyślał Polon. Oni z reguły skupiają na sobie całą uwagę pracowników, bo zamawiają książki, które są najtrudniejsze do zlokalizowania.

Niby doświadczony bibliotekarz potrafi znaleźć książkę po zapachu, ale tak się jakoś składa, że książek zamówionych przez wykładowców szuka się najdłużej, niezależnie od systemu, w którym działa biblioteka.

Na widok zbliżającej się grupy, składającej się z dziewięciu studentów i dwóch wykładowców, Polon szturchnął współlokatora w ramię.

– Dobra, ta jest optymalna – powiedział. – Wchodzimy z nimi!

Weszli do środka i niespiesznym krokiem udali się w stronę schodów. Dopiero tam puścili się biegiem na najwyższe piętro; tam było najciszej, więc prawdopodobieństwo znalezienia śpiącego studenta również było bardzo wysokie.

Znaleźli go bardzo szybko; Newton spał, chrapiąc cichutko, z głową złożoną na zwiniętym ręczniku. Polon pokiwał głową z uznaniem. Ręcznik, to jest to! Najbardziej przydatna rzecz, jeśli chce się pomieszkiwać na uniwersytecie. Do wytarcia się, do spania, no i do walki! Dlatego podchodził do Newtona bardzo ostrożnie – po cichu, na paluszkach – by nie zarobić ręcznikiem.

– Newton, obudź się! – wrzasnął mu prosto w ucho.

Student podskoczył i omal nie spadł z krzesła, na którym drzemał. Polon, korzystając z jego zdezorientowania, wręczył mu gruby plik notatek, który Newton przyjął ze zdumieniem w oczach.

– Przecież zaraz kolokwium. – Polon popychał go lekko w stronę drzwi.  
– Szybko, bo się spóźnimy! – wołał.

Newton nawet nie miał czasu się zastanowić, jaki jest dzień tygodnia i dlaczego ktoś wręcza mu notatki z poetyki, twierdząc, że za chwilę ma kolokwium. Skołowany i wystraszony, wyszedł razem ze studentami.

– Jakie kolokwium? – zapytał.

– Zaraz ci wszystko powiem – obiecał Polon, gestem nakazując Radkowi, żeby się pospieszył.

Kiedy opuścili bibliotekę, Polon odebrał Newtonowi swoje notatki.

– Wiesz, to moje – wyjaśnił. – To był jedyny sposób, żeby cię teraz stamtąd

wyciągnąć, inaczej byś nas zbył i musielibyśmy czekać.

– Ale mnie nadal chce się spać!

– Niemożliwe – zaprotestował Polon. – Ciśnienie musiało ci tak skoczyć, że nie zaśniesz jeszcze przez jakiś czas. Jeśli nam pomożesz, będziesz mógł trochę kimać u nas. Tylko myjesz się na uniwerku, nie mamy tyle kasy na wodę.

– W porządku – zgodził się Newton. – Dajcie mi chwilę, wyciągnę swoje rzeczy z szafki. Coś się stało, że potrzebujecie pomocy teraz, zaraz, natychmiast?

– Zimno mamy w domu.

– Każdy ma. – Newton wzruszył ramionami. – Dlatego lepiej jest mieszkać na uniwerku, darmo i ciepło. Gorzej, gdy się zorientują.

– Co wtedy? – zainteresował się Radek.

– Trzeba być ostrożniejszym, bo wywalają – odparł Newton.

– Z uczelni? – wystraszył się Radek.

– Coś ty, głupi? Z biblioteki. Dobra. – Otworzył szafkę. – Umyję się i mogę z wami iść. – Ziewnął przeciągle.

– Dobra, to my poczekamy – zgodził się Polon.

Newton zabrał szczoteczkę do zębów i dezodorant, po czym udał się do łazienki.

– Myślisz, że on da radę nam pomóc? – zapytał Radek z powątpiewaniem w głosie.

– Na pewno. – Polon nie miał żadnych wątpliwości. – Znam go. Gdy zobaczy jakieś urządzenie, nie może się powstrzymać: musi je rozkręcić, a potem złożyć z powrotem do kupy. Co prawda składanie nie zawsze mu wychodzi, ale do rozkręcania ma chłop talent. Z czymś tak prostym jak kaloryferek poradzi sobie śpiewająco.

– No dobra... Ale nocuje w twoim pokoju – zastrzegł Radek.

– Zgoda. Skoro wody nie będzie zużywać, to nie ma się co turbować.

– Nie ma się co?

– Nie ma się co martwić. – Polon przełożył z polskiego na polskie i rzucił Radkowi pełne politowania spojrzenie.

Już szykowali się do sprzeczki, kiedy drzwi do łazienki gwałtownie się otworzyły i wyjrzała z nich mokra głowa Newtona.

– Ej, Polon, weź rzuć mi szampon, bo zapomniałem wziąć ze sobą – poprosił. – Zaraz kończę! – dodał jeszcze, kiedy Polon spełnił jego prośbę.

Usłyszeli głośny szum suszarki i po chwili Newton wyszedł na korytarz.

– No dobra, to się zbieramy – zarządził Polon, patrząc na idącego w ich stronę wykładowcę, który przypatrywał się im uważnie. Student miał nadzieję, że go nie zapamięta; inaczej cały misterny plan okazania mu za tydzień zwolnienia lekarskiego spali na panewce.

Opuścili uniwersytet i ruszyli w stronę domu.

– Słuchaj, Newton, wygodnie się śpi w biblio? – zapytał z ciekawości Radek.  
– Myślę, czy by się też nie przerzucić.

– Wiesz, do tego trzeba się przyzwyczaić – odparł Newton. – Mają tam taki nieprzyjemny, gryzący dywan, na którym w dodatku jest pełno piachu, choć całkiem często sprzątają. Wydaje mi się, że warto spróbować, ale jeśli chodzi o ciebie, to lepiej w przyszłym roku.

– Czemu? – zdziwił się Radek.

– Masz teraz podpisaną umowę na mieszkanie; zanim byś ją wypowiedział, zrobiłoby się ciepło i spanie w bibliotece straciłoby cały urok. Ja tak robię tylko zimą; koło lutego już szukam lokum na końcówkę roku akademickiego, bo wtedy najłatwiej znaleźć mieszkanie. Mimo wszystko dobrze też spać u siebie.

– Czyli śpisz na uniwerku od października do lutego?



– No, mniej więcej. Czasem zdarza mi się po kumplach sypiać, tak jak teraz u was – odparł Newton. – Super się też śpi na dodatkowych wykładach, nie tylko w bibliotece – dodał.

Radek pokiwał w zadumie głową. Że też sam nie wpadł na to, żeby pomieszkiwać na uniwersytecie. Wiązały się z tym pewne niedogodności, ale wydawało mu się, że plusy przeważają nad minusami. Pomyślał, że w następnym roku też spróbuje.

– Słuchaj, Newton, a jak to dokładniej wygląda z takim mieszkaniem na uniwerku? – zapytał, chcąc poznać więcej szczegółów.

– To, że mieszkasz na uniwerku, nie znaczy, że cały czas tam śpisz – oświecił go Newton. – Na przykład tego dnia, w którym masz mało zajęć, idziesz kimać do biblioteki na trzecie piętro, bo tam jest najciszej. Jeśli chodzi o mnie, w bibliotece udało mi się zostać na noc tylko kilkanaście razy; za bardzo teraz pilnują, od kiedy brać studencka zwróciła się o tej opcji. Ale jak ktoś ma doświadczenie, to da radę – oznajmił Newton z przekonaniem w głosie. – Czasem bywa problem z noclegiem i jeśli akurat nie ma cię kto przenocować, to musisz się powłóczyć po mieście, a potem odespać w dzień, na jakimś wykładzie, albo właśnie w bibliotece, gdzieś, gdzie jest cicho, więc korytarze odpadają.

Radek słuchał uważnie, ucząc się pilnie. „Takie wykłady powinny być na uniwerku” – przemknęło mu przez myśl.

– Rzeczy trzymasz w szafce przy bibliotece; szafki są zamykane na kluczyk i mimo ostrzeżeń, że są opróżniane co wieczór, nikt tam nie zagląda – kontynuował Newton. – Szafki są małe, więc musisz mieć naprawdę mało rzeczy, by móc zachować maksymalną mobilność; bierzesz tylko rzeczy na zmianę, laptopa z ładowarką i gruby, puchowy ręcznik. W kwestii higieny osobistej na uniwerku znajdują się łazienki, w których można całkiem przyzwoicie się umyć. Wystarczą szampon i dezodorant, a kiedy ci ich zabraknie, możesz się wybrać po darmowe próbki rozdawane w perfumeriach i innych drogeriach. Ubrania pierzesz u kumpli.

– No a jak to wygląda z kasą? – zapytał Radek, czując, że za chwilę dozna oświecenia.

– Da się wyżyć za trzy stówki na miesiąc – odparł Newton, poprawiając plecak.

– Dobra, wy sobie gadu-gadu, a my tu mamy kaloryferek do naprawienia – wtrącił się do rozmowy Polon, zły na Newtona, że dzieli się tajemnicami studenckiego życia ekstremalnego, ot tak, po prostu.

Kaloryferek zabłyszczał, ledwo studenci weszli do pokoju. Niestety nikt na to nie zwrócił uwagi.

– Ten, tego... – zaczął Polon, grzebiąc w szufladzie. – Ponieważ ja już nie palę, Radek zresztą też, to w podzięce mam coś dla ciebie. – Wręczył Newtonowi małą paczuszkę i dodał: – Jak chcesz, Radek znajdzie coś do palenia.

Newton bez słowa wyciągnął z plecaka małą szklaną firkę i ją nabił.

– Przybyłem, zapaliłem, naprawiłem – oznajmił z powagą.

– Oby – mruknął Polon, podając mu wszystkie narzędzia, które mieli na podorędziu.

– Nie chcecie? – upewnił się Newton, wskazując firkę.

– No... Newton, ty to masz dar przekonywania – powiedział Polon i zaciągnął się. – Radek, a ty byś nie chciał?

– No może bym i chciał – wyznał student i też zaciągnął się mocno, po czym podał firkę dalej.

Newton strzelił palcami i wziął się za rozbieranie urządzenia. Studenci nie zauważyli, że kaloryferek teraz lekko wibruje, zupełnie jakby coś się chciało z niego wydostać. Newton sprawnie zdjął obudowę i z uwagą spojrzął do wnętrza urządzenia.

– To będzie prosta sprawa – powiedział ucieszony. – Kwestia małego kabelka. Nawet mam taki na składzie. Naprawię raz-dwa!

– Trzeba to opić! – zawołał donośnie Polon, podnosząc butelkę wódki. – Od razu zrobi się cieplej.

– Ja się zgadzam! – odrzyknął radośnie Radek. – I możemy to też objeść! Nie dość, że mi chłodno, to teraz jeszcze głodno. Pójdę do kuchni po chleb, co? – zaoferował się.

Dwaj pozostali studenci kiwnęli ochoczo głowami. To był jeden z tych pomysłów, które są genialne, jeśli ktoś wpadnie na nie w odpowiednim momencie.

Newton chwycił za narzędzia i w tej samej chwili, w której Radek wrócił z jedzeniem do pokoju Polona, zupełnie przypadkiem aktywował mały magiczny symbol znajdujący się tuż przy przepalonym kabelku.

– O kurde, jakoś cieplej się zrobiło – zauważył Radek, rzucając Polonowi skibkę, którą ten złapał zębami w locie.

– Ale jeszcze nawet nie włączyłem – zdziwił się Newton, który też odniósł wrażenie, że kaloryfer zaczął intensywnie grzać.

Urządzenie syknęło nagle i ze środka wydobyły się kłęby gorącej pary, która wypełniła całe pomieszczenie. Kaloryferek zaczął drzeć spazmatycznie, wybijając niezwykle rytm na podłodze.

– Wódka się skończyła... – mruknął zasmucony Polon, patrząc na pustą butelkę.

Ze środka kaloryferka wychynął ognisty demon. Dumnie potoczył wzrokiem po otoczeniu, oczekując, że zobaczy trzęsących się ze strachu ludzi w wysokich, spiczastych kapeluszach. Ci tutaj nie wyglądali jednak na przestraszonych; co gorsza, w ogóle nie zwracali na niego uwagi. Stał na podłodze i przyjrzał się trzem postaciom, które tonęły smętnym spojrzeniem w pustej butelce. „Ach, nareszcie wolność” – pomyślał demon płomieni. „Jeszcze tylko muszę spalić tych tutaj i mogę wrócić do domu”.

Polon, czując rozlewające się po ciele ciepło, pierwszy zauważył nietypowego gościa. Nie chcąc tracić czasu, postanowił od razu przejść do rzeczy.

– Jesteś trzeźwy? – zapytał obcesowo demona.

– Tak – odparł demon, zaskoczony beztróskim tonem wypowiedzi człowieka.

– To zapierdalaj do sklepu po wino – nakazał Polon.

– Ty marny człowieczku! – huknął demon. – Jestem demonem Ósmego

Kręgu Piekieł! Moje imię budzi strach i sieje grozę w sercach moich wrogów!

Pętające go zaklęcie nie pozwalało demonowi umknąć z tego marnego planu egzystencji tak długo, jak długo wydawano mu jakieś rozkazy. Żeby wrócić do siebie, musiałby najpierw zabić rozkazującego mu człowieka. Kiedyś zlekceważył wielkiego maga i w konsekwencji został zamknięty w tym żalonym urządzeniu. Z jakiegoś powodu mag uznał to za dość zabawne. Dlatego demon nie zamierzał popełnić drugi raz tego samego błędu i postanowił najpierw wy badać możliwości potencjalnego przeciwnika.

– Jeśli nie przestaniesz mi rozkazywać, to cię spalę! – zagroził, wyciągając przed siebie płonąca dłoń.

Polon poweselał.

– Obawiam się, że już jestem spalony – odparł zdumionemu demonowi.  
– No już, już, jazda po wino. – Machnął ręką.

Demon zdumiał się niebywale. Jaką moc musiał posiadać ten człowiek, skoro zupełnie nie bał się jego płomieni, ba, twierdził nawet, że został już przez nie dotknięty? Czyżby posiadał władzę nad czasem? Demon się zląkł. Lepiej wypełniać polecenia. Zniknął i po chwili pojawił się ponownie, z kratą wódki w rękach. Położył ją z szacunkiem na podłodze, czekając na następne rozkazy.

– Fajno – ucieszył się Polon. – Pijesz z nami?

Demon pokręcił przecząco głową. Picie by go zabiło.

– No to spadaj – mruknął Polon, otwierając butelkę i podając Radkowi.  
– No, już cię tu nie ma.

Demon zdumiał się ponownie. Jak wielką władzę nad materią musiał mieć ten mag, skoro nawet go nie potrzebował? Wolał nie czekać, aż człowiek zmieni zdanie; z trzaskiem zniknął z pomieszczenia, odszedł do swojego domu na Trzecim Ognistym Planie. Studenci nawet tego nie zarejestrowali, zajęci opróżnianiem zawartości butelki.

– No widzisz? – Newton zdjął kurtkę. – Mówiłem, że naprawię ten kaloryferek. Trochę spalenizną zajeżdża, ale grzeje!

– No – potaknął ucieszony Polon. – Od razu się jakoś cieplej zrobiło.

I z radością wzniesli butelki w górę.

## KTO SIĘ BOI KSIĘCIA DZIELNI

*Książę Dzielni – jedna z niewielu istot będących w stanie stanąć w szranki ze studentem, kiedy w grę wchodzi alkohol. Potrafi przeniknąć przez każde drzwi, jeśli tylko prowadzą na klatkę schodową. Z reguły otacza się kłębem papierosowego dymu, który tworzy gęstą, maskującą obecność mgłę. Jeden z głównych uczestników pojedynków alkoholowych.*

*Coroczne pojedynki alkoholowe, podczas których wyrabia się do 25% rocznej normy spożycia w danym kraju, tradycyjnie odbywają się w miejscowości Zimna Wódka. Studenci Mistrzowie i Książęta Dzielni od lat walczą o prym w spożyciu tego sztandarowego napoju, jednak jak dotąd żadna ze stron nie uzyskała znaczącej przewagi na dłuższy czas. Podania i mity studenckie mówią jednak o nadejściu studenta, który na zawsze odmieni los studenckiego świata i pomoże nam uzyskać przewagę w tych jakże ważnych pojedynkach.*

*Czekamy.*

*Vademecum Studenta, rozdział 6, strona 71*

Radek wziął głęboki wdech i wszedł na klatkę schodową. Dym otoczył go ze wszystkich stron; student zakaszał i zaczął szukać po omacku włącznika.

Słabe, żółte światło ledwo przedzierało się przez gęstą, papierosową mgłę zasnuwającą pomieszczenie. Radek zmrużył oczy i począł ostrożnie wchodzić po schodach. Kilka chwil później zauważył między pasmami dymu sylwetkę i jęknął w duchu. „Znowu tutaj siedzi” – pomyślał i przyspieszył nieznacznie.

– Znowu ty – usłyszał zachrypnięty głos.

– Ano ja – zgodził się słabo student, wytrwale wspinając się po schodach.

Wiedział dobrze, jaki gatunek intruza przysiadł na najwyższym schodku. Spłoszony, starał się ominąć nieproszonego gościa, który ostatnio coraz częściej pojawiał się na klatce schodowej. Kiedy do bodźców wzrokowych dołączyły silne bodźce zapachowo-alkoholowe wielokrotnie przebijające zapach dymu, student rozpoznał konkretną postać. „Tylko nie on” – pomyślał. „Czemu akurat on?”

Książę Dzielni usadowił się wygodniej na swoim schodowym tronie

i obrzucił studenta pogardliwym spojrzeniem. Bijąca od niego woń alkoholu powaliłaby muła, ale Radek, szczęśliwie, przeszedł już odpowiedni trening pod czujnym okiem Polona i takie odory były mu niestraszne. Szybko minął Księcia, ciesząc się w duchu, że intruz nie ma przy sobie swoich przybocznych. Wyżej dym się nieco rozrzedzał, więc wypuścił resztę powietrza z płuc i rzucił się do przodu niemal biegiem, chcąc jak najszybciej dotrzeć do mieszkania. Tupot jego stóp niósł się po klatce schodowej, ale student był pewien, że Księżę go już nie słyszy; otaczająca go aura papierosowego dymu skutecznie tłumiała wszelkie dźwięki.

Dopadł do drzwi i dysząc, włożył klucz do zamka. Złapał za klamkę i pchnął gwałtownie, po czym wtoczył się do środka, mając nadzieję, że nie napuści zbyt wiele dymu do mieszkania. Oddychał przez chwilę głęboko, wentylując płuca.

Drzwi do pokoju Polona otworzyły się i współlokator Radka wyszedł na korytarz. W rękę trzymał wysłużony egzemplarz *Vademecum studenta* i najwyraźniej usilnie czegoś w nim szukał.

– Księżę znowu na tronie? – zapytał niezobowiązującym tonem, a Radek pokiwał głową. – Kurde no. Myślałem, że ten nowy zamek, który założyli przedwczoraj, jeszcze trochę potrzyma.

– Wiesz, jak to jest – mruknął Radek. – On zawsze jakimś cudem zdoła przeniknąć do wnętrza. Pamiętasz, jak zakleiliśmy drzwi pianką montażową, a on i tak dostał się do środka?

– No, pamiętam. Nawet *Vademecum Studenta* nie wie, jak sobie poradzić z istotą, która potrafi przenikać przez zamknięte drzwi – stwierdził z żalem, odkładając książeczkę w jedno z niewielu miejsc niezajętych przez puste lub pełne butelki.

– Słuchaj, ile on może mieć lat? – zagadnął Radek.

– A kto go tam wie. – Polon machnął ręką. – Przecież i tak nic nie widać przez te tumany dymu papierosowego, które się wokół niego unoszą.

– No niby tak...

– Ale wydaje mi się, że on będzie mniej więcej w naszym wieku. Kurde, mam już dosyć tego smogu!

– Przecież sam palisz – zauważył zdziwiony Radek.

– No tak, ale ostatnio wyprodukował dym tak gęsty, że wchodząc po schodach, potknąłem się o niego i zbiłem piwo. Trzeba z tym skończyć! – warknął gniewnie.

– Ciekawe, jak zamierzasz go powstrzymać przed wchodzeniem do środka? Przecież próbowaliśmy już wszystkiego.

– No to w takim razie musimy sprawić, żeby przestał tu przychodzić – odpowiedział wrogo Polon.

„Oj, Księżę ostro zaszedł mu za skórę przez to piwo” – pomyślał Radek, patrząc na wzburzonego współlokatora.

– Ale niby jak zamierzasz tego dokonać? Jak wygonisz stąd Księcia Dzielni? – drążył temat.

W duchu nie wierzył, by udało im się tego dokonać. Przekonać Księcia Dzielni do opuszczenia jego sali tronowej? To, że przypadkiem była to także klatka schodowa w bloku, w którym mieszkali, niczego nie zmieniało. Księżę Dzielni zaadaptował to pomieszczenie na swoją salę tronową i już. Nawet wzywaniem przedstawicieli prawa – choć studentom obce, to dla sąsiadek z dołu naturalne – nie dało zadowalających efektów. Księżę Dzielni korzystał z zasłony dymnej, by wymknąć się niepostrzeżenie, po czym wracał dwadzieścia minut później i znów napełniał klatkę schodową gryzącą w oczy kurzawą.

– Każdy ma jakieś słabe strony – oznajmił tajemniczo Polon.

– Chyba nie zamierzasz go wyzwąć na pojedynek w piciu? Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, kto by wygrał.

– Próbowałem. Jesteśmy na tym samym poziomie – oznajmił Polon, choć z trudem przeszło mu przez usta wyznanie, że nie wygrał jakiegoś pojedynku.

– No to już nie wiem, co zamierzasz... – Radek wzruszył ramionami.

– Rzucę mu wyzwanie! – krzyknął niespodziewanie Polon. – Wyzwę go na pojedynek w piciu!



– Przecież już to zrobiłeś. Sam powiedziałaś. – Radek był zbity z tropu.

– No tak, ale teraz dorzucę do tego czynnik społeczny.

– Co zrobisz? – zdziwił się Radek.

– Zobaczysz. – Polon chwycił dwie najbliższe butelki wódki. – Masz jeszcze to swoje wino?

– To nieudane? – doprecyzował Radek. – A po co ci?

– A przyda się – stwierdził Polon. – Skocz po nie, jeśli możesz.

Radek bez namysłu udał się do swojego pokoju i po chwili wrócił, niosąc kilka butelek wina domowej roboty.

– Dobra, na zapojkę wystarczy. – Polon odebrał od niego zakurzone butelki. – Idziesz ze mną?

– No, skuszę się...

– Świetnie – ucieszył się Polon. – Przez chwilę myślałem, że odpuszczysz. Ale skoro też idziesz, to możesz wziąć ode mnie część butelek.

Radek skrzywił się lekko. Nie lubił odgrywać roli tragarza.

– No już tak się nie krzyw – powiedział dobrodusznie Polon, nadstawiając się, żeby współlokator mógł przejąć od niego część flaszek.

– Myślisz, że tyle starczy, skoro teraz pijemy we dwóch? – zaniepokoił się Radek.

– Nie no, wino jest dla jego świty na solidne oszołomienie, przecież twoje wisko kopie mocniej niż czelabiński spiryt – odparł Polon. – Szlachta pije wódkę przecież.

– To ty już jesteś szlachcic nad szlachcice – mruknął Radek.

– No. – Polon wyszczerzył zęby. – Gdybym pił mniej, Książę Dzielni nie chciałby się ze mną pojedynkować. No dobra, bo my tu gadu-gadu, a wódka

stygnie. – Wskazał głową na drzwi.

Ledwo je otworzyli, do środka wpadł wielki kłęb dymu.

– Cholera, a mogłem wziąć maskę gazową – zamarudził Radek. – Ten dym jest tak gęsty, że na upartego można by w nim pływać.

Studenci zaczęli schodzić na dół w kompletnej ciszy i ciemności.

– Uważaj, żebyś win nie pobił – ostrzegł Polon, ostrożnie stawiając stopę na kolejnym stopniu.

– Uważaj, żebyś cię zaraz nie pobił – burknął Radek, któremu przestał się podobać pomysł audiencji u Księcia Dzielni.

– Jesteś marudny jak sąsiadka z dołu. – Polon przewrócił oczami. – Czekaj, chyba już ich słychać.

Studenci zamarli na schodach. Rzeczywiście, z piętra niżej dochodziły odgłosy solidnej pijatyki. Obaj poczuli gwałtowny przypływ sił witalnych, a ich wytrenowane wątroby przygotowały się do pracy.

– Dobra, zabawa trwa już chyba w najlepsze – powiedział lekkim tonem Polon.

Żwawo ruszyli po schodach, nie zwracając już uwagi na to, że dym staje się coraz gęstszy. Chwilę później z tumanów wysnuło się kilka postaci. Radek ze zdumieniem zauważył, że są one szersze niż wyższe.

– Nie podobasz mi się – burknął do Polona jeden z przybocznych Księcia.

– To świetnie, bo wolę kobiety, więc serca ci nie złamię – odparł radośnie Polon i zanim przyboczny zdążył sięgnąć po ciężki argument, żeby nim studentowi przywalić, ten wręczył mu napoczętą rolkę papieru toaletowego.

– Eee – bąknął skonsternowany przeciwnik i obejrzał papier z bliska, nie wiedząc, o co chodzi; rolka spełniła swoje zadanie.

– Najważniejsze to znaleźć w życiu pozytywne strony każdej sytuacji – szepnął Polon do Radka i podał przybocznemu Księcia jedno wino.

Twarz przybocznego rozjaśniła się w promiennym uśmiechu i ustąpił im z drogi.

– Siema! – ryknął Polon do wszystkich w zasięgu słuchu.

Księżę Dzielni odwrócił się na swoim tronie.

– A, to ty. Nie ruszać ich chłopaki, oni są spoko. No i mają alko.

– Tak właśnie sobie pomyślałem, że przyjemnie by się było napić w doborowym towarzystwie. – Polon siadł koło Księcia i otworzył wódkę.

Przyboczni westchnęli. Każdy z nich pragnął zasiąść kiedyś po prawicy Księcia, a on pozwolił dosiąść się jakiemuś obcemu...

– Dobre rzeczy przynieśliśmy – pochwalił się Polon, podając spowitej dymem postaci wódkę. – Wino dla każdego! A wy dajcie jakąś muzę. Co tak po cichu siedzicie? – strofował przybocznych, którzy natychmiast włączyli na komórkach skoczną, rytmiczną melodię. Radek nie wsłuchiwał się w słowa piosenki, a szkoda, bo może by się dowiedział, co należy robić, gdy zawiedzie cię twoja dyskotekowa miłość.

– Co ty wyrabiasz? – syknął Radek.

– Wywabiam sąsiadki z dołu – odparł zadowolony z siebie Polon. – Zaraz powinny się zlecieć.

Istotnie, chwilę później na klatkę schodową wyszły sąsiadki. Polon uśmiechnął się pod nosem.

– Teraz mamy wyjątkowo łagodne sąsiadki z dołu, więc patrz, co się będzie działo.

– A wy co tutaj robicie, hultaje wstrętni? – zapytała jedna z sąsiadek, podchodząc do przybocznych Księcia. Ci cofnęli się z respektem. Nikt nie chciał narażać się sąsiadkom z dołu. – Całą klatkę schodową mi zadymiliście, a ja taka biedna, stara, schorowana jestem... – mówiła, siłą torując sobie przejście do tronu.

– I głucha już prawie – dodała druga.

Kiedy muzyka zamilkła, a przybocznicy zostali rozbrojeni, Książę Dzielni zorientował się, że coś jest nie tak.

– Hultaje! Kto to widział tak po klatkach schodowych siedzieć! – rozdarła się pierwsza sąsiadka.

Książę Dzielni zatrzęsł się ze strachu, ale nie dał nic po sobie poznać.

– Ależ proszę pani, wszystko jest w jak najlepszym porządku – mitygował Polon.

Książę i Radek skulili się, oczekując gwałtownego wybuchu, który zmiecie ich z powierzchni ziemi, znaczy z klatki schodowej.

– To my, studenci – dodał Polon, szczerząc zęby i prężąc pierś.

– Ach, wiem, waszą dwójkę przecież znam – powiedziała sąsiadka, zmieniając ton z agresywno-pretensyjnego na łagodniejszy. – Więc czemu tu siedzicie, aniołeczki? – Uśmiechnęła się lekko i jakby podejrzliwie.

– Ach, zapomnieliśmy się – powiedział Polon, pocąc się. Czyżby sąsiadka szykowała się do ataku? – Czasem impreza jakoś tak sama się rozkręci, pani wie, jak to jest...

Sąsiadka uśmiechnęła się szerzej, ale nie był to drapieżny uśmiech; Polon określiłby go na nawet jako przyjazny.

– Ach, w porządku. – Kobieta machnęła ręką, jakby nic się nie stało. – W końcu młodość musi się wyszumieć – stwierdziła, czochrając Polona po głowie.

– Chyba cię lubi – szepnął Radek. – Może zaprosisz ją na randkę?

– Podam twój telefon – odgryzł się szeptem Polon, uśmiechając się najprzyjaźniej, jak umiał.

Sąsiadki uznały, że nie ma co walczyć ze studentami, i wycofały się na z góry upatrzone pozycje.

– Ale bym tak prosiła nieco ciszej – powiedziała na odchodnym jedna z nich, po czym zniknęły w czeluściach swoich mieszkań.

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

– Ty, Polon – zagadnął zachrypniętym głosem Książę, wskazując studenta palcem. – Jak to zrobiłeś?

– Jak zrobiłem co? – odparł ze zdziwieniem Polon. Udawanie głupka zawsze dobrze mu wychodziło. To był jeden z jego naturalnych talentów.

– No jak to zrobiłeś, że sobie poszły – wychrypiał Książę Dzielni.

– Och, to dosyć proste. Wystarczy być studentem.

– Tylko tyle i możesz pić, gdzie chcesz? – zdziwił się Książę.

– Ano – przytaknął Polon i pociągnął trochę wódki z gwinta.

Książę zastanowił się głęboko; do tego stopnia, że zasłona z dymu papierosowego zupełnie opadła.

– Myślisz, że też mogę być studentem? – zapytał.

Polon uśmiechnął się szeroko.

\*\*\*

– Nadal nie rozumiem, co ty takiego zrobiłeś, że Książę Dzielni już tu nie przychodzi i nie zasiada na swoim tronie. – Radek nie mógł się nadziwić.

– No jak to co? Pokazałem mu, że studenci mają lepsze układy z sąsiadkami z dołu – wyjaśnił Polon. – No więc też postanowił zostać studentem. Poszliśmy do Wyższej Szkoły Gotowania Lewą Ręką, a ja pomogłem mu złożyć papiery.

– Nadal nie rozumiem, czemu już nie przychodzi.

– Och, to przecież proste. Skoro jest studentem, ma kolokwia i wejściówki, więc nie ma już czasu przychodzić tu i pić. W dodatku na corocznych pojedynkach alkoholowych będzie teraz reprezentował studentów, więc kto wie, może jeszcze

o nim usłyszymy, facet ma twardy łeb.

- Niech cię kolokwia biją – wyszeptał Radek, zdumiony genialnością planu.
- No tak, nic dziwnego, że nie przychodzi w trakcie sesji.

Zastanowił się chwilę nad tym, co powiedział, po czym z trwogą w oczach spojrzał na współlokatora. Ten odpowiedział mu takim samym spojrzeniem.

- Cholera – stęknął Polon. – Wiedziałem, że o czymś zapomnieliśmy.

## GDZIE KSIĄŻKA MÓWI DOBRANOC

*Biblioteka uniwersytecka – miejsce odpoczynku znużonych studentów. Ciche i spokojne, pozwalające na relaks i dobry, mocny sen między zajęciami. Doceniana zarówno przez wykładowców, jak i studentów, co jest fenomenem. To dobre miejsce na sen ma też inne, mało znane przez studentów, zastosowanie; otóż można z niej wypożyczyć do skserowania książki, których nie da się znaleźć nigdzie indziej. Czasem nie można ich odnaleźć nawet w samej bibliotece...*

*Przylącz się do akcji Otwarta Biblioteka i pomóż nam odnaleźć książki zaginione od dziesięcioleci!*

### Plakat reklamujący bibliotekę

Polon wyczerpał wszystkie siły i zaczął wciągać pakunek po schodach. Starał się zachowywać najciszej, jak umiał, ale ciężar dawał mu się już nieźle we znaki. Przystanął dla złapania oddechu i spojrzał w górę. „Jeszcze tylko jedno piętro” – pomyślał. „Jeszcze tylko jedno piętro, tylko ostrożnie, żeby się nie zdradzić”. Dyszał ciężko, ale nie zamierzał się poddawać. Mocno złapał za cenny ładunek i zaczął powoli wchodzić po schodach.

Dotarł do drzwi. Wiedział, że teraz musi zachować najwyższą ostrożność – ryzyko było wielkie. Cicho, spokojnie, żeby nikogo nie zbudzić (specjalnie wyszedł o jedenastej rano, kiedy jeszcze wszyscy spali), włożył klucz do zamka i delikatnie przekręcił. Naoliwiony zamek poddał się bez oporu i zgrzytnięcia; oczywiście, przecież Polon przed wyjściem zadbał o to, by ani szcęknał. Drzwi uchylły się lekko, jakby zapraszając go do środka. Nie skrzypnęły; oczywiście, ponieważ przewidujący student nasmarował zawiasy. Spojrzał uważnie w głąb korytarza i ucieszył się. Ciemno i pusto, dokładnie tak, jak trzeba. Chwytał za postawiony pod drzwiami cenny pakunek i wniósł go do środka, pilnując, by nie wydał najmniejszego dźwięku. Jednak kiedy położył go delikatnie, rozległ się brzęk.

I stało się dokładnie to, czego Polon tak się obawiał – drzwi do wszystkich pokoi w mieszkaniu otworzyły się jednocześnie i na wpół śpiący współlokatorzy wyrzeli na korytarz. Polon złapał swój cenny pakunek (na szczęście owinął go szarym papierem, żeby nikt ze studentów się nie domyślił, co jest w środku) i zaczął go nieść do pokoju. Wtedy zawartość paczki znów postanowiła się odezwać; rozległ się kolejny brzęk.

– Polon przyniósł piwo! – zawołał Radek, bezbłędnie identyfikując odgłos.

Nawet Polon był pod wrażeniem; do tego stopnia, że zapomniał się zezłościć. Żeby Radek potrafił rozpoznać rodzaj alkoholu po samym brzęku butelki? „No proszę, czegoś się jednak na tych studiach nauczył” – pomyślał Polon z podziwem. Nie wiedział, czy jemu samemu udałoby się taka sztuka.

Studenci, jak na hasło do ataku, rozkręcili imprezę. Ktoś skoczył piętro niżej i przykleił do drzwi sąsiadki z dołu zatyczki do uszu, ktoś włączył muzykę, a ktoś był już – lub jeszcze, zależy, jak na to patrzeć – pijany. Polon oczywiście stracił szybko zawartość całego pakunku i teraz upijał się powoli, na smutno, podczas gdy współlokatorzy klepali go z radością po plecach. Rozchmurzył się dopiero wtedy, gdy na hasło „piwo” ściągnęło jeszcze więcej studentów, przynosząc ze sobą wódkę. To, co zapowiadało się na zwyczajny, spokojny poranek, zaczynało się przeradzać w pełnowartościową imprezę. Sąsiedzi przyszli, by się poskarżyć na hałas, ale wystarczyła im godzina w studenckim towarzystwie, by w zgodnym, przyjaznym nastroju wrócili wężykiem do swoich mieszkań.

Radek, podskakując radośnie w rytm muzyki (ale nie roniąc ani kropli piwa z butelki), usilnie próbował sobie coś przypomnieć. To coś miało związek z Polonem, jednak nie bardzo kojarzył jaki. Jak przez mgłę przypominał sobie postać w niebieskim ubraniu... Policja? Zastanawiał się. Nagle klepnął się w głowę. No przecież, listonosz był i przyniósł rano jakąś pocztę dla Polona. Dobijał się tak długo, że pobudził prawie wszystkich lokatorów w mieszkaniu, a każdy, kto żyje po studencku z innymi studentami, wie, jaki to wyczyn. Radek pierwszy zwłókł się z łóżka, żeby zobaczyć, o co chodzi, ale listonosz tylko wręczył mu list i tyle go widział. Adresatem był Polon. No właśnie, Polon...

Zaczął szukać go wzrokiem, ale w mieszkaniu było zbyt wielu ludzi. Usłyszał za to jego głos na korytarzu – tłumaczył komuś zasady rosyjskiej ruletki po studencku. Radek pokręcił głową z dezaprobatą i poszedł po list. Gdy wrócił i przedarł się przez tłum, Polon dalej perorował:

– Więc widzisz, zasady rosyjskiej ruletki po studencku koniec końców są dosyć proste: idziesz do baru dla gejów i pozwalasz sobie stawiać drinki. Owszem, przy okazji można się napić za darmo... ale ryzyko znasz – objaśniał jakiejś dziewczynie.

Radek pomyślał, że jeśli chciał jej zaimponować, to wybrał najgorszy



możliwy temat. Odciągnął go dyskretnie, co nie było łatwe, ponieważ współlokator stawiał lekki opór, ale na hasło: „wódkę dają”, ruszył za nim ochoczo.

Gdy weszli do kuchni, Radek podał Polonowi list.

– Kto mógł mi tu przysłać list? – zdziwił się Polon. – Jest na kopercie nadawca?

– No... – powiedział Radek ostrożnie. – Nadawcą jest Biblioteka Uniwersytecka.

– Hej, no niby ostatnio jedna wkurzona bibliotekarka groziła, że mi normalnie rachunek wystawi za spanie na trzecim piętrze, ale chyba tego nie zrobili, co?

– Nie mam pojęcia – odparł Radek. – Ja nigdy nie dostałem listu z Biblioteki. Co tyś narobił, że aż listy za tobą ślą? I skąd mieli nasz adres? Podawałeś?

– Coś ty! Nigdy. Nawet nie wiem, jaki tutaj mamy kod pocztowy! – zarzekął się Polon. – Może to jakaś pomyłka?

– Zaadresowana poprawnie do poprawnej osoby, więc nie sądzę – wyraził opinię Radek.

Polon rozerwał kopertę i zbladł.

– Co się stało?

– Nałożyli na mnie karę biblioteczną. I to nie byle jaką – wyszeptał Polon zbieleńszymi wargami.

– Że co? Co to takiego kara biblioteczna?

– Do niedawna też nie wiedziałem. Poszukaj w *Vademecum Studenta*, tam to całkiem niezłe wytłumaczyli.

Weszli do pokoju Polona. Ktoś spał w jego łóżku, ale Polon niespecjalnie się tym przejął. Zrzucił delikwenta na podłogę. Ten zamruczał coś niewyraźnie i zaczął chrapać. Wytoczyli go na zewnątrz, żeby wrócił do zabawy albo żeby

przynajmniej inni studenci mieli zabawę jego kosztem, i zabrali się za szukanie najcenniejszej książki każdego prawdziwego studenta.

– Coś nie mogę jej znaleźć – zaraportował Radek, grabiąc notatki na podłodze.

– Niemożliwe, widziałem ją jeszcze miesiąc temu – powiedział zdenerwowany Polon. – Była gdzieś przy łóżku... O, no widzisz, jest! – Ucieszył się. – Użyłem jej jako podpórki pod szafę, bo mi się chybotąła i istniało ryzyko, że spadnie na mnie w nocy – przypomniał sobie.

– No wiesz, taką cenną książkę... – zaczął Radek, ale na widok miny współlokatora postanowił mu odpuścić. – No dobra, po prostu zobaczymy, co tam jest napisane – powiedział pojednawczym tonem, otwierając sfatygowaną książkę.

*Kara biblioteczna to element opresyjnego systemu bibliotecznego, skierowany przeciw studentom i obliczony na duży zysk. Dzięki niemu do uniwersytetu napływa wielki strumień pieniędzy, przy którym kasa płacona przez studentów za warunki jest śmiesznie małą kwotą. Nikt nie wie, na co wydawane są te pieniądze; jeden z wybitnych teoretyków studenckich wysnuł hipotezę, że przeznaczane są na papier toaletowy. Kara naliczana jest wtedy, kiedy student pożycza książkę do skserowania i zapomina ją oddać w terminie.*

Skonsternowany Radek trzymał przez chwilę książkę w rękach.

– Polon, przecież to są jakieś bzdury. Jak żyję, nie pamiętam, żebyś pożyczał książkę z biblioteki.

– No właśnie, a jednak mnie znaleźli – mruknął zmarkotniały Polon. – I wlepili taką kwotę, że nic, tylko kredyt studencki brać. Butelki muszę sprzedać – powiedział żałośnie.

– Moment. Jeśli kara biblioteczna jest naliczana wtedy, kiedy student pożyczy jakąś książkę, to niby jak mogli ci ją naliczyć? Przecież to bez sensu!

– Niby masz rację – przyznał Polon. – Ale ostatnio chodzą słuchy, że studentom naliczane są kary nawet bez pożyczania książek.

– Przecież ty nawet karty bibliotecznej nie masz! – zachnął się Radek. – Na co naliczyli ci tę karę? Na nieistniejące konto? – zirytował się. – Wiesz co? Ja bym

na twoim miejscu poszedł do biblioteki i spróbował to wyjaśnić.

– Wiesz co? A pójdę! Tylko nie dzisiaj, może jutro, gdy impreza się skończy. – Spojrzał na zegarek. – Widzisz, już dziewiętnasta, biblioteka jest nieczynna o tej porze.

– No dobra, w sumie masz rację – przytaknął Radek, po czym oddalił się, by spróbować zaimponować jakiejś dziewczynie opowieścią o rosyjskiej ruletce po studencku.

Wtedy jakaś postać wychynęła z tłumu i przybrała jego kształt. Coś, co wyglądało jak Radek, zapukało grzecznie do pokoju Polona. Potem weszło i powiedziało:

– Wiesz, myślę, że jednak trzeba się wybrać teraz.

– Coś ty się tak uparł? – zdziwił się Polon.

– Dzisiaj ty, jutro ja – odparło coś, co wyglądało jak Radek. – Studenci muszą trzymać się razem.

– Szczególnie wtedy, kiedy próbują wyrwać pannę – dogryzł mu Polon.

– Daj spokój, nie sądzisz chyba, że byłbyś w stanie wyrwać ją na studencką wersję rosyjskiej ruletki – zachnął się stwór. – Uratowałem cię od kompromitacji.

– Żebym ja cię za chwilę nie skompromitował – mruknął Polon, ale nie rozwijał tematu.

Opuścili jego pokoju i skierowali się do wyjścia z mieszkania. Musieli się przedrzeć przez tłum zebrany na korytarzu, bo jak na imprezę, która zaczęła się wcześniej rano (o jedenastej!), udała się bardzo dobrze. Kiedy przechodzili koło łazienki, drogę zastąpił im jakiś nieznajomy student z wiadrem na głowie.

– Nie przejdziecie! – zawył, wymachując przepychaczką do kibla.

Polon nigdy nie rozumiał idei przepychaczki. Był zagorzałym zwolennikiem benzyny. Kiedy zapychał się zlew, po prostu nalewał jej trochę do rur i podpalał – efekt natychmiastowy. Co prawda rury trzeba było wymienić, ale nikt nie mógł narzekać na ich drożność.

Widząc, że ma do czynienia ze studentem aspirującym do roli rycerza, Polon postanowił dostosować się do sytuacji.

– Cofnijcie się, szlachetny człowieku – powiedział uroczystym tonem.  
– Nasza przewaga zbyt wielka, byś radę nam dał.

– Ha! – krzyknął student-rycerz. – A czemu sądzicie, że takową przewagę posiadacie, waćpanie?

– Widziałeś pan, ileśmy wypili? – zapytał. – Cofnijże się albo z bełtów szyć będziem – ostrzegł, czując niebezpieczne podskoki żołądka.

Samozwańczy rycerz nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać; po takiej groźbie lepiej się wycofać. Wszedł więc przezornie z powrotem do łazienki, ustępując im z drogi.

– Dobra, to idziemy do biblioteki – powiedział Polon zdecydowanym tonem.

Na szczęście nie mieszkali daleko od uniwersytetu, a wieczorny spacer dobrze im zrobił. Polon myślał nawet, czy by nie wybrać się potem na jakąś imprezę z okazji zakończenia poprzedniej imprezy, ale naraz zdał sobie z czegoś sprawę.

– Ale my jesteśmy głupki! – Chwycił się za głowę.

– O co ci chodzi? – zdziwił się ktoś, kto wyglądał jak Radek.

– Jakim cudem wyjaśnię cokolwiek w bibliotece, skoro nikogo w niej nie będzie oprócz kilku śpiących studentów?

– No wiesz, wydaje mi się to dosyć proste – oznajmił autorytarnie prawie-Radek. – Po prostu wejdziemy do środka, rozejrzemy się, włączymy kompa i anulujemy ci karę w systemie.

– A znasz hasło do systemu? – zapytał Polon.

– No nie znam, ale spodziewam się, że dość łatwo je znajdziemy.

– Niby gdzie?

Prawie-Radek wzruszył ramionami.

– Nie mów, że nie zauważyłeś. Są na tych śmiesznych żółtych karteczkach przyklejonych do ekranu monitora.

– Skąd ty tyle wiesz o bibliotece? – mruknął podejrzliwie Polon.

Prawie-Radek nie odpowiedział. Machnął rękami i drzwi do biblioteki stanęły otworem.

– Dobra, Radek – powiedział Polon. – Robisz sobie ze mnie jakieś jaja?

– Ja nie jestem Radek – powiedziało coś, co wyglądało jak jego współlokator, i kontury jego ciała zaczęły się rozmywać. – Naprawdę oczekiwałeś, że twój współlokator będzie na tyle trzeźwy, by utrzymać pion po takiej imprezie?

– W sumie masz rację – przyznał Polon. – To było głupie z mojej strony. No więc dobra, przejdźmy do konkretów. Kim ty jesteś?

Kontury postaci, która jeszcze przed chwilą udawała Radka, nabrały ostrości i Polon stwierdził, że stoi przed nim wielka karta biblioteczna. Uszczypnął się w ucho, ale to nie podziałało. Stanął na jednej nodze i stwierdził, że jest średnio trzeźwy; nagle pion stał się zupełnie poziomy i student zorientował się, że spoczywa na gryzącej wykładzinie dywanowej, którą specjalnie położono w bibliotece, żeby studenci nie mogli w niej spać. Zrobiło mu się tak dobrze, swojsko. Zamknął oczy i już-już czuł, jak ogarnia go ten specyficzny, ukochany, biblioteczny sen, kiedy wielka karta biblioteczna pochyliła się nad studentem i wrzasnęła:

– Pobudka, Polon!

Burknął coś niezrozumiałego w odpowiedzi i przewrócił się na drugi bok.

– Jeśli mi pomożesz, nie tylko anuluję twoją karę, ale sprawię też, że nikt nigdy nie przerwie ci drzemki w bibliotece – obiecała wielka karta biblioteczna.

Polon od razu się obudził.

– Jesteś w stanie to zrobić? – zapytał. Oczy błyszczały mu z podniecenia.

– Oczywiście – odparła karta. – W końcu jestem bibliogrzykiem.

– Kim?

– Bibliogrzykiem, dobrym duchem bibliotecznym. Sprowadziłem cię dzisiaj tutaj po to, żebyś mi pomógł. Mam straszny problem – zwierzył mu się bibliogrzyk.

– Jaki? I dlaczego akurat ja muszę ci pomóc?

– No że akurat ty, to przez przypadek wyszło. Sprawdziłem, komu dowalili dodatkową karę biblioteczną, a ponieważ tobie dostała się największa, pomyślałem, że będziesz najbardziej zmotywowany. Zresztą jeśli ci się uda, to wszystkie nadprogramowe kary zostaną cofnięte.

– A więc to prawda... Teraz wszyscy dostają kary biblioteczne? Ale dlaczego?

– Widzisz, i tutaj dochodzimy do mojego problemu, który spowodował, że mamy właśnie taką, a nie inną sytuację – powiedział bibliogrzyk, unosząc się lekko nad ziemią. – Kilka miesięcy temu zaginęła książka. Niby nic nowego w bibliotece; tutaj książki, szczególnie cenne, giną nadspodziewanie łatwo, ale ja zawsze wiem, gdzie one są. W końcu jestem strażnikiem tej biblioteki. Problem polegał na tym, że kiedy ta książka zniknęła, nawet ja nie mogłem jej znaleźć.

– A ja miałbym ją znaleźć? Jakim cudem? O bibliotece wiem tylko tyle, że jest w niej cicho.

– Nie chcesz mi pomóc? – zdziwił się bibliogrzyk.

Polon przygryzł wargi.

– Chcę – odparł. – Tylko nie do końca wiem jak. Po prostu moja wiedza na temat biblioteki jest nikła, żeby nie powiedzieć: nieistniejąca. I z powodu jednej książki taka panika?

– Nie, nie, to nie tak. – Wielka karta biblioteczna zamachała rogami. – Widzisz, to był tylko pierwszy przypadek – tłumaczył. – Później zniknęła następna książka, a potem następna i następna, aż w końcu okazało się, że brakuje

nam około trzystu pozycji, których nawet ja nie umiem znaleźć. Moje królestwo się kurczy, a ja nie mogę temu zaradzić – żalił się bibliogrzyk.

– A masz jakieś podejrzenia, co mogłoby być przyczyną znikania książek?

– Pewne podejrzenia mam – przyznał bibliogrzyk. – Czasem się zdarza, że szukasz czegoś naprawdę ważnego, i wydaje ci się, że widziałeś to ledwie przed chwilą, ale to znika i nie możesz tego nijak znaleźć.

– Zdarza mi się to aż za często – powiedział Polon.

– No widzisz! – krzyknął stwór. – Więc wyobraź sobie, że czasem jest to sprawka różnego rodzaju niewidków.

– Czego? – nie zrozumiał Polon.

– Niewidków. – Bibliogrzyk był naprawdę cierpliwy. – Małe, złośliwe stworzonka, które chowają różne rzeczy tak, że nikt nie może ich znaleźć, jeśli się ich szuka. Mam wrażenie, że w mojej bibliotece załagł się Książek Niewidek.

– Ale mam delirium... – wymamrotał Polon, wracając na chwilę do rzeczywistości. Ta jednak, widząc, że jest pijany, wyrzuciła go na zewnątrz, z powrotem do alkoholowego świata.

– To nie delirium – powiedział pospiesznie bibliogrzyk. – Słuchaj, proszę cię, to naprawdę bardzo, bardzo dla mnie ważne. I dla ciebie też, pamiętasz? Ta kara biblioteczna...

– No właśnie, skąd się ona wzięła? To przez Książka Niewidka? – zapytał Polon.

– Hmm, i tak, i nie – odparł bibliogrzyk. – Jeśli nie znajdziemy ich do dzisiaj, będziemy musieli je kupić, więc bibliotekarze nałożyli na was wszystkie kary.

Polonowi bardzo nie spodobało się to, co właśnie usłyszał, ale postanowił nie komentować. W końcu jeśli tylko uda mu się znaleźć te książki, nie będzie żadnego problemu. No i wyśpi się w bibliotece za wszystkie czasy...

Nie bacząc na to, że jest ciemno, zaczął poszukiwania. „Skoro można je

znaleźć tylko wtedy, gdy się ich nie szuka, wzrok jest mi do tego zupełnie niepotrzebny” – pomyślał.

Trzy godziny później, zmęczony i pijany, miał już zupełnie dosyć. Bibliogrzyk, choć pomagał, jak umiał – serwując informacje na temat korytarzy i miejsc w bibliotece, o których Polon nie miał bladego pojęcia – nie zbliżyło ich to w ogóle do znalezienia zaginionych książek. Odwrócił się do bibliogrzyka, by powiedzieć, że nie potrafi mu pomóc, i właśnie wtedy poczuł ten szczególny, luby dla każdego studenta zapach. Nie, nie chodziło bynajmniej o alkohol w żadnej postaci. Rzucił się do korytarza bibliotecznego, z którego przyszedł.

– No przecież czuć to wyraźnie... – mrucał, biegnąc na czworakach przy ścianie i węsząc jak pies myśliwski.

– Co czuć? – zapytał bibliogrzyk, ale Polon uciszył go syknięciem.

– Nie chcę tego zgubić – odparł, opukując ścianę. – Szkoda, że nie masz studenckiego węchu, oszczędziłbyś sobie szukania i wzywania pomocy. Wiem już, gdzie mogą być twoje książki.

– No gdzie?

– Dokładnie za tą ścianą. – Polon pokazał miejsce, w którym zapach był najmocniejszy. Może znajduje się tutaj jakieś przejście... – Zapukał delikatnie w ścianę, która odsunęła się lekko.

– Ukryte przejście! – krzyknął podniecony bibliogrzyk. – Nic dziwnego, że nie mogłem znaleźć zaginionych książek, skoro nie było ich w bibliotece!

Polon pchnął mocniej ścianę; gdy ustąpiła, weszli z bibliogrzykiem do kryjącego się za nią pomieszczenia. Ich oczom ukazały się książki, ułożone w równych stosach.

– Skąd wiedziałeś, że tutaj będą? Wiem o każdym miejscu w tej bibliotece, ale o czymś takim nie miałem pojęcia!

Polon, zamiast odpowiedzieć, podszedł do najwyższego stosu. Na jego szczycie znajdowała się najgrubsza książka, jaką w życiu widział, głównie dlatego, że była wypchana kserówkami. Kserówkami! Polon czuł ich oszałamiający zapach. Ach, świeże kserówki, to jest to.... A gdy jeszcze kartki są ciepłe...



– To mnie tutaj przyprowadziło – powiedział z dumą Polon, wybierając świeżo skserowane kartki. – Są wczorajsze, ich zapach jest jeszcze bardzo mocny. Gdyby nie zostały włożone między kartki tej książki, w życiu byśmy tutaj nie trafili.

– Chcesz powiedzieć, że przywiódł cię tu zapach kserówek? – zdziwił się bibliogrzyk.

– To standardowy studencki zmysł – odparł Polon. – Przecież jako student musisz wiedzieć, gdzie szukać świeżych notatek.

– Rozumiem. No to teraz wystarczy tylko odnaleźć sprawcę tego zamieszania – powiedział ze złością bibliogrzyk, zmieniając swą postać.

Błyskawicznie przedzierzgnął się w starszą panią w okularach. Polon zdał sobie sprawę, że w zasadzie zawsze się widzi przynajmniej jedną taką staruszkę w każdej bibliotece. Chociaż po raz pierwszy widział, by się do kogoś uśmiechnęła. Pani Beatka, jak głosiła plakietka przypięta do staromodnego żakietu, zaczęła ostrożnie przekładać książki, aż w końcu wyciągnęła spomiędzy zakurzonych tomów małe, włochate stworzonko, które bezradnie machało łapkami w powietrzu.

– No to teraz cię wyrzucę – powiedział bibliogrzyk pod postacią pani Beatki, a stworzonko zapiszczało żałośnie.

– Chwila, bibliogrzyk, weź no poczekaj! – krzyknął Polon, ale natychmiast się opanował. – Znaczą, pani Beatko, co pani chce zrobić z tym stworzeniem?

– Jak to co? To przecież pasożyt, Książek Niewidek – odparła pani Beatka, poprawiając wielkie okulary. – Trzeba go wyrzucić.

– Nie wyrzucajcie mnie – zaskomlał Książek Niewidek, patrząc błagalnie na panią Beatkę.

– Aha, żebyś mi kolejne książki podwędził, tak? – zirytowała się staruszka. – Ja ci dam, łapy precz od moich książek, one są moje! I są bardzo cenne! – mówiąc to, wymachiwała niebezpiecznie stworkiem, jakby chciała nim rzucić o ścianę. – Ech, gdyby jeszcze ktoś chciał je czytać, zamiast kserować... – Westchnęła smutno. – Więc wylatujesz! – krzyknęła, przypomniawszy sobie o swoim gniewie.

Polon pomyślał, że skoro sprawy przybrały taki obrót, najwyższa pora reagować.

– Ależ chwila, momencik, pani Beatko – mitygował. – Przecież nie musimy wyrzucać Książka Niewidka. Wziąwszy wszystko pod uwagę, w zasadzie tylko pani jest zainteresowana książkami, choć wolałaby je pani bardziej rozpowszechnić wśród młodzieży akademickiej. No i oczywiście jest Książek Niewidek... Ale myślę, że możemy rozwiązać tę pożałowania godną sytuację z korzyścią dla obu stron.

Pani Beatka puściła stworzonko i skrzyżowawszy ręce na piersi, czekała, aż Polon wyłoży swoją propozycję.

– Słucham uważnie – powiedziała.

– A może by... przekwalifikować Książka Niewidka na kogoś innego? I zrobić to tak, żeby więcej studentów przychodziło do biblioteki czytać i pożyczać książki?

– Myślisz, że jest to możliwe? – spytała z nadzieją pani Beatka.

Polon przedstawił jej swój plan.

\*\*\*

Wracał do domu z obawą, że impreza już się zakończyła, ale na szczęście współlokatorzy go nie zawiedli i zrobili imprezę z okazji zakończenia poprzedniej imprezy. Polon, jako że nie był zbyt zmęczony, ochoczo przyłączył się do zabawy. Koło trzeciej nad ranem, poczuwszy zmęczenie, chciał się położyć spać, ale okazało się, że jego łóżko jest już zajęte, i to przez kilku studentów. Hałas towarzyszący dobrej zabawie wykluczał sen na korytarzu, więc Polon, pomny obietnicy bibliogrzyka, postanowił pójść się przespać do biblioteki.

Bibliogrzyk, pod postacią wielkiej karty bibliotecznej, wpuścił go od razu.

– Już ci tę karę anulowałem – powiedział konspiracyjnym szeptem.

– Dzięki. A teraz muszę się przespać, bo jestem wykończony...

– Akurat na trzecim piętrze nikogo nie ma – poinformował go bibliogrzyk.  
– W sam raz na spokojny sen.

Polon podziękował skinieniem głowy i zaczął wspinaczkę po schodach. Wszedł na trzecie piętro, położył się pod biurkiem i najwyczałniej w świetle zasnął.

Obudził się wczesnym rankiem – zegarek na jego telefonie wskazywał jedenastą trzydzieści. Poruszył się i od razu zaatakował go lekki ból głowy. „U, musiałem popić” – pomyślał Polon. „Tylko czemu spałem w bibliotece?”

Wydawało mu się, że w pijackim widzie z kimś rozmawiał, ale to było wykluczone; nikogo nie mogło być późnym wieczorem w bibliotece. Jakim cudem więc się tutaj dostał?

Wzruszył ramionami; najwyraźniej znalazł sposób. Zdarzało mu się budzić w różnych dziwnych miejscach, na przykład w cudzym domu, trzysta kilometrów od swojego mieszkania studenckiego; więc biblioteka wcale nie była taka zła.

Ostrożnie zszedł na dół, bo pracownicy biblioteki znajdowali się już na miejscu. Zajęci wielką stertą książek piętrzącą się na podłodze przy wejściu nawet go nie zauważyli. Tylko pani Beatka posłała mu uśmiech i mrugnęła do niego. Zaskoczony Polon zatrzymał się; miał nadzieję, że nie zrobił żadnych głupstw po pijaku. Uśmiechnął się niepewnie i ruszył do domu, licząc, że tym razem nie będzie już w mieszkaniu imprezy.

Kiedy dotarł na miejsce, większość studentów jeszcze spała, ale jakimś cudem jego pokój był już wolny. Polon odetchnął z ulgą. Jednak kiedy rozejrzał się po wnętrzu, odniósł jakieś dziwne wrażenie, że coś jest nie tak. Wszedł z pokoju i wszedł do niego ponownie. I znowu, i jeszcze raz, próbując zrozumieć, co się zmieniło.

Dopiero kiedy zdjął but i z przyzwyczajenia rzucił go na podłogę, usłyszał towarzyszący temu stuk. „To niemożliwe” – pomyślał i spojrzął na podłogę.

Wszystkie jego kserówki zniknęły!

Posłał w powietrze taki stek przekleństw, że obudził na chwilę śpiących w mieszkaniu studentów, a ten, kto próbował obudzić studenta po imprezie, wie, jaka to trudna sztuka. „A więc to prawda” – pomyślał. „To wszystko była prawda!”

Na podłodze leżała jedna, jedyna kartka. Znajdował się na niej jakiś napis, więc Polon podniósł ją i zaczął czytać. Literki dwoiły mu się w oczach, ale nie zrażał się. Notatka brzmiała:

*Dziękuję.*

Pod spodem był jeszcze tylko podpis:

*Kserówek Niewidek.*

## AZYMUT DOM

*Azymut dom to niezrozumiałe zjawisko studenckie, polegające na wychodzeniu z imprezy w jej najlepszym momencie. Wśród objawów znajduje się również udawanie różnych zwierząt, z reguły wyjących. Zjawisko niezwykle rzadkie, tajemnicze i trudne do zaobserwowania. Jego przyczyny pozostają nieznanne; jak dotąd nawet najodważniejsi studenci nie mieli ochoty zmierzyć się z problematyką tego schorzenia (nie do końca wiadomo nawet, czy jest to schorzenie). Najprawdopodobniej ma ono coś wspólnego z alkoholem, jako że objawy nasilają się po spożyciu.*

*W żadnym wypadku nie należy zatrzymywać studenta dotkniętego azymutem; istnieje poważna groźba uszkodzenia zarówno zatrzymującego, jak i zatrzymywanego. Bywało nawet, że studenci pozbawieni spodni uciekali z imprezy, bo dotknęła ich ta przykra przypadłość. Zostaliście ostrzeżeni.*

*Vademecum studenta, Rozdział 8, strona 74, wydanie poprawione i uzupełnione*

*Historia oparta na faktach.*

– I na tym właśnie polega mój problem – powiedział Radek.

Lekarz studencki nie słuchał, zajęty wypisywaniem zwolnienia z zajęć. Przyzwyczał się już do tego, że tak naprawę bardzo niewielu studentów szukało u niego pomocy medycznej, więc profilaktycznie zawsze wypisywał zwolnienie. Właśnie skończył standardową formułkę „Niezdolny do zajęć szkolnych do dnia...”, kiedy zorientował się, że student siedzący przed nim w ogóle nie wspomniął o zwolnieniu. Cholera. Trzeba było słuchać.

– Czy może mi pan powiedzieć, jakie są symptomy pańskiej choroby?  
– zapytał delikatnie.

– No widzi pan, panie doktorze – odparł Radek niepewnym głosem. – Za każdym razem, kiedy idę na imprezę, dostaję azymutu.

– Azymutu? – zdziwił się lekarz. W spisie medycznym nie figurowała podobna choroba, tego akurat był pewien. Jako lekarz studencki w ciągu miesiąca przerabiał wszystkie dostępne choroby, zwłaszcza gdy pacjent-student miał głowę

do udawania i sprawdził symptomy w Wikipedii. Raz przyszedł do niego student z rzekomym (albo prawdziwym) bólem głowy z przepicia i zarzekał się, że to na pewno klasterowy ból głowy. Gdyby zebrać wszystkich studentów z rzadkimi chorobami, okazałoby się, że wcale nie są takie rzadkie. Za to znikają jak rękę odjął, gdy studenci przestawali być studentami. Niemniej mimo dwudziestu lat praktyki niektórzy studenci wciąż potrafili go zaskoczyć, podobnie jak ten osobnik twierdzący, że cierpi na azymut.

– No, azymutu – powtórzył Radek, czerwieniejąc. – W najlepszym momencie imprezy nachodzi mnie nieprzeparata chęć, by udać się do domu. W najlepszym momencie imprezy! – Radek załamał ręce. – Co gorsza, towarzyszy temu pewne zezwierżenie – wyznał, rumieniąc się jeszcze bardziej.

Lekarz wychylił się do przodu, jakby usiłował wysondować, czy student nie robi sobie z niego żartów. Bywali i tacy. Ale ten wyglądał na autentycznie przejętego, w dodatku czerwienił się jak burak, kiedy opowiadał o swoim schorzeniu. I to zezwierżenie, no, no... W lekarzu obudziła się zawodowa ciekawość. „W końcu rzadko kiedy do twojego gabinetu przychodzi student cierpiący na azymut” – powiedział do siebie. „Wypytaj go dokładnie”.

– Więc pan nie chce zwolnienia z zajęć? – zapytał kontrolnie.

Radek pokręcił gwałtownie głową. To ostatecznie przekonało lekarza, że faktycznie może być potrzebna pomoc medyczna.

– Proszę mi powiedzieć więcej o tej chorobie – zachęcił studenta lekarz, sadowiąc się wygodniej na krześle.

– W zasadzie powiedziałem już wszystko, co o niej wiem. Nie pomogło mi nawet *Vademecum studenta*, ale to pewnie dlatego, że nie ma tam sekcji poświęconej chorobom. Jest tylko odsyłacz do hasła „lekarz studencki” – poskarżył się Radek.

– Doprawdy, cóż za tragiczne zaniedbanie – przyznał odruchowo doktor, choć nie wiedział, o czym mowa.

– Dlatego wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli pan doktor przyjdzie do nas na imprezę i sam sprawdzi – zaproponował niezobowiązująco Radek.

– Rozumiem, że chce pan, żebym pracował po godzinach? – zapytał lekarz.

Niby surowym tonem, ale oczy mu się śmiały.

Na medycynie nie miał czasu na zabawę, więc specjalnie został lekarzem studenckim, żeby używać życia. Studenci regularnie zapraszali go na imprezy, a on skwapliwie z tego korzystał.

Radek zmieszał się nieco.

– Ja rozumiem, panie doktorze – bąknął. – Ale to naprawdę dla mnie ważne... No i winem się własnej roboty podzielę – kusił. – Niech pan tylko przyjdzie dzisiaj wieczorem pod ten adres. – Napisał coś na karteczce, którą wręczył lekarzowi. Ten skwapliwie schował karteluszek do kieszeni fartucha i obiecał:

– Przyjdę.

\*\*\*

Pan doktor grzecznie zapukał do drzwi; w ręce trzymał siatkę pełną wszelkich dóbr: od standardowego zero-siedem do nie mniej standardowego wina. Po chwili zorientował się, że z powodu hałasu nikt nie usłyszał jego pukania, więc zadzwonił kilka razy.

Drzwi się otworzyły; w szparze pojawiła się uśmiechnięta twarz, a po chwili usłyszał konspiracyjny szept. Wsłuchał się, kilka razy padło słowo „sąsiad”. Odchrząknął więc i delikatnie zapukał ponownie, nie zważając na zdziwione spojrzenia.

– Mogę wejść? – zapytał. – Ja na imprezę...

Studenci odetchnęli z ulgą. Wszystko w porządku, nie trzeba delegować specjalnej grupy do spraw upijania sąsiadów.

– Jasne, proszę wejść – powiedział jeden ze studentów, którego lekarz rozpoznał, bo często przychodził do niego po zwolnienia. Jak mu tam było...  
Poloński!

– No, dajcie panu doktorowi przejść, przecież widzicie, że swój – zakomenderował Polon, roztrącając pijących studentów. – Co pan obstawia?  
– zapytał.

– Słucham? – zdziwił się lekarz.

– No co pan obstawia – powtórzył Polon, po czym przypomniał sobie, że z lekarzem jeszcze nie imprezował, od czasu kiedy Radek dostał azymutu. – No mam takiego współlokatora, który dostał azymutu. Zawsze próbujemy go powstrzymać przed wyjściem, ale on jest wtedy zwierzęciem. Tylko nigdy nie wiemy, jakim zwierzęciem będzie, gdy go azymut dopadnie, więc zrobił się taki mały zwyczaj, żeby obstawiać. To musi być coś wyjącego. Ostatnio był lew morski, nikt nie wygrał, bo nikt się tego nie spodziewał. No to jak?

– Ale jak to: jest zwierzęciem? – zapytał zszokowany lekarz.

– No kiedy próbujemy go powstrzymać przed pójściem do domu, wyje i zachowuje się jak zwierzę – wyjaśnił Polon. – Po odgłosie poznajemy, jakie to zwierzę, chociaż tu jest czasem spore pole do interpretacji. Na szczęście mamy kolegę zoologa, który nam pomaga. Zdarza się, że jest dżdżownicą, wtedy nie wyje, ale to rzadki przypadek.

– Stawiam dwa piwa na krowę – powiedział pewnie lekarz, wręczając butelki Polonowi. – A co to znaczy, że jest dżdżownicą?

– To znaczy, że tyle wypił, że może się już tylko czołgać – odparł Polon.

– A kiedy to się zaczęło? – W lekarzu ponownie obudziła się zawodowa ciekawość.

– Trudno powiedzieć. Z początku myśleliśmy, że to jakaś zemsta sąsiadki z dołu, więc zaczęliśmy podrzucać śmieci na wycieraczkę sąsiadom piętro wyżej – opowiadał Polon. – Ale to nie to. Potem myślałem, że to niedobór alkoholu, ale okazało się, że im więcej Radek pije, tym gorsze ma objawy.

– A próbował nie pić? – zapytał lekarz.

– Co też pan! – zachnął się Polon. – Być na imprezie i nawet się nie napić?

– Przecież można się dobrze bawić bez picia – zauważył lekarz.

– No można – przyznał Polon. – Ale tylko kosztem innych. No dobra, niech się pan rozgości. Jak się zacznie, damy znać – obiecał, puszczając do niego oko.



Zaczął się o wiele wcześniej, niż ktokolwiek przypuszczał.

– No nie, jeśli to jest najlepszy moment imprezy, to wybraliśmy dzisiaj złą miejscówkę. – Polon załamał ręce, patrząc na Radka. – To już azymut? O tej porze?

Pijany Radek czołgał się w stronę wyjścia. Ręce przyłożył do tułowia i niczym wielka gąsienica zdecydowanie pełził po podłodze ku drzwiom.

– Może go, wiecie, hm, zatrzymamy? – zaproponował lekarz.

– Myśli pan, że nie próbowaliśmy? Aleś odwalił – burknął do czołgającego się Radka. – Dzisiaj miało być jakieś zwierzę parzystokopytne! A ty odstawiasz dżdżownicę. Pomyśl też czasem o innych, którzy piwo na ciebie postawili, dobra? – Głos Polona był pełen wyrzutu.

– A gdyby tak... – zaczął lekarz, zastanawiając się nad czymś. – Skoro to jest zła miejscówka, może trzeba wybrać inną. Kto idzie na inną imprezę?

Radek, jak na zawołanie, wstał z podłogi.

– Ja! – zawołał, zdziwiony, że jest w stanie wołać. Przecież jeszcze przed chwilą był dżdżownicą...

– Hej, zobaczcie, on zupełnie wytrzeźwiał. – Polon zbliżył się do współlokatora. – Znaczy, możemy iść na lepszą imprezę! – ucieszył się.

– Ale jakim cudem dałem radę wstać, ot tak, po prostu? – nie pojmował Radek.

– Mnie to wygląda na jakąś klątwę – zaopiniował Polon, wyciągając sfatygowany egzemplarz *Vademecum Studenta*.

– Daj spokój, sprawdzałem tę książkę już kilka razy. – Radek westchnął ciężko. – I nic tam nie znalazłem na temat choroby o nazwie „Azymut Dom”.

– Może to jest choroba studencka... – wysnuł przypuszczenie lekarz. – Choć wydaje mi się, że twój kolega ma rację. To wygląda na klątwę.

– I pan, lekarz, człowiek światły, mówi mi, że istnieje coś takiego jak klątwa? – zdumiał się Radek.

– Hej, nie bez przyczyny studia nazywa się magicznym okresem – odpowiedział lekarz. – Poza tym przez dwadzieścia lat praktyki lekarskiej widziałem już tyle, że nic mnie nie zdziwi.

– Zaraz, moment. – Polon spojrzał na lekarza. – Dwadzieścia lat praktyki? Jakim cudem? Przecież pan wygląda, jakby dopiero co skończył studia!

– To dlatego, że mentalnie na nich zostałem – przyznał się lekarz, zawstydzony nieco. – Albo zakonserwowałem się w alkoholu, którym nieustannie jestem raczony na waszych imprezach. To najbardziej prawdopodobna opcja. Przypomnij sobie – zwrócił się do Radka. – Nie zdarzyło ci się ostatnio wypić lub zjeść coś naprawdę dziwnego?

– No... jadłem półroczne kotlety, ale były z zamrażarki, więc spoko. No wie pan, skoro mamuty, które zamarły, można jeść po tylu tysiącach lat, to co tam takie kotlety.

– Myślę, że kotlety były w porządku jak na studencki żołądek – potwierdził lekarz. – Chociaż normalnego człowieka pewnie by zabiły.

– Nie no, były spoko, zresztą ja też je jadłem – oświadczył Polon. – I nic mi nie jest. To musi być coś innego.

– Jadłeś moje kotlety? – Radek spojrzał na kolegę podejrzliwie. – Podpieprzyłeś mi jedzenie?

– No tak – przyznał ze wstydem Polon. – Ale jeśli poprawi ci to humor, to powiem też, że bardzo szybko je zwróciłem.

– Pewnie wzięłeś te starsze, sprzed dwóch lat...

– Trzymasz kotlety w zamrażarce dwa lata?! – wykrzyknął zszokowany lekarz.

Radek wzruszył ramionami.

– Nie chciało mi się ich wyrzucać. No i leżały sobie...

– Więc może jednak zawiniły te kotlety? – zasugerował Polon.

– Wykluczone! – zachnął się Radek. – Inaczej miałbyś jeszcze gorsze symptomy niż ja.

– Hej, Radek, a pamiętasz, jak robiłeś wino bananowe? – zapytał Polon.

– No, pamiętam.

– To, którego nikt nie chciał pić?

– Nie wiem, co wam nie pasowało w moim winie – zaperzył się Radek.  
– Przecież je nawet wzmacniałem, żeby było lepsze!

– No tak, ale spirytus, który kupiłeś, był podejrzanie tani – przypomniał mu Polon.

– No ale wino było dobre! Wiem przecież, w końcu sam je całe wypilem.  
Oj...

Radek właśnie zdał sobie sprawę, że spirytus mógł być tani nie bez powodu.

– No widzisz – zauważył lekarz. – Ten spirytus mógł spowodować twoje kłopoty. Moim zdaniem sprawa jest bardziej dla księdza niż dla mnie. – Zarzucił płaszcz na ramiona. – Myślę, że trzeba działać natychmiast. No, chłopaki i dziewczyny, to my idziemy do akademca. Ty, Radek, wracaj do domu. Razem z Polonem coś wymyślicie.

Wyszli z mieszkania. Rozbawiona grupa, z lekarzem na czele, udała się do imprezowni, niekiedy błędnie nazywanej akademikiem.

– No i proszę, teraz jeszcze muszę cię niańczyć – burknął Polon, schodząc po schodach. – Skoro to klątwa, trzeba ją odczynić. Masz szczęście, że nie musimy wzywać żadnych księży, w końcu jestem kapłanem.

– Ty? – Radkowi nie mieściło się to w głowie. – Kapłanem? Niby jakiej religii?

– Jak to jakiej? Studenckiej oczywiście! Pomyśl tylko: jesteśmy jedyną

grupą społeczną czczącą jedzenie. Każdy student jest sam dla siebie kapłanem, nie wiedziałeś?

– Zamierzasz wypędzić ze mnie złego ducha przy pomocy spaghetti?

– Już bez przesady, nie ma powodu marnować jedzenia. Użyjemy bardziej drastycznych środków.

– To znaczy?

– Musimy kupić zero-siedem, a potem odprawię nad nią rytuał – powiedział uroczystym tonem Polon.

– Jak znam życie, ów rytuał to picie – mruknął smętnie Radek.

– Oj, jakiś ty drobiazgowy... Nie martw się, przecież się z tobą podzielę, nie zamierzam sępić. – Polon wzruszył ramionami.

Weszli do sklepu i zakupili rzeczy niezbędne do odprawienia egzorcyzmu.

– Nie bój nic, zajmę się tobą – uspokajał kolegę Polon, chwytając za siatkę z zakupami.

– I to mnie właśnie martwi – odparł zrezygnowany Radek.

Po powrocie do mieszkania Polon usadowił Radka na krześle.

– Spokojnie, zaraz cię wyleczymy – powiedział. – Szkoda tylko, że nie będzie już można zakładów obstawiać...

– No wiesz co! – Radek omal się nie obraził.

– Hej, daj spokój, żartowałem przecież – skłamał Polon, otwierając wódkę.  
– No dobra, posłuchaj: skropię cię tą wódką i powinno być w porządku.

– I to wystarczy? – nie dowierzał Radek. – A na jakiej zasadzie miałyby to działać?

– Silniejszy alkohol wyprze słabszy – wyjaśnił Polon.

– Tak, zgadzam się, ale to był spirytus!

– Rozcieńczony w winie, przypominam ci. Zwykła wódka powinna wystarczyć, bo jeśli nie, to mamy kłopot. No dobra, to idę po jakieś kropidło.

– Przecież nie mamy żadnego kropidła w domu.

– Eee, miotła wystarczy.

– Rany, byłbyś strasznie kiepskim księdzem – zauważył Radek.

– Nie chcesz mojej pomocy, to sam się skrop wódką! – Teraz Polon omal się nie obraził.

– No dobra, dobra – rzucił pojednawczo Radek; wiedział, że jego współlokator jest bardzo czuły na punkcie swoich umiejętności. – Nie kłóćmy się.

Polon, nieco udobruchany, wrócił po chwili z kuchenną zmiotką. Ceremonialnie otworzył wódkę, pociągnął z gwinta, żeby sprawdzić, czy jest odpowiedniej jakości, pomlaskał i skinął przyzwalająco głową. Radek podstawił zmiotkę, Polon delikatnie polał ją alkoholem, następnie chwycił za rączkę i skropił kolegę wódką.

Nic się nie stało.

– Kurde, Polon, coś skopałeś...

– Niby co? A skąd wiesz, że azymut ci nie przeszedł?

– No nie wiem – przyznał Radek.

– Więc musimy zrobić szybko jakąś słabą imprezę.

– Czemu słabą? – zdziwił się Radek.

– Żebyś szybciej dostał azymutu.

– No dobra, to zgarniamy któregoś ze współlokatorów i pijemy – zdecydował Radek, mając nadzieję, że teraz nie będzie musiał się borykać z azymutowym problemem.

Kilkanaście godzin później, pijani w sztok, przypomnieli sobie, że nie potrafią robić kiepskich imprez. Dopiero kiedy wyszli za próg i chcieli udać się do akademika, Radek dostał azymutu. Ponieważ drzwi do mieszkania były już zamknięte, wspiał się na parapet, a stamtąd na dach. Polon nawet nie próbował go ściągać.

– A dzisiaj, proszę państwa, człowiek-pająk – powiedział, wyjmując flaszki ze wspólnej puli. – Nikt nie wygrał, pula do podziału!

Wrócili do mieszkania; Radek był już w środku. Wszedł przez okno w kuchni, które ktoś przez przypadek zostawił otwarte. Dopiero kiedy znalazł się w środku, zapadł w słodki sen z głową w zlewie.

– Cholera, a jednak nie wypędziłem z niego tego azymutu – mruknął do siebie Polon, odkręcając kran i polewając współlokatora wodą. – Ciekawe, kiedy się obudzi.

Ze środka zlewu dobiegało bulgotanie. Jakaś w miarę jeszcze trzeźwa część umysłu Radka doszła do wniosku, że coś jest nie tak i zaczęła stawiać ciało studenta do chwiejnego pionu. Zadziało na chwilę; Radek szarpnął się, obryzgując wszystkich naokoło wodą, po czym klapnął na podłogę.

– Zawsze zastanawiałem się, co będzie, jeśli uda mu się wejść do mieszkania pod wpływem azymutu – powiedział Polon.

Nagle w bezwładnych rękach Radka zmaterializowały się dwie butelki spirytusu.

– O cholera – wyrwało się Polonowi. – Chłopaki, nie ruszajcie tego – ostrzegł. – Jeśli to wypijecie, was też dotknie azymut.

Współlokatorzy stali w bezruchu, wbijając chciwy wzrok w dwie butelki spoczywające w dłoniach Radka.

– Ani się ważcie! – warknął Polon. – Koniec imprezy, dziękuję, dobranoc!

Wypchnął ich z kuchni.

– No dobra, Radek, tym razem nam się uda. Skoro ten spirytus to zły duch,

trzeba go wypędzić czymś jeszcze gorszym.

Wyszedł na chwilę i wrócił ze szklanką mętnej alkoholowej cieczy.

– No dobra, Radek – powiedział poważnym tonem. – Jeśli to nie zadziała, to nie mam pojęcia, co może zadziałać. Masz, pij. – Ostrożnie wysunął jedną z butelek spirytusu i wepchnął naczynie w bezwładną dłoń współlokatora.

Kiedy Radek poczuł w dłoni szklankę, wyrobiony przez lata odruch studencki kazał mu ją podnieść do ust. Powąchawszy, uznał, że pił już gorsze rzeczy.

Mylił się.

Po pierwszym łyku poczuł, jak przez całe jego ciało przebiegają skurcze. Wstał gwałtownie, tłukąc i szklankę, i butelkę spirytusu. Westchnął cicho, bo widok był straszny, po czym przypomniał sobie, co właśnie wypił. Wystawił język i zaczął się po nim drapać, po czym ze zdumieniem stwierdził, że z ust wystaje mu szyjka butelki. Polon wyciągnął ją i stłukł o lodówkę.

– No – powiedział dumny z siebie. – To azymut masz z głowy. Tylko nie kupuj więcej podejrzenie taniego spirytusu. Ten był przeklęty i dało się go wypędzić tylko czymś o wiele paskudniejszym.

– To coś ty mi dał do picia? – jęknął Radek, odkręcając zlew i łapczywie pijąc wodę prosto z kranu. Ale nawet to nie zabiło paskudnego smaku.

Polon wzruszył ramionami.

– Jak to co? Po prostu poszedłem po szklankę twojego wina...

## RADEK I POLON JADĄ DO ANGLII

**Część pierwsza, w której Radek i Polon w okolicznościach smutnych mieszkanie studenckie opuszczają.**

*Obowiązkiem każdego szanującego się studenta jest wyjazd do pracy za granicę w trakcie studiów. Należy uczynić to przynajmniej raz, choć nikt nie wie dlaczego. Grupa naukowców z Wyższej Szkoły Otwierania Piwa wysunęła przypuszczenie, że dzieje się tak z powodu odwróconych ciągów przyczynowo-skutkowych, mianowicie przyjazd studentów powoduje określone wydarzenie, tyle że to wydarzenie ma miejsce, zanim jeszcze studenci przyjadą. W związku z tym większość studentów nagle i zupełnie bez powodu odczuwa silną potrzebę udania się za granicę; splątana czasoprzestrzeń po prostu wymaga, żeby się tam znaleźli, aby wydarzenie, które już miało miejsce, mogło się wydarzyć.*

*Naukowcy z WSOP nie odważyli się jednak sprawdzić, co nastąpi, jeżeli student powstrzyma się od wyjazdu. Chodzą słuchy, że wtedy przez świat ruszą Czterej Jeźdźcy Studenckiej Apokalipsy: Egzamin, Poprawka, Warunek i Komis. Dlatego uprasza się wszystkich studentów: kiedy poczujecie przemożną, zupełnie nieuzasadnioną chęć wyjazdu, uczynicie tak czym prędzej. I wracajcie jak najszybciej, uniwersytet nie śpi...*

*Vademecum Studenta, rozdział 7, strona 89*

– Newton, ale z ciebie maruda – mruknął Polon. – Wiesz przecież, że każdy student musi wyjechać na saksy, nie można tego uniknąć. Anglik już tam przecież siedzi, nawet obiecał, że załatwi nam pracę!

– Nie jadę – upierał się Newton, splatając ręce na piersi. – Mam poprawkę i muszę się do niej przygotować – skłamał.

– A kto się uczy do poprawek? – zdziwił się Polon. – Weź nie żartuj, my już z Radkiem jesteśmy gotowi, bilety wykupione. A ty co, zamierzasz całe wakacje w bibliotece siedzieć?

– No w końcu tutaj teraz mieszkam – odpowiedział butnie student. – Zmienili wykładzinę na trzecim piętrze i od tego czasu śpi się o wiele wygodniej. Poza tym przecież mnie nie wyrzucą, skoro wiem lepiej niż bibliotekarze, gdzie są



konkretne książki – szepnął konspiracyjnie.

– To dlatego, że je wciąż przekładasz, żeby nie mogli ich znaleźć – odparł Polon.

– To już inna sprawa – rzucił Newton z cwany uśmiechem.

– Newton, nie rób sobie jaj. – Polon wspinał się na wyżyny swoich umiejętności dyplomatycznych. – Po prostu z nami pojedź.

– Nie robię sobie jaj, zwyczajnie nie czuję potrzeby wyjazdu za granicę – upierał się Newton.

– Jesteś pewien?

– No tak, przecież nie trzeba jechać za granicę, jeśli nie czuje się takiej potrzeby, prawda?

– Niby tak – zgodził się Polon. – Ale wiesz, skoro mamy już bilety i w ogóle, to mógłbyś się z nami zabrać. W końcu też miałeś wykupiony bilet, nie?

– No mógłbym, ale wtedy bym stracił miejsce w bibliotece. Wiesz, ile osób chce w niej teraz mieszkać? Gdybym ją opuścił na dwa miesiące, musiałbym potem wynająć sobie gdzieś pokój. A bilet odsprzedałem z zyskiem, więc stratny nie jestem.

Ta argumentacja trafiła do Polona. Sam kiedyś mieszkał w bibliotece i pamiętał, jak trudno było tam o miejsce.

– No dobra – zgodził się. – To pojedziemy sami.

Odwrócił się i rzucił zdziwione spojrzenie dwóm uważnie przyglądającym się mu wykładowcom, którzy z nieznanych bliżej przyczyn nagle postanowili się przyczołgać za półkami. Jeden z nich nonszalancko gwizdał, a drugi wyglądał, jakby próbował się schować za tomikiem poezji. Studenta to nie dziwiło – wszak nie takie rzeczy widział na uniwerku – wzruszył tylko ramionami i wyszedł z biblioteki.

– Czy sądzi pan, panie profesorze, że istnieje możliwość, iż zostaliśmy właśnie zauważeni? – zapytał pan doktor pana profesora.

– Uważam to za absolutnie wykluczone, panie doktorze – odparł profesor, usiłując skryć się za tomikiem poezji. – W końcu przeczytałem traktat o ukrywaniu się, więc z pewnością daliśmy sobie radę.

– Może podejść do niego i zapytam, czy nas zauważył? – zapytał doktor.

Profesor rozważał przez chwilę taką opcję.

– Myślę, że wtedy mógłby nabrać podejrzeń, ale pewności nie mam – odparł, przesuając tomik poezji nieco wyżej. – Ale przezorny zawsze ubezpieczony.

– Słusznie. – Doktor spojrzał z podziwem na profesora.

– Nie możemy narażać naszego planu. – Profesor wyciągnął z kieszeni małe urządzenie.

– Cóż to takiego? – zapytał wiedziony zawodową ciekawością pan doktor.

– To jest nasze najnowsze urządzenie – oznajmił dumnie pan profesor. – Neutralizator potrzeby wyjazdu za granicę. Teraz możemy trzymać ich na uczelni cały rok!

– Genialne. – Doktor był pełen podziwu.

– Czy może w czymś panom pomóc? – zapytała bibliotekarka, podchodząc do wykładowców, którzy niemalże podskoczyli w miejscu.

– Yyy, nie, dziękujemy, już znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. – Zaskoczony profesor pomachał jej przed twarzą tomikiem poezji, za którym ukrywał się do tej pory.

– Rozumiem. – Bibliotekarka obrzuciła wykładowców badawczym spojrzeniem, po czym oddaliła się w sobie tylko wiadomym kierunku.

– Jak ona nas znalazła? – Doktor wydawał się zdenerwowany.

– Pewnie też przeczytała ten traktat. Wiedziała, jak nas szukać – wyraził swoje przypuszczenie profesor.

– Pewnie tak. – Doktor podrapał się po głowie.

– Ale teraz lepiej stąd chodźmy, zanim student się zorientuje, że mamy go na celowniku.

– Oczywiście, panie profesorze.

Newton ze zdumieniem obserwował, jak para szanowanych wykładowców skacze od półki do półki, cały czas rzucając mu spojrzenia, które tylko przy maksimum dobrej woli można by nazwać umiarkowanie ukradkowymi. Student postanowił nie reagować; ostatnio wykładowcy stawali się przy nim strasznie spięci, co też skrupulatnie wykorzystał od zaliczenia wszystkich przedmiotów.

Podszedł do półki, przy której stali wcześniej nauczyciele, i podniósł upuszczony przez nich tomik poezji. Przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

Miał wycięte dziury na oczy.

\*\*\*

Gdzieś w mitycznych głębinach uniwersyteckich szatni odbywała się tajna narada. Już samo zaproszenie na nią stanowiło nie lada zaszczyt, a dotarcie na miejsce graniczyło z bohaterstwem. Trzeba się bowiem było przedrzeć przez dżunglę zapomnianych kurtek, uniknąć spotkania z drapieżnymi płaszczami i nadziania się na sprytnie ukryte haczyki. Zabieranie ze sobą maczet i kompasów było dozwolone, a nawet wskazane – w końcu nikt nie chciał podzielić losu profesora historii, który postanowił sprawdzić, jak daleko sięga ta dżungla i czy uda mu się odnaleźć najstarszą kurtkę. Ponoć włożenie jej gwarantowało wieczną młodość. Była to tylko legenda, niemniej z jej powodu niegdyś urządzano wyprawy i ekspedycje. Profesora nigdy nie odnaleziono i ostatecznie zarzucono eksplorację szatni, gdyż obawiano się dalszych strat w ludziach.

Dlatego kiedy rektor w końcu dotarł na miejsce, odetchnął z ulgą. Zobaczył grupę ponurych postaci stojących wokół ogniska. Wyciągnął przed siebie rękę, spodziewając się, że za chwilę spadnie deszcz, znaczy zadziałają spryskiwacze przeciwpożarowe. Dopiero po chwili zorientował się, że miejsce spotkania jest o wiele dalej, niż odważył się wejść monter instalacji przeciwpożarowych. Uśmiechnął się. To było dobre miejsce; gwarantowało dyskrecję.

– Będzie czym zgasić to ognisko? – zapytał zaraz po przywitaniu. Nie chciał,

żeby przez przypadek spalił się kawał uniwersyteckiej dżungli. Ekolodzy mogliby mieć do uniwersytetu słuszne pretensje.

– Będzie, niedaleko stąd pękła rura i płynie mały strumyk – odparł jeden z wykładowców grzejących się przy ognisku.

– Skąd wzięliście drewno? – Rektor patrzył zdumiony na stos polan leżących w stercie nieopodal.

– Jakaś poprzednia ekspedycja ścięła kilka wieszaków i zostawiła je na później – usłyszał w odpowiedzi. – My też musieliśmy to zrobić. Znaleźliśmy kilka starych wieszaków, co prawda trochę zdziczały i się rozrosły, ale daliśmy radę.

– Cieszę się – skwitował rektor, po czym postanowił przejść do rzeczy. – Słuchajcie! Udało nam się powstrzymać studenta przed wyjazdem do pracy za granicę.

Rozległy się zduszone krzyki; wiadomość była tak niesamowita, że początkowo nikt nie chciał w nią uwierzyć.

– Wiecie oczywiście, co to oznacza – kontynuował rektor.

– Panie rektorze, ale czy to na pewno już czas? – zapytał nieśmiało dziekan ds. studentów. – Wciąż jesteśmy w fazie eksperymentalnej naszego projektu. Poza tym filia uniwersytecka za granicą może się najnormalniej w świecie nie utrzymać. A gdybyśmy zamiast tego przeznaczyli więcej studentów niż zwykle do odstrzału, żeby wydawało się, że mamy wysoki poziom, a oni niech pobiorą warunki. Wydaje mi się, że w ten sposób o wiele łatwiej sfinansujemy remont.

Rektor poczerwieniał na twarzy.

– Jak pan śmie, panie dziekanie, sugerować takie rzeczy? – wykrzyknął tak głośno, że aż spłoszył stadko zapomnianych czapek, które poderwało się z najbliższej linii wieszaków i poleciało w stronę szemrzącego strumyka. – Przecież doskonale zdaje pan sobie sprawę, że to nasza szansa na podbicie rynków zagranicznych, na zdobycie jeszcze większej liczby studentów, którzy w dodatku będą przyzwyczajeni do tego, że za naukę się płaci! Nie od warunku, przypominam! Co miesiąc! Regularne wpłaty! – Wyrzucił rękę w powietrze.

– Ma pan na myśli... – zaczął nieśmiało dziekan wydziału matematyki.

– Anglię! – uzupełnił rektor; oczy mu się śmiały. – Jeśli nam się uda, funduję każdemu wydziałowi nowe windy! A do tego kupimy nowy budynek.

– Nowy budynek? – zdziwiła się pani prodziekan. – Ale po co?

– A no właśnie... – Rektor się uśmiechnął. – Brakuje wam wizji! Widzicie, niegdyś w centrum znajdował się szpital psychiatryczny. Obecnie budynek jest opuszczony, nikt się nim nie interesuje, więc można go kupić za bezcen.

– Świetny pomysł, tylko co będziemy tam robić? – dociekał jeden z wykładowców, nie rozumiejąc śmiałej wizji pryncypała.

– Jak to co? Odnowimy go troszkę, żeby się nie sypał za bardzo, i urządzimy tam sale egzaminacyjne – tłumaczył podekscytowany rektor. – Wyobrażacie sobie możliwości odstrzału w takim otoczeniu?

– Przybędzie warunkowiczów... – rozmarzyła się pani prodziekan.

– A ile pieniędzy będzie... – powiedział z uznaniem jeden z profesorów. – Ten budynek to świetna inwestycja!

Rektor wznosił ręce w dramatycznym geście, tym samym przerywając potok głosów. Ku jego zdziwieniu zerwał się wiatr; najwyraźniej jeden ze starych wentylatorów, kierując się dobrym wyczuciem chwili, zaczął nagle działać na najwyższych obrotach. Z ziemi podniosła się gruba warstwa kurzu, kilka szali spadło z wieszaków i odpęzło w ciemność, posykując cicho.

– Słuchajcie – zaczął z patosem rektor. – Czy jesteście za wprowadzeniem w życie naszego planu? Kto jest za, niech podniesie rękę!

Wszyscy wykładowcy jak jeden mąż podnieśli ręce. Niektórzy nawet podnieśli dwie, chcąc w ten sposób pokazać swoje oddanie dla sprawy.

– Cieszę się niezmiernie. – Uśmiech wpłynął na twarz rektora i już tam pozostał. – Myślę, że to nasza szansa! W końcu uda nam się nie tylko zarobić na nowy budynek, ale też zmusić wszystkich studentów do nauki! Czy ktokolwiek może nam w tym przeszkodzić?

\*\*\*

– Polon, czy ty zamierzasz się w ogóle spakować? – zapytał współlokatora Radek, wnosząc wielką walizkę na korytarz.

– Słucham? – nie zrozumiał Polon. – Spakować się?

– No wiesz, żeby zebrać swoje rzeczy, dorzucić jakieś ciuchy robocze, a nuż załapiemy robotę na jakiejś budowie.

– W sumie masz rację, w końcu by już wypadało.

– No, za piętnaście minut mamy autobus na lotnisko – przypomniał z powagą Radek. – A jeszcze nawet nie wypiliśmy wina na drogę.

– O rany, to już pora na wino? – Polon dał się zaskoczyć.

– Już po dwunastej, można pić mocniejsze alkohole – poinformował go Radek.

– No dobra, dawaj to wino i się pakujemy.

Dwie minuty później Radek odstawił pustą butelkę na półeczkę. Polon otworzył torbę, a potem zaczął chwycić przypadkowe rzeczy i ładować je do środka.

– Polon, co ty wyprawiasz?

– No przecież to oczywiste – zachnął się student. – Po co mam ją pakować porządnie i z namysłem, skoro i tak nie dotrze na miejsce?

– A może tanie loty zrobią nam niespodziankę i tym razem dostaniemy nasz bagaż? – zauważył z nadzieją Radek.

– Może po miesiącu. – Polon nie miał złudzeń.

– To po co w ogóle pakujesz tę torbę?

– No wiesz... gdybym poszedł na lotnisko bez bagażu, czułbym się nieprzygotowany do podróży.

Radek widział pewną lukę w rozumowaniu kumpla, ale postanowił go pozostawić w błogim stanie niewiedzy. Prawdę mówiąc, Polon przebywał w nim, od kiedy zaczął studia, więc Radek i tak niewiele by wskórał. Wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju. Musiał zabrać swoją torbę.

– Gotowy? – zapytał współlokatora po kilku minutach.

– Gotowy.

Polon z żalem spojrział na górę notatek (cudzych, oczywiście) wyściełających podłogę w jego pokoju. Ech, ileż to razy po powrocie z imprezy po prostu padał na nie i błyskawicznie zasypiał. Szelest kserówek działał na niego uspokajająco, a tutaj osiągnął prawdziwe studenckie zen – bałagan tak wielki, że wyglądał jak porządek.

Kiedyś próbował posprzątać swój pokój, ale bez grabi i łopaty nie było na to szans. Co prawda grabie i łopata znajdowały się w szafie na korytarzu, razem z kilofem – najlepsi sprzymierzeńcy studentów w walce z bałaganem – ale Polon zawsze preferował pokojową koegzystencję. Poza tym szafa zawsze była tak daleko...

Westchnął i zamknął za sobą drzwi, po czym przekręcił klucz w zamku. Miał nadzieję, że żaden ze współlokatorów zostających w mieszkaniu na wakacje, nie podprowadzi mu jego bałaganu; wierzyć się nie chce, jak często zdarzały się próby kradzieży nieporządku.

Po raz ostatni Polon i Radek odetchnęli głęboko swojskim, kserówkowym zapachem stancji, po czym ze smutkiem wyszli na zewnątrz.

Pora jechać do pracy.

## Część druga, w której studenci dostają pracę.

*Najlepszym sposobem, aby poznać obecny humor twojego Polaka, jest uważne wsluchiwanie się w to, co mówi, i wylapywanie jedyne go międzynarodowego polskiego słowa. Jeśli go nie znasz, autorzy tego poradnika spieszą z wyjaśnieniem: bardzo przypomina słowo „kura”. A jak rozpoznać humor twojego Polaka po tym jednym słowie? Otóż kluczem jest sposób, w jaki je wypowiada. Niektórzy twierdzą, że im głośniejszy, tym gorzej, ale to nieprawda. Zamiast zwracać uwagę na głośność słowa, trzeba zwrócić uwagę na to, jak wypowiedziane są pierwsze dźwięki. Jeśli najpopularniejsze polskie słowo zaczyna się od gardłowego „k”, chwilami przechodzącego w gulgoczące „g”, wiesz, że jest źle. Jeśli po głośnym „k” następuje przedłużone „u”, również nie jest najlepiej. Jeśli po tym usłyszysz terkoczące, długie „r”, szykuj się na dodatkowe koszty.*

*Prawdę mówiąc, kiedykolwiek słyszysz to słowo, jest źle.*

*Instrukcja obsługi Polaka na emigracji (dla obcokrajowców), rozdział 2, strona 21*

- Kurde, Anglik, dzięki, że tak nam pomagasz.
- W porządku. Nie zabrałeś ze sobą żadnego bagażu?
- Zabrałem. – Radek pokraśniał na twarzy i rzucił wrogie spojrzenie Polonowi, który trzymał swoją torbę w ręce. – Po prostu jeszcze nie dotarł.
- Spakowałeś same potrzebne rzeczy? – zapytał Anglik, domyślając się w lot, co zaszło.
- No tak, a co miałem spakować?
- Mogłeś po prostu tak jak Polon spakować kilka przypadkowych rzeczy.
- Ale równie dobrze mógłbym nie pakować się wcale! – zaprotestował Radek.
- Nie do końca – nie zgodził się Anglik. – W dużej ilości rzeczy przypadkowych zawsze znajdzie się coś przydatnego, a jak spakujesz same przydatne rzeczy, to bagaż na pewno nie dojdzie.



– Coś w tym jest – przyznał Radek. – Czemu mi nie powiedziałaś? – zwrócił się do Polona.

– Próbowałem, ale ty nie słuchałaś – powiedział oskarżycielskim tonem Polon. – A mogłaś mieć już swoją torbę na miejscu. Gdyby był tu Newton, wytłumaczyłby ci, dlaczego się tak dzieje...

– Właśnie, gdzie jest Newton? – Anglik uniósł pytająco brwi.

– Mówił, że nie czuje potrzeby przyjazdu – wyjaśnił Polon.

Torba zaczęła mu już nieco ciążyć, więc teraz ciągnął ją za sobą.

– To dziwne, w końcu ten wyjazd był jego pomysłem – mruknął Anglik, drapiąc się po głowie.

– Tak przy okazji, gdzie my w ogóle idziemy? – zapytał Radek.

– Jak to gdzie? – zdziwił się Anglik. – Znalazłem wam pokój.

– Kurde, Anglik, dzięki! Nie wiem, jak byśmy sobie bez ciebie poradzili.

– E, dalibyście radę, Polon na pewno by coś wymyślił. W końcu on instynktownie spakował się poprawnie, więc pokój by znalazł raz dwa.

– Jak to jest z tym pakowaniem? – zainteresował się Radek.

– Widzisz, im więcej potrzebnych rzeczy w walizce, tym mniejsza szansa, że dotrze ona na czas – wytłumaczył Anglik. – To Pierwsze Prawo Studenta na Emigracji.

– Zakładam w takim razie, że jest też Drugie Prawo Studenta na Emigracji? – indagował Radek.

– Oczywiście – potwierdził Anglik. – Drugie Prawo Studenta na Emigracji brzmi: szansa na znalezienie pracy jest odwrotnie proporcjonalna do twojej znajomości języka.

– Chciałaś chyba powiedzieć: wprost proporcjonalna? – zaproponował Radek.

– W takim układzie im słabiej znałbym język, tym szybciej dostałbym pracę.

– Niestety boleśnie przekonałem się na własnej skórze, że to prawo jest dobrze sformułowane. – Anglik westchnął ciężko. – Szukałem pracy cztery miesiące, jeszcze podczas roku akademickiego, a i tak udało mi się ją znaleźć tuż przed wyjazdem.

– Ale przecież ty mówisz jak prawdziwy Angol, jak to możliwe? – dziwił się Radek.

Anglik wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – odparł.

– To Polon zgodnie z tym prawem już powinien mieć pracę. – Radek obejrzał się za siebie, ale nie zauważył współlokatora. – Hej, chyba go zgubiliśmy.

– Nie, czekaj, widzę go. – Anglik wskazał kolegę palcem.

– Gdzie ty go widzisz? Tam za tym gościem, który wygląda, jakby składał się z samych mięśni?

– Najwyraźniej z nim gada. – Anglik nie był zdziwiony; widział już takie sytuacje.

Polon i mięśniak uścisnęli sobie dłonie, po czym uśmiechnięty od ucha do ucha student poszedł do swoich kolegów.

\*\*\*

– Całkiem niezłe to mieszkanie. – Polon z uznaniem rozglądał się po swoim nowym pokoju. – Kurde, Anglik, dzięki, bo już myślałem, że będę musiał spać u kumpli.

– Znaczy u mnie? A niby dlaczego znalazłem wam pokoje do wynajęcia? Jakbyś u mnie nocował, to znowu byś imprezę rozkręcił, a ja nie poszedłbym do pracy przez tydzień. Swoją drogą, o czym gadałeś z tamtym facetem? – zapytał z pewną dozą niepewności, bo osoba, z którą rozmawiał Polon, wyglądała, jakby mogła żonglować trzema niedźwiedziami, jednocześnie wykonując pracę trzech koparek i jednego walca.

– A, Radek, o mało nie zapomniałem. – Polon rąbnął się w czoło otwartą dłonią. – Załatwiłem nam robotę.

– Już? Ale dopiero co przyjechaliśmy!

– Ja tyle czasu roboty szukałem, a wy już na pierwszy dzień... – Anglik pokręcił głową z zazdrością. – No cóż, macie szczęście.

– Ano mamy – przyznał Radek, patrząc badawczo na współlokatora. – Słuchaj, Polon, a jak my w ogóle będziemy pracować?

– No normalnie, tak jak się pracuje – zachnął się dziwnie podenerwowany Polon.

Wiedział już, czego mu brakuje w pokoju i co go tak drażni; postanowił jutro pójść na tutejszy uniwersytet i znaleźć jakieś notatki, żeby sobie nimi wymościć podłogę w pokoju. Dopiero wtedy osiągnie spokój ducha.

– Chodzi mi o to, w jakiej branży dostaliśmy tę robotę – podpytywał ostrożnie Radek, widząc, że Polon jest nieco nerwowy.

– Jak to w jakiej? Budowlanej oczywiście!

– Myślałem, że jakiś zmywak czy coś... – bąknął Radek. Nie był pewien, czy poradzi sobie na budowie.

– Zmywak? Kompletnie ci odbiło – podsumował go Anglik. – Na zmywak to trzeba mieć magistra.

– Chemii może jeszcze – parsknął Radek, nie wierząc Anglikowi za grosz.

– Owszem, Radek, on ma rację – poparł kolegę Polon. – Na zmywaku tylko magistrzy pracują. Choć nie jest to oczywiście wymagane. Ale nie martw się, na budowie zarobimy lepiej niż na zmywaku, starczy na rok czynszu...

– Albo miesiąc picia – uzupełnił Anglik. – No, może tydzień. – Zorientował się, że nie docenił możliwości Polona.

Radek pokiwał w zadumie głową. Tydzień mniej więcej by się zgadzał.

– A powiedz mi, Polon... – zaczął, sadowiąc się na kanapie.

Polon bez namysłu podał mu piwo.

– Skąd masz? – zdumiał się Anglik.

– Przywiozłem – oznajmił Polon. – Czymś te zupki trzeba zalewać. To co chciałeś? – zapytał zbaraniałego Radka.

– W sumie chciałem się dowiedzieć, dla kogo w ogóle pracujemy.

– Poznasz go jutro rano, podjedzie po nas – powiedział Polon. – Mnie się przedstawił jako Betonowy Mietek.

– Betonowy Mietek – powtórzył tępo Radek, a Anglik poderwał się z krzesła.

– To ten, ja już może pójde. – Dopił szybko piwo i ulotnił się po angielsku. Biorąc pod uwagę kraj, w którym się znajdowali, było to stosowne zachowanie.

– Prowadzi jednoosobową firmę budowlaną – uzupełnił Polon.

Starał się wyrzucić z pamięci przerażony wyraz twarzy Anglika, ale nie bardzo mu to wychodziło.

– Znaczy jest podwykonawcą?

– O ile dobrze się orientuję, wszystko robi sam – wyjaśnił Polon.

– To znaczy wynajmuje jakieś maszyny? – dociekał Radek.

Polon rozłożył ręce.

– Słuchaj, nie mam pojęcia. Chcesz zupkę? – zapytał, wyciągając z torby międzynarodowe studenckie danie.

– Mam swoją, ale nie mam czym zalać.

– W porządku. – Polon ze stoickim spokojem podał mu piwo. – Ty kupujesz

następne.

Obaj studenci rozkruszyli makaron i zalali go piwem. Danie trochę gryzło w przełyk, ale głównie dlatego, że makaron w momencie zalania znajdował się już w ich żołądkach.

– Cholera, zapomnieliśmy o przyprawie – przypomniał sobie Radek.

– E, jeszcze można zjeść. – Polon wsypał zawartość paczuszki do gardła i przełknął. – Tylko pamiętaj, żeby potem poskakać, żeby się wymieszało jak należy.

– A co robimy jutro? – zapytał Radek, kiedy dwa beknięcia zdążyły już przebrzmieć.

– Przejdziemy się po mieście. Chciałbym zobaczyć, gdzie potencjalnie możemy pracować, poszukać jakichś placów budowy, no i zajrzeć na tutejszy uniwersytet.

– Ale po co? – zdziwił się Radek, patrząc na zegarek.

Z jakiegoś powodu nagle zrobiło się późno; student nie miał pojęcia dlaczego. Pewną wskazówką mogła być dla niego góra pustych butelek po piwie piętrząca się na stole. Radek nie wiedział, jakim cudem Polonowi udało się przewieźć aż tyle piwa, ale nie zadawał pytań. Kumpel miał swoje sposoby.

– To co? – zapytał Polon, wyciągając butelkę wódki. – Za udany przyjazd i za pracę!

Kilka butelek piwa później Radek nagle zauważył, że pod stołem ktoś leży. Z pewnym zdziwieniem skonstatował, że to on sam. Podniósł się więc ciężko; Polon natychmiast nalał mu kolejkę.

– Dzięki, strasznie mnie suszy. – Radek, nie pytając, co jest w szklance, wychylił szybko zawartość. – A ten to kto? – Wskazał palcem śpiącego na stole osobnika.

– To nasz współlokator, Angol, pogadaliśmy sobie chwilę. W sumie nawet nie pił... Zrobiliśmy razem ledwo zero-siedem, a on już zaliczył glebę.

– Co za dziwny kraj – stwierdził Radek i beknął głośno.

– No. – Polon pokiwał głową. – Zero kultury picia.

\*\*\*

– Radek, weź się obudź w końcu. – Polon uderzył kilka razy w drzwi.

– Czego? – zapytał ochryłym głosem Radek, podnosząc się z łóżka.

– Właśnie dzwonił do mnie Betonowy Mietek. Mówi, że dzisiaj po nas nie przyjedzie, bo wczoraj w pracy zużył cały materiał budowlany, więc musi czekać na dowózkę. Ale mamy się nie martwić, zapłaci nam za dzisiaj, żebyśmy stratni nie byli.

Radek spojrział na zegarek. Jak na standardy studenckie był późny wieczór – szósta trzydzieści, słońce dopiero wstawało, choć na dworze zrobiło się już jasno.

– Ale jak wczoraj piliśmy, to mówiłeś, że dopiero pojutrze zaczynamy – zachrypiał.

– To było przedwczoraj – odparł Polon przez drzwi.

Radek jęknął cicho. No cóż, w sumie mógł się tego spodziewać.

– Skoro mamy wolne, to po co przychodzisz? Późny wieczór jest, chciałbym pospać.

– Wstawaj, nie ma czasu do stracenia, znam już adres, gdzie będziemy pracować, pójdziemy obejrzyć budowę.

– Ale słońce ledwo wstało – zaprotestował słabo student.

– Wiem, też na ten widok chce mi się spać, ale co poradzić. Od jutra będziemy musieli wstawać o tej porze.

Na twarzy Radka pojawił się grymas grozy.

– Żartujesz, prawda? – zapytał.

– Gdybym żartował, to bym teraz powiedział, że żartuję, ale niestety.  
– W głosie Polona zadźwięczała nuta smutku. – Wyskakuj z betów, pomyśl o tym jak o sesji. Nie ma spania, trzeba się uczyć, znaczy pracować.

– Oj, no już dobra, niech ci będzie – burknął Radek, zwlekając się z łóżka.  
– Czekaj, ogarnę się i możemy iść. Daleko to?

– Na szczęście niedaleko, nawet kilometra piechotą nie będzie.

– I on chce po nas podjeżdżać? – zdziwił się Radek. – Przecież możemy z papcia na miejsce bez problemów dotrzeć.

Przez pomyłkę wsadził głowę w rękaw swetra, co tylko pogorszyło jego podły nastrój. Doprowadzenie się do porządku zajęło mu dłuższą chwilę; kiedy w końcu był gotowy, otrzepał z siebie niewidzialny pyłek i wyszedł z pokoju.

– Przepraszam, że to tyle trwało, ale pomyliłem dziury – wytłumaczył się kumpłowi.

– Gdybyś miał dziewczynę, to zdanie byłoby o wiele zabawniejsze  
– skomentował Polon. – A tak od razu wiem, że ci się głowa z ręką pomyliła.

Radek już się chciał obrazić, ale wtedy przypomniał sobie, że zamierzał jeszcze o coś zapytać.

– Ej, słuchaj, tak z ciekawości, po co my idziemy na tutejszy uniwersytet?

– Mam tam sprawę do załatwienia – odparł wymijająco Polon.

– Kujon – podpuścił go Radek, ale kolega nie zareagował na zaczepkę.

Studenci zamknęli za sobą drzwi i ruszyli uliczką w stronę placu budowy.

– Polon, duże to jest?

– Ile jajeczek składa tarantula? – odpowiedział pytaniem Polon.

Radek spojrział na współlokatora kompletnie zbaraniały.

– Otóż to. – Polon pokiwał głową. – Ja też nie wiem. Wszystkiego mi

Betonowy Mietek nie powiedział.

– Dobra już, dobra... To najpierw na uniwersytet?

– Ta – potwierdził Polon.

Po trzech godzinach i czterech „zgubiliśmy się” później oraz pięć kilometrów dalej studenci wreszcie odnaleźli budynek uniwersytetu.

– Ej, Polon, jesteś pewien, że to tutaj? Nie mają punktu ksero.

Polon rozejrzał się niepewnie. Rzeczywiście, na terenie uniwersytetu brakowało najświętszego z przybytków. „Jak uniwersytet może działać bez punktu ksero” – zachodził w głowę Polon. „Przecież to niemożliwe, żeby wszyscy tutaj notowali na wykładach...”

– Rzeczywiście nie ma. Ale zobacz, proszę, są jakieś znajome twarze.

– Wskazał Radkowi kierunek.

– O cholera – sapnął Radek – Co oni tutaj robią?

\*\*\*

– O cholera – sapnął doktorant. – Co oni tutaj robią, panie profesorze?

Pan profesor, zamiast odpowiedzieć, nerwowo skubał swoją długą, białą brodę.

– Nie mam pojęcia – burknął w końcu, przełamując naturalną niechęć wykładowców w kwestii przyznawania się do jakiegokolwiek niewiedzy.

– Są zagrożeniem dla naszego planu – szepnął bojaźliwie doktorant. – Myśli pan, panie profesorze, że oni nas widzą?

– Cóż, pracuję nad tym. – Profesor wyciągnął z kieszeni dwa tomiki poezji i nożyczki. – Zgodnie z założeniami traktatu powinienem się teraz stać niewidzialny dla studentów. Przytknął rozłożony tomik do twarzy.

Źle wyciął otwory na oczy, więc wciąż przesuwiał tomik, mrużąc coś pod nosem. Chciał podać drugi tomik doktorantowi, ale wtedy zorientował się, że jest



już za późno; studenci szli w ich stronę.

– Dzień dobry, panie magistrze – powiedział grzecznie Polon, podchodząc do doktoranta i demonstracyjnie ignorując profesora, żeby mu sprawić satysfakcję. Profesor zamruczał z zadowolenia i przesunął tomik tak, by móc obserwować, co się dzieje.

– Eee, dzień dobry – odpowiedział doktorant. Miał bardzo nieszczęśliwą minę.

– Panie magistrze, a co robi pan profesor? – zapytał zniechęcony Radek, łamiąc tym samym etykietę spotkania. Polon udał, że tego nie słyszy, i jednocześnie kopnął współlokatora w kostkę. Podziałało; ale nie zmieniło to faktu, że pytanie padało.

– Ten, tego... – stękał zmieszany doktorant, starając się szybko wymyślić jakieś wytłumaczenie dla tej niezręcznej sytuacji. Gdzieś zaległo się w nim podejrzenie, że tomik poezji z dziurami na oczy wcale nie działa tak dobrze, jakby tego chciało grono profesorskie. – A więc – zaczął desperacko, nie patrząc na profesora. – A więc przetłumaczyłem profesorowi znaczenie słowa „facebook”, ale chyba mnie nie rozumiał.

– Ależ zrozumiałem pana doskonale – wtrącił urażony profesor, odchylając tomik od twarzy. Doktorant w tym momencie zorientował się, że palnął jeszcze większą gafę, mianowicie przyznał, że pan profesor może czegoś nie rozumieć.

– Dzień dobry, panie profesorze – powiedział grzecznie Polon.

– Dzień dobry, Koloński – odparł profesor.

– Poloński – poprawił Polon, ale wykładowca już go nie słuchał, bo na jego celowniku znalazł się doktorant.

– Pańskie wyjaśnienie to jakaś bzdura. Zupełnie nie widziałem swoich znajomych. – Mówiąc to, profesor chwycił doktoranta za łokieć i zaciągnął do najbliższej sali.

– Patrz, zostawili tutaj skserowane notatki – zauważył Radek. – Tyle ci wystarczy?

– Hm, skserowali głównie tomiki poezji... – Polon przyjrzał się dokładniej.  
– Tyle wystarczy. Zbierajmy się do domu, pomożesz mi?

– Jasne – zgodził się chętnie Radek, zaskakując samego siebie. – A nie idziemy na ten plac budowy?

– E, i tak tam jutro będziemy. – Polon machnął ręką i zaczął zbierać kartki z podłogi. – Znalezione, nie kradzione – zauważył sentencjonalnie.

Radek schylił się, żeby pomóc kumplowi. Ze zdziwieniem odkrył, że notatki w jakiś dziwny sposób przykuwają jego uwagę; z takim zjawiskiem nie zetknął się nigdy poza czasem sesji.

Dopiero gdy obładowani studenci opuścili uniwersytet, kryjący się w pobliskiej sali wykładowcy odważyli się wyjść z ukrycia.

– Zabrali nasze materiały eksperymentalne – jęknął doktorant.

– Znaczący, że wiedzieli, co robią – mruknął ponuro profesor. – Plan jest zagrożony. Jeśli nie zadziałamy natychmiast, zapewne pokrzyżują nasze plany. A nam zależy, żeby zmusić studentów do nauki. Dlatego musimy jak najszybciej wypuścić tu wirusa głodu wiedzy.

– Ale przecież go jeszcze nie przetestowaliśmy – zaprotestował nieśmiało doktorant, wiedząc, że nie ma żadnych szans na dyskusję. Opinia profesora przeważała, głównie dlatego, że był profesorem.

## **Część trzecia, w której studenci poznają znaczenie słowa „zaprawa”.**

*Nie ma lepszej zaprawy na budowie niż ta przy betoniarce.*

*Złote myśli Alfonsa Cegły, strona 15*

– No, panowie, co tak stoicie? Budowy nigdy nie widzieliście? – zagrmiał Betonowy Mietek.

Radek dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak wielki jest Betonowy Mietek; wyglądał, jakby dla rozrywki zwałął pięścią ściany, jednocześnie drugą ręką wznosząc nowe. Jego kombinezon roboczy sprawiał wrażenie, że rozedrze się przy najmniejszym napięciu potężnych mięśni. Radek uznał za dziwne, że pan Mietek nie dojeżdża do pracy na niedźwiedziu.

– Jeszcze nigdy z takiego bliska – wyznał szczerze Polon, przyglądając się nieufnie betoniarce. – Co to jest, panie Mietku?

– To jest coś, z czym dzisiaj będziecie pracować – oznajmił poważnie Betonowy Mietek, po czym obrzucił ich taksującym spojrzeniem. – Nie ukrywam, że zanim zaczniecie pracę na serio, to przydałoby się wam nieco zaprawić.

– Da się zrobić – powiedział radośnie Radek. Jednak gdy Polon się nachylił i szepnął mu do ucha wyjaśnienie, student wyraźnie oklapł.

– No dobra, to jak was nazywają?

– Radek.

– Polon.

Pan Mietek zastanowił się głęboko.

– Za trudne – oznajmił. – Ty będziesz student – zwrócił się do Polona. – A ty będziesz... – Zaciął się, patrząc na Radka.

– Student dwa? – podsunął tamten.

– Kisiel – zawyrokował Betonowy Mietek, pocierając kwadratową szczękę.

Polon zachichotał. Radek spojrzał na niego z mordem w oczach i już-już chwycił za pobliską łopatę, żeby mu przydzwonić, gdy nagle zorientował się, że wisi głową w dół. Betonowy Mietek delikatnie wyciągnął z jego rąk łopatę i postawił Radka na ziemi.

– No ta, zapomniałbym – powiedział. – Tylko mi się tutaj nie zabijcie. Jasne? – Zgromił ich wzrokiem.

Studenci pokiwali energicznie głowami.

– No to skoro szkolenie BHP mamy już za sobą, to teraz wasze zadanie. Jest nierozdzielnie związane z tematyką szkolenia. Za kilka minut zjawi się tutaj mój jedyny pomocnik, który mnie cały czas opóźnia. Nazywam go Terminator, bo przez niego nikt nie chce ze mną pracować, więc sam odwalam całą robotę.

– Przepraszam. – Polonowi zdawało się to istotne. – Czemu nazywa go pan Terminatorem?

– Bo co chwila kogoś uszkadza – wyjaśnił Betonowy Mietek. – Tutaj przez przypadek uderzy kogoś drzwiami, tam zrzuci kogoś z drabiny... Wiecie, jak jest. Opóźnia mnie tylko.

– Więc czemu go pan nie zwolni? – wyrwało się Radkowi.

– No wiesz, syn kumpla, głupio zwolnić. Dlatego pracuję sam.

– Są tu jakieś maszyny w takim razie? – Radek patrzył z ciekawością na fundamenty.

Betonowy Mietek uśmiechnął się szeroko.

– Tylko by mnie spowalniały. To wasze zadanie na dziś: zająć czymś Terminatora i przy okazji nie dać się zabić. Zrozumiano? – Rzucił studentom spojrzenie tak męskie, że dostali spontanicznego brodorostu. Kilka przechodzących nieopodal Angielek również, ale w ich przypadku nikt tego nie zauważył.

– To było... bardzo dziwne – wykrztusił Polon, macając swoją bujną brodę.  
– Będę się musiał ogolić.

– O, przyjechał Terminator – oznajmił Radek.

Za plecami studentów rozległ się huk; to Betonowy Mietek stawiał samodzielnie do pionu pierwszą ścianę domu.

– No dobra. Trzeba mu znaleźć jakieś zajęcie – powiedział cicho Polon.

– Siema, chłopaki. – Terminator, podchodząc do studentów, potknął się po drodze o leżące na ziemi grabie, które przypadkiem poderwały do lotu cegłę, która przeleciała kilka milimetrów obok głowy Radka.

– Zaprawa już gotowa? – krzyknął Betonowy Mietek, swobodnie rzucając za siebie cegły, które zdawały się samodzielnie układać w kolejną ścianę.

– Ech – westchnął Polon, poszturchując lekko Radka, żeby wyrwać go z szoku. – To będzie długi dzień.

\*\*\*

– Dobrze, panie profesorze, co teraz zrobimy? – zapytał doktorant.

Profesor aż pokraśniał z dumy, w końcu ktoś go zapytał o zdanie. „Właśnie tak powinno być” – pomyślał.

– Cóż, oczywistym jest, że pan tego nie wie, w końcu jest pan tylko doktorantem – odparł pewnie profesor. – Otóż, proszę pana, natychmiast przechodzimy do fazy decydującej naszego eksperymentu.

– Ależ panie profesorze – ośmielił się zaproponować doktorant, choć wiedział, że to nic nie da. – Przecież nie wykonaliśmy jeszcze wszystkich testów, ba, nie mamy nawet grupy kontrolnej, żeby porównać nasze wyniki.

– Nie musimy się nimi przejmować – odparł profesor, czując, jak raduje się w nim dusza szalonego naukowca. – Trzeba ratować nasz plan, zanim studenci go zniweczą.

Doktorant chciał wykazać się brawurową odwagą i nie poprzeć profesora, ale potem przypomniał sobie o zaległym wpisie. Bez tego nie będzie obrony...

– No dobrze – rzekł zrezygnowanym tonem. – Kto będzie grupą badawczą?

– Całe miasto – odparł dumnie profesor, a wszyscy szaleni naukowcy na świecie nagle zatarli ręce i zaśmiali się nerwowo.

– Całe miasto?! – przeraził się doktorant.

Ale profesor już go nie słuchał. Wylewał właśnie zawartość małej fiolki na podłogę.

– A my się tym nie zarazimy? – zapytał jeszcze doktorant.

– Wszystko jest pod kontrolą – odparł profesor. – W końcu zażyliśmy serum. Póki je mamy, nic nam nie grozi.

Profesor oparł się w zadumie o szafkę, niechcący trącając łokciem drugą fiolkę, na której była naklejona etykieta z czaszką. Naczynie spadło na ziemię i roztrzaskało się w drobny mak.

– Coś pan narobił?! – wydarł się na doktoranta. – Teraz musimy stąd uciekać!

Doktorant przewrócił oczyma, po czym sięgnął do szafy, wydobył z niej siodło i podał je wykładowcy z cichym westchnieniem cierpienia.

– Wio! – zakrzyknął profesor, targając doktoranta za uszy.

I odjechali w stronę zachodzącego słońca.

\*\*\*

Pierwszą wypłatę później studenci byli naprawdę przerażeni.

– To są jakieś jaja – powiedział Polon, patrząc z odrazą na gruby plik banknotów. – Czuję się tak, jakby było mnie na wszystko stać. To nieludzkie jest, nie wolno tak traktować studenta. To niemal zamach na naszą studenckość!  
– Podniósł ręce do góry, jakby chciał złorzeczyć sufitowi.

– Polon, nie dramatyzuj – uspokajał go Radek. – Musimy jeszcze zapłacić za pokoje. – Odłożył sporą część pieniędzy na bok. – Eee, jeszcze rachunki... – dodał niepewnie.

– Tu się nie płaci rachunków, wszystko już wliczone w mieszkanie – oświecił ich z kuchni współlokator. Podczas ostatniej suto zakrapianej wódką imprezy po ósmej butelce zaczął nagle mówić po polsku i tak mu zostało. „Chyba jeszcze tego nie zauważył” – pomyślał Radek.

– Cholera, na co my wydamy te pieniądze? – rozpaczał Polon. – To nienormalne mieć kasę na wszystko, co zechcesz.

– No wiesz, możemy ją jeszcze przepić – powiedział ostrożnie Radek, a ich nowo-polskojęzyczny współlokator czym prędzej wybiegł z kuchni, bojąc się tego, co może za chwilę nastąpić.

– Radek, przecież wiesz, że prawdziwy student zawsze pije za cudze – zganił go Polon.

– No to podzielmy naszą wyplatę na pół i ja wypiję za twoje, a ty za moje.

– Trochę to naciągane... – Polon w zadumie oparł się o stół. – Ale da się zrobić. To co, idziemy do sklepu?

– Idziemy – zgodził się Radek. – A tak w ogóle czy zauważyłeś, że wszyscy ostatnio zachowują się nieco dziwnie? – Jak na dobrego współlokatora przystało, próbował odciągnąć uwagę Polona od problemów z pieniędzmi.

– Masz na myśli to, że wczoraj poprosiłeś Terminatora o dłuto, a on nie przyniósł śrubokrętu jak zawsze, tylko łom? Mnie też to zastanawia.

– Nie, raczej mam na myśli to, że ostatnio każdy, kogo spotykamy, intensywnie się uczy. Zupełnie jakby całe miasto nagle opętała jakaś mania nauki.

– Rzeczywiście – potwierdził Polon, zastanawiając się. – Zobacz... dzisiaj nawet Terminatorowi nie udało się na nikogo zrobić zamachu.

– Coś niedobrego się tu dzieje – powiedział poważnie zaniepokojony Radek.

Polon zlekceważył zagrożenie. Ostatecznie czy mogło być coś gorszego od sesji? Dlatego zupełnie nie martwił go fakt, że z dnia na dzień na ulice wylegały coraz liczniejsze grupki ludzi, a każdy z nich trzymał w ręku grubą książkę i najwyraźniej intensywnie się uczył.

– Nie wygląda tu bezpiecznie – mruknął Radek, kiedy weszli do sklepu.  
– Chyba powinniśmy coś zrobić.

– Hm, jeszcze nie widziałem, żeby nikogo nie było w dziale alkoholowym  
– powiedział zdumiony Polon, patrząc na puste alejki wypełnione po brzegi wszelkimi studenckimi dobrami. – Wychodzi na to, że trzeba by zrobić imprezę.  
– Polon zaczął zapełniać koszyk. – Może to ich trochę rozrusza. Chodź, pójdziemy do jakiegoś klubu czy coś.

– Ze swoim alko? – zapytał Radek. – Przecież możemy kupić na miej...

Przerwał gwałtownie, bo Polon przywalił mu egzemplarzem *Vademecum Studenta*.

– Kupić na miejscu? – oburzył się Polon. – Do reszty cię powaliło? Co się z wami wszystkimi dzieje?

Radek milczał, zawstydzony. Zapełnił swój koszyk i udał się za Polonem do kasy. Niestety kasy też były puste. Zdawało się, że nikogo nie ma w sklepie.

– Jakoś tak... cicho – szepnął Radek i podskoczył, kiedy Polon wbił na kasę cenę za pierwszą butelkę.

– Popatrz, zaraz będziemy mogli się obkupić. – Polon wskazał panią kasjerkę, która weszła do środka chwiejnym krokiem.

Radek spojrział w jej kierunku i zmartwił, kiedy kobieta wbiła w niego wzrok. Miała profesurę w oczach.

– Jaka jest całka podwójna z logarytmu naturalnego? – zawyła i skoczyła w stronę studentów, którzy czym prędzej wzięli nogi za pas.

– Cholera – mruknął Polon, gdy razem z Radkiem przemykali pustymi alejkami. – Zupełnie jak na uniwersytecie.

– Wyglądała, jakby przez głód wiedzy zjadła kilka książek.

– Widziałem już takie przypadki u nas na uniwerku. – Polon nagle stanął.



– Nie stój! – krzyknął Radek. – Zaraz nas dogoni i zarazi!

– Pić mi się chce – powiedział nonszalancko Polon, otwierając piwo.

– Czekaj, zatrzymała się... Chyba nie chce zbliżyć się do alkoholu.

– To jest to! – Polon się podochocił. – Przecież alkohol zabija komórki mózgowe! Wszyscy opanowani głodem wiedzy będą trzymać się od niego z daleka!

Radkowi nagle zaświtała w głowie straszna myśl.

– Polon, przecież widzieliśmy naszych wykładowców na tutejszym uniwerku... Sądziś, że mają z tym coś wspólnego?

Polon zastanowił się głęboko. Robił to rzadko, więc naturalnie głowa zaczęła mu się nieco przegrzewać. Na szczęście w dłoni miał zimne piwo, więc czym prędzej rozwiązał ten kłopot.

– Co mówiłeś? – zapytał.

– Nic już, nic – mruknął zdawkowo Radek, patrząc na tłum wbiegający do środka. Część ludzi miała podarte ubrania, większość wyciągała przed siebie obie ręce, w których trzymali książki. Uznał, że najwyraźniej mają problemy ze wzrokiem. – Hm, raczej trudno będzie stąd wyjść – powiedział, wyciągając zza pazuchy butelkę wódki. – Mam taki pomysł: napijmy się i pomyślmy.

– Taki pomysł to dobry pomysł – podchwycił ochoczo Polon, bo ludzie z książkami powoli ich otaczali.

Radek otworzył butelkę; krąg wokół studentów zafalował niespokojnie, parę osób cofnęło się, omal nie przewracając innych. Studenci nawet tego nie zauważyli. Mieli poważniejszy problem.

– Cholera, nie ma z czego pić – zamarudził Polon, popatrując po półkach, na których jak na złość nie było naczyń. – Przepraszam, nie mają może państwo jakichś kieliszków do wódki? – spytał, zbliżając się w stronę ludzkiego kręgu z butelką w dłoni. – Kufel też może być.

W odpowiedzi ludzie rozbiegli się na wszystkie strony.

– Hm, może poszli poszukać tych kieliszków... – skomentował pod nosem Polon.

Radek też nie próżnował; przeglądał półki, mając nadzieję znaleźć coś odpowiedniego do wódki.

– Hej, Polon, popatrz na to!

Polon odwrócił się i uśmiechnął szeroko na widok tego, co jego współlokator trzymał w dłoniach. Były to pistolety na wodę. Studenci nie zamierzali tracić ani chwili; czym prędzej napełnili je mieszaniną wszelkich alkoholi i zaczęli pić.

– Ej, Polon... – mruknął Radek, patrząc na butelkę wódki.

– No? – odmruknął Polon, obserwując kolejną wbiegającą do sklepu grupę ludzi z książkami w dłoniach, którzy najwyraźniej uznali, że każdy musi zostać zarażony głodem wiedzy. Nie zdawali sobie sprawy z faktu, że studentów nie da się niczego nauczyć.

– Mogliśmy pić z gwinta – stwierdził Radek.

Polon trawił przez chwilę tę informację. Niestety zginęła ona w natłoku rzeczy, które student aktualnie miał do strawienia. Zresztą nie tylko żołądek był obciążony; wątroba pracowała na pięćset procent wydajności.

– Nie pomyślałem o tym – zabelkotał. – Na następną apokalipsę będziemy lepiej przygotowani.

I szybko pociągnął wódki z gwinta, tak na wszelki wypadek; w końcu właśnie się czegoś nauczył i nie chciał ryzykować, że to przypadkiem przez wirus głodu wiedzy.

– No dobra, to jedziemy – zarządził.

Studenci wycelowali pistolety w nadchodzących ludzi i otworzyli ogień, znaczy wódkę. Grupa zgodnie krzyknęła, po czym wszyscy wywrócili się na podłogę.

– I co? – zapytał z ciekawością Radek.

Polon zbliżył się do leżących pokotem ludzi.

– Ech, to nici z imprezy – powiedział z niesmakiem. – Pijani w sztok. Co za kraj.

## **Część czwarta, w której prawie wszystko wraca do normy.**

*Kawa – niezmiennie jeden z najbardziej popularnych napojów studentów maści wszelakiej. Studencka kawa różni się jednakże od zwyczajnej kawy i z tego powodu niektórzy odmawiają jej prawa do tej nazwy. Różnica bowiem jest zasadnicza: studencka kawa to niemal ciało stałe. Niejeden, zanurzony w niej łyżeczkę, ze zdziwieniem stwierdzał, że nie jest już w stanie jej wyjąć. Co więcej, ciecz jest tak mocna, że najpierw trzeba złapać umykający w podskokach kubek, który stara się wylądować nadmiar energii. Dlatego studenci są tak często zmęczeni na wykładach; gdy nie uda im się dogonić kubka, muszą iść na zajęcia w stanie poimprezowym.*

*Uwaga. Wykładowców wielokrotnie przyłapywano na wypuszczaniu kubka z kawą przy grupie zmęczonych studentów, aby obstawiać, który z nich pierwszy złapie naczynie.*

*Vademecum Studenta, rozdział 4, strona 32*

– No, panowie, mam nadzieję, że macie dobre wytłumaczenie – powiedział gniewnym tonem Betonowy Mietek.

– Panie Mietku, ale apokalipsa... – zaczął żałośnie Radek, opierając się o betoniarkę.

Pan Mietek spojrział na niego takim wzrokiem, że gdyby na miejscu studenta znajdowała się rzeczona apokalipsa, zapewne postanowiłaby wydarzyć się gdzieś indziej.

Polon nagle zachrapał; wkulał się między bele wełny mineralnej i udawał jedną z nich.

– Nie wiem, o czym mówisz, Kisiel – wycodził groźnie Betonowy Mietek.

„Niedobrze. Kurde, za chwilę będę musiał tłumaczyć, czemu jestem jeszcze pijany” – pomyślał zdenerwowany Radek i zdenerwował się jeszcze bardziej.

Na domiar złego Betonowy Mietek kopnął jedną z bel wełny mineralnej w stosie, w którym spał Polon. Po chwili student wyleciał stamtąd z niezbyt mądrą miną. W locie pan Mietek podał mu łopatę.

– Rzeczywiście jakaś apokalipsa – stwierdził. – Nie dość, że zniknęła podstawka pod czajnik, to jeszcze dach nam zaczął przeciekać.

– Cholera – szepnął Polon. – Chyba za głośno darliśmy wczoraj papę.

– Co tam gadasz, student?

– Nic, nic – zapewnił szybko Polon, starając się utrzymać pion. Było to niezwykle trudne, głównie dlatego, że wydawało mu się, iż ma aż trzy możliwości dokonania tego heroicznego czynu.

– No to dobra – skwitował Betonowy Mietek. – Słuchajcie, ja tam muszę wejść i szybko naprawić dach. Będę dzisiaj siedział po godzinach, i to bez kawy... – mrucał z niezadowoleniem. – Skombinujcie jakąś. A jak znajdzie się Terminator, przekażcie mu, że ma mi natychmiast przyjść pomóc.

Powiedziawszy to, pan Mietek jednym susem wskoczył na dach. Skonsternowani studenci popatrzyli po sobie.

– Skąd my teraz weźmiemy kawę? – zapytali jednocześnie.

Rozległ się trzask; to Betonowy Mietek zeskoczył z dachu po dodatkowe belki.

– No co z tą kawą? – rzucił w przelocie.

– Zaraz zrobimy – odpowiedział zmęczonym głosem Radek i odwrócił się do kumpla, by mu zaproponować spacer do sklepu, ale Polon wczołgał się w stertę cegieł i zasnął. Radek pokiwał głową z uznaniem; stamtąd nie będzie już tak łatwo go wykopać, nawet Betonowemu Mietkowi. Student powlókł się zatem sam do najbliższego sklepu. Ciągący się za nim zapach alkoholu odstraszał wszystkich zarażonych pędem do wiedzy; miał wrażenie, że ulice zupełnie opustoszały. „Jakieś wymarłe miasto” – przeszło mu przez myśl.

Sklep na szczęście był otwarty, bo prowadzili go imigranci, dla których taka drobnostka jak apokalipsa stanowiła jedynie niewielką niedogodność w prowadzeniu interesu. Radek pchnął drzwi pewnych ruchem i chwilę później oberwał miotłą.

– Sio! – krzyknął Anglik, machając miotłą.

– Nie wydurniaj się, nie mam siły na głupoty – burknął Radek, wchodząc do środka i zamykając za sobą drzwi.

– Radek? – Anglik wyraźnie się ucieszył. – Martwiłem się o was. Dopadli wszystkich, tylko ja się jakoś tutaj uchroniłem. Nawet nie wiem, czemu mnie to nie dopadło...

– Może dlatego, że pracujesz w monopolowym. Kawę macie?

– Ano mamy, mamy.

– Ale ja potrzebuję takiej prawdziwej. Naszej – szepnął konspiracyjnie Radek, nachylając się nad ladą.

– Taką prawdziwie naszą to tylko Polon umie zrobić. – Anglik nieco się zmartwił. – Zresztą to nie pijalnia kawy, mam jedynie jakiś czajnik na zapleczu, no nic, zaraz sprawdzimy, co da się z tym zrobić. Dla kogo ta kawa?

– Dla szefa, potrzebuje energii.

Anglik pokiwał głową.

– Poważna sprawa. A tak przy okazji, jakim cudem się nie zaraziliście?

– Popiliśmy trochę i okazało się, że to wzmacnia odporność na nagłą chęć do nauki. Wzięliśmy nawet pistolety na wodę i trochę poleczyliśmy ludzi, ale żeby to powstrzymać, trzeba zrobić jeszcze kilka rund...

– Rozumiem. – Anglik otworzył piwo. – Chcesz?

– W pracy nie piję – powiedział Radek, choć w jego wypadku nie miało to najmniejszego znaczenia.

Woda się zagotowała; studenci wsypali do kubka kilogram kawy, upchali jak trzeba, po czym zalali całość wodą.

– Myślisz, że jest dobra? – zapytał Anglik, kiedy kubek kilkakrotnie podskoczył w miejscu.

– Hm, jakaś taka niemrawa... Polon jeszcze rzuci na nią okiem, może coś wspólnie uradzimy. Idziesz ze mną?

– W sumie i tak od tygodnia nie było żadnego klienta – westchnął Anglik.  
– Wszystko przez tę apokalipsę.

– No, człowiek ma plany, a tu nagle czuje potrzebę nauki. Normalnie jak w trakcie sesji. Tyle że podczas sesji uczy się z musu, nie z potrzeby nauki.

Coś załomotało w drzwi; Anglik podskoczył ze strachu.

– Spokojnie – uspokoił go Radek. – Przebijemy się. Szampanem ich.  
– Uśmiechnął się szeroko i sięgnął po butelki.

Gwałtownie wstrząsnęli szampanem; Radek żałował, że nie jest rosyjski, bo ten przy otwieraniu miał tendencję do samozapłonu, taki był mocny. No ale skoro ma wyleczyć kilku ludzi z gwałtownej chęci do nauki, to zadowoli się zwykłym. Kawa, na szczęście, czekała, aż studenci zajmą odpowiednie do strzału pozycje.

– Wygląda, jakby szykowała się do startu – mruknął Radek, patrząc na drżący kubek kawy. – Mam nadzieję, że nam nie ucieknie.

– W razie czego ją dopadnę – zaoferował się Anglik. – Na uniwerku zawsze jako pierwszy łapałem bepańskie kawy...

Radek pokiwał wolno głową, jednocześnie zastanawiając się, skąd u licha na uniwerku Anglika biorą się bepańskie kawy. Na wydziale chemicznym, na którym studiował, coś takiego nie miało prawa się pojawić, głównie dlatego, że tam żywot kuchennych utensyliów był o wiele krótszy. Co prawda nadal nieco dłuższy niż na polonistyce, ale tam był przecież Polon...

Studenci odryglowali drzwi i natychmiast otworzyli szampany. Horda ludzi z książkami w rękach momentalnie zwała się na ziemię.

– Cholera, mimo wszystko mogliby mieć nieco twardsze głowy – mruknął Radek. – Łap kawę!

Anglik rzucił się w niebezpieczną pogoń; na zewnątrz niektórzy wciąż byli w stanie przewracać kartki książek, choć robili to dość niezdarnie; inni trzymali

swoje książki do góry nogami, bełkocząc coś do siebie. Radek otworzył drugiego szampana i osłaniał Anglika, który trzymał w rękach wrywający się kubek.

– Cholera, całe miasto się tutaj zleciało – warknął Anglik.

– Dobra, lecimy na budowę! – krzyknął Radek, wstrząsając trzecią butelką. Zostało mu już tylko kilka szampanów, ale miał nadzieję, że to wystarczy, żeby wszystkich wyleczyć.

Ruszyli biegiem, raz po raz rzucając za siebie butelkę ze wzburzonym alkoholem. Goniąca za nimi horda stopniowo malała, aż ledwie parę osób z książkami w dłoniach kulawo biegło za dwoma polskimi studentami. Wkrótce Radek ujrzał chmurę kurzu, która podnosiła się z placu budowy.

– Co tam się dzieje? – wydyszał Anglik. Dotąd jedynym sportem, jaki uprawiał, było piwochodzenie, a i tak zdarzało mu się przy tym niezłe zmęczyć.

– A, to tylko pan Mietek wymienia dach – odparł Radek, oglądając się za siebie. – Cholera, wciąż za nami biegną.

– Zero alkoholu na placu budowy! – krzyknął do nich Polon.

Radek desperacko otworzył ostatnią butelkę i rzucił ją za siebie niczym koktajl Mołotowa. Podziałało, choć większy miała w tym udział rzucona przypadkowo przez Betonowego Mietka belka dachowa, która zbiła wszystkich zarażonych z nóg.

– No to jesteśmy bezpieczni. – Anglik odetchnął z ulgą. – Mamy kawę, Polon, ale przydałoby się, żebyś rzucił na nią okiem.

Polon spojrział na kubek, który dość niemrawo i bez przekonania wrywał się z rąk Anglika.

– Cóż, rzeczywiście mogłoby być lepiej – powiedział i wziął delikatnie kubek. – Pamiętajcie, z kawą jest jak z koniem, nieważne, jak paskudnie smakuje, ale ma mocno kopać – oznajmił patetycznie.

– Miałeś chyba na myśli: jak z alkoholem – poprawił go zdumiony Radek.

– No jeśli akurat nie jesteś głodny – odparł Polon, przyglądając się uważnie



kubkowi. – Ważne, że kawa jest gorąca – mruknął. – Aha, udało mi się znaleźć Terminatora.

– O, gdzie był? – zapytał Radek.

– Siedział w łazience. Sześć godzin.

– Cóż, na budowie to normalne. – Radek wzruszył ramionami. – Budowa to jedyne miejsce, gdzie możesz spędzić cały dzień w łazience i nikt nie zadaje ci po wyjściu żadnych kłopotliwych pytań.

Polon uznał komentarz za zbędny i poszedł czynić studenckie czary nad kubkiem kawy. Radek ruszył do betoniarki; ktoś w końcu musiał robić zaprawę.

Pięć minut później rozległ się huk. To Polon wyszedł przez drzwi, nawet ich nie otwierając – trzymał w rękach kubek, który po prostu ciągnął go za sobą po ziemi. Nie wiadomo, jakby się to skończyło, gdyby do akcji nie wkroczył Betonowy Mietek. Odważnie stanął kawie na drodze i z trudem utrzymując kubek w dłoniach, wychylił całą jego zawartość.

Studenci patrzyli z przerażeniem w oczach – nikt jeszcze tego nie dokonał. Polon poważnie zastanawiał się, czy przypadkiem ich pracodawca za chwilę nie eksploduje. Ale Betonowy Mietek tylko zadymił, po czym jego kontury zaczęły się rozmazywać; studenci po raz pierwszy zobaczyli, jak wygląda człowiek po studenckiej kawie wypitej duszkiem. Pan Mietek zdawał się być w trzech miejscach jednocześnie. Tempo jego pracy wzrosło trzykrotnie; kiedy wschodził Księżyc, dom był ukończony.

– Szybko poszło – skomentował Polon. – Ile to było, dwa tygodnie?

– Nawet Terminator pomagał, zamiast przeszkadzać. Chyba się czegoś nauczył – powiedział z dumą pan Mietek, a studenci odsunęli się przezornie, nie chcąc się zarazić. Radek sięgnął po setkę wódki, którą zawsze nosił na łańcuszku na piersi, ale Pan Mietek pokręcił z powagą głową.

– Wiecie co – oznajmił ze wzruszeniem w głosie. – On się w końcu czegoś nauczył, więc go nie leczcie. Akurat ta jedna rzecz nie musi wracać do normy.

## **Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje**

### **Marcin Orlik: PIASKOSPANIE**

Witaj w świecie, w którym granica między jawą a snem nie istnieje – witaj w piaskospaniu. Zdarzyło ci się tuż po obudzeniu mieć to dziwne wrażenie, że rozmawiałeś z kimś we śnie, czując jednocześnie, iż rozmowa odbyła się naprawdę? Przeżywałeś przygody, których nie można doświadczyć w rzeczywistości, a przecież kryły w sobie ten szczególny okrucz realności dowodzący prawdziwości twoich przeżyć? Jeśli tak, może właśnie zdarzyło ci się piaskośnić...

A teraz wyobraź sobie, że jest tylko piaskosen; że nie istnieje nic innego. Przywitaj się z głównym bohaterem – to jego codzienność. Lewy nie zna swojego imienia. Nie ma pojęcia, gdzie się znajduje. Nie wie nawet, czy posiada ciało. Jedyne, co zna i czego jest pewien, to piaskospanie. Moment, kiedy na twarzy czuje chłodny dotyk miękkiego piasku, by po chwili zobaczyć Miasto. Tam dowiaduje się, jakie przewidziano dla niego zadanie; tam ludzie, którzy mają nad nim władzę, wydają polecenia. Głównym obowiązkiem Lewego jest przesłuchiwanie więźniów. Razem z Prawym wchodzą do cudzych snów, by wyciągać z nich informacje. Ale przesłuchując, można czasem dowiedzieć się za dużo...

Lewy chce się obudzić, bo ile można śnić? Jednak dla niego przebudzenie nie jest prostą sprawą; został wciągnięty w intrygę piaskośniących, którzy za wszelką cenę chcą przedłużyć jego sen i są gotowi poświęcić wszystko, byleby tylko się nie obudził. Mają w tym swój cel...

### **Marcin Orlik: SZARY LEN**

*Postentropijna antyutopia ze szkła.*

Witaj w świecie, w którym bałbyś się własnego cienia... Gdybyś go tylko rzucał. Ludzie, otoczeni ze wszech stron strefą chtoniczną, desperacko walczą o przetrwanie, za obronę mając jedynie małe, szare kulki – nasiona szarego lnu. Ale przyjdzie czas, kiedy będzie trzeba wejść prosto w napierającą chtoniczność. Tylko czy głównemu bohaterowi wystarczy odwagi?

Kiedy Noit budzi się o brzasku na polanie, nie ma pojęcia, ani gdzie się znajduje, ani kim jest. Wokół niego leżą ludzie, których nie zna, a jedyną osobą,

która może mu coś powiedzieć o otaczającym go świecie, jest dziewczynka o imieniu Ome. Chyba ją zna... Tak, to jego siostra. Dzięki jej pomocy ludzie odnajdują wioskę zbudowaną ze szkła, znajdującą się na dnie krateru we wnętrzu wzgórza i zaczynają bronić się przed atakującą ze wszech stron strefą chtoniczną. A to dopiero początek...

### **Piotr Mrok: OLIMPIADA SZALEŃCÓW**

Rozejrzyj się. Olimpiada trwa. Musisz zdecydować, czy weźmiesz udział, czy tylko kibicujesz? Może pognasz ulicami miasta w szaleńczym maratonie, ścigany przez futrzaka o mentalności Świętej Inkwizycji? Lubisz strzelać do faszystów? Świetnie, mamy dla Ciebie odpowiednią dyscyplinę. A może wypad na Kapitol z wizytą w baraku, pardon, u Baracka? Jeśli masz dzieci, nie czytaj tekstu „Junior i ośmiu gniewnych”. Lepiej żyć w nieświadomości. A jak nie masz, to od niego zacznij, koniecznie.

UWAGA! Osobom pozbawionym dystansu do świata i do siebie po lekturze „Olimpiady szaleńców” może się pogorszyć. Pamiętajcie, ostrzegaliśmy. A wszystkim radosnym wariatom życzymy dobrej zabawy.

### **Piotr Mrok: LUBELSKA MASAKRA KOTEM PODWÓRKOWYM**

Dariusz jest nastoletnim pisarzem. Ma głowę pełną marzeń, ale też kompleksów. Spotkanie z bratem w jednej z lubelskich kawiarni staje się dla niego początkiem obłądnej przygody. Oczywiście gra idzie o miłość, bo o cóż innego warto walczyć? Na drodze chłopaka staje zakonnica i wielki gość w białym kapeluszu, przy którym Kuba Rozpruwacz to niewinna pensjonarka. Darek otrzymuje od tajemniczej pary propozycję nie do odrzucenia. Rozróżba ma szeroki zasięg. W sprawę zamieszani są faszyci, elfy, agenci służb, zombie, centaury, młodociani czarodzieje, fanatycy religijni i wielu innych. A że na wojnie i w miłości wszystkie chwytły dozwolone, wolno używać nawet kotów. Acz potem można żałować.

Darek w swoich literackich fantazjach, zawsze zdobywa ukochaną Basię i triumfuje nad zniechęconym nauczycielem. Czy będzie jednak umiał stawić czoła swoim lękom, przemierzając wraz z bandą odmieńców iście kafkowski świat, gdzie trzeba zabijać, by przetrwać, i wciąż od nowa unikać śmierci?

Czytelniku, jeżeli wierzysz w swoje poczucie humoru, czytaj i daj postaciom tej niezwykłej, szalonej powieści szansę na lepsze życie.

## **Tomasz Mróz: FABRYKA WTÓRÓW**

Wielki ponury budynek w centrum miasta, ginący w szarej kotłownianinie chmur. Nikt w okolicy nie wie, co się tam mieści, i nikt tego wiedzieć nie chce. Ci, którzy dostali się do wnętrza dziwnej budowli, znikają, by po jakimś czasie powrócić – ale zupełnie odmienieni. Strażnik Instytutu przegania wścibskich natrętów, lecz jeśli już ktoś pozna tajemnicę, nie ma drogi odwrotu. Co się wydarzyło setki lat temu na dalekiej Syberii? Kim jest człowiek w czarnej pelerynie biegnący do tramwaju? Czy można przekazać swe życie komuś innemu?

Wedrzyj się do „Fabryki wtórów”, poznaj jej sekrety. Lecz pamiętaj, kto przekroczy progi Fabryki, już nigdy nie będzie taki jak wcześniej.

Powieść kryminalna z elementami thrillera i science-fiction, tradycyjnie dla serii z Komisarzem Wątrobą, okraszona dużą dawką humoru i kpiny. Komisarz swoim zwyczajem nie daje za wygraną, dopóki nie dotrze do istoty problemu.

## **Tomasz Mróz: PRZEJŚCIE A8**

Kryminał nie z tego świata. Mamy tu: tajemnicze zabójstwa, kuszenie, cyrografy, złote sztabki, walkę dobra ze złem, satyrę i pełne ironii obserwacje rzeczywistości..

„Przejście A8” to kryminał paranormalny, w którym mieszka Nowak. Spotykamy komisarza Wątrobę (w roli kuszonego), posterunkowego Chwiejczaka (niezłomnego) i nieśmiertelną ławeczkową trójkę (Pająk, Marian i Stalowy), która postanawia iść... do pracy. Cud boży? Raczej szatańskie sztuczki.

Co zrobić, kiedy w twoim życiu pojawi się Nowak? Jak uchronić się przed jego knowaniami, bandą arabskich górników oraz fanatyzmem Bolka z działu marketingu? Jakie zalety ma mały mózg w dużej głowie? W „Przejściu A8” zostały połączone rzeczy straszne i śmieszne, płytkie i głębokie oraz wysokie i niskie. Wynik jest zaskakująco pozytywny oraz pozytywnie zaskakujący.

## **Tomasz Mróz: SZARY CIEŃ**

Mylne tropy, zjawiska paranormalne, półświatek, którego życie koncentruje się w miejscowym parku – to sceneria powieści „Szary cień”. Historia dziwnego zgonu i jeszcze dziwniejszego podejrzanego kładzie się cieniem na życie

komisarza Wątroby i posterunkowego Chwiejczaka, nie dając im spokoju przez lata.

W salonie zaniedbanej przedwojennej willi zostaje znalezione ciało młodego człowieka. Z zebranych informacji wynika, że był on związany z tajemniczą sektą religijną. Okoliczności zdarzenia i brak śladów walki wskazują na samobójstwo, jednak symboliczne ułożenie zwłok, niejasne zeznania świadków, jak również sny prowadzącego śledztwo – podsycają podejrzenia, że było to morderstwo. W tym samym czasie w pobliskim parku trwają poszukiwania sprawcy brutalnego pobicia włóczęgi. Policjanci nie umieją, a może nie chcą połączyć tych dwóch faktów. Dopiero upływ lat, wyrzuty sumienia i... nuda starości powodują, że komisarz Wątroba i posterunkowy Chwiejczak postanawiają rozwiązać starą sprawę.

„Błędy się mszczą przez całe życie” – ta sentencja sprawdza się i tym razem, a osoba tytułowego Szarego cienia jest właśnie takim życiowym błędem sprawców zbrodni.

### **Tomasz Mróz: PRZYPADKOWY ZABÓJCA**

Jedno z ekstremistycznych brytyjskich ugrupowań politycznych przygotowuje zamach na premiera Wielkiej Brytanii podczas jego wizyty w Polsce. Jednak domniemany płatny zabójca, Polak z pochodzenia, okazuje się nie być tym, za kogo się podawał. Wykorzystując podobieństwo do rzeczywistego mordercy, inkasuje kilkaset tysięcy funtów zaliczki, aby uciec swoim zleceniodawcom i rozpocząć nowe życie – z dala od kraju rodzinnego i polskiego „piekiełka” emigrantów na Wyspach Brytyjskich. Realizuje swój plan aż do momentu, kiedy pojawia się dziwny, nieziemski opiekun, deklarujący pomoc w planowanym zabójstwie. Brytyjskie służby specjalne wraz z londyńską policją, w postaci panów Smitha i Livera, śledzą wynajętego mordercę przez całą Europę. Akcja po kilku dniach przenosi się z Londynu do polskiego miasta, w którym ma dojść do zamachu. Komisarz Wątroba wraz ze swoim zespołem zostaje wciągnięty w sieć politycznych intryg, grę tajnych służb i... demonów z piekła rodem.

### **K. A. Kowalewska: PIJANY SKRYBA**

*Maciej, Sylwek i Mario kontra bardzo źli ludzie.*

W kręgach, w jakich obraca się Maciek, znajomość sztuk Szekspira nie dodaje punktów do siły. Raczej bierze się za to w mordę, podobnie jak za

znajomość rosyjskiego, hiszpańskiego, obyczajów towarzyskich, zasad nakrywania do stołu oraz za dar pisania kwiecistych listów. Wszystkie te umiejętności Maciej Borowski wyssał z mlekiem arystokratycznej matki. W bursie ciągnęło się to za nim jak smród z kibla na stacji PKP. Ale gdy skończył studia, zapakował cały ten *savoir vivre* w karton i stał się Maćkiem, kumplem Mario.

Bycie Maćkiem to łatwizna. Wystarczy żyć ze spadku, mieć dobrze zbudowanego kumpla, wracać do domu nad ranem i podrywać dziewczyny o dziwnym głosie. Aha, i wypiąć się na rodzinę. Lecz gdzieś w środku imprezy, gdzieś między Brzeską a Targową, ktoś robi Maćkowi kuku, ktoś okrada jego mieszkanie, ktoś zostawia mu list. A to dopiero początek kłopotów.

Wyjście z tarapatów ma zapewnić makieta, latynoska córka polskiego Amerykanina i podróż do przeszłości. Kto wygra bitwę na kury? Co skrywa pudełko od przekupki ze Zgierza? Co łączy punk rocka z wojskiem polskim? Kim jest człowiek w gumofilcach? Jak klątwa *voodoo* działa na odległość? Co można ukryć w męskich spodniach?

Na te i inne pytania odpowie Maciek i jego ekipa komorników. W szalonej powieści, pełnej ciętego humoru, dziwnych przypadków i nagłych zwrotów akcji. Spróbuj się nie roześmiać!

